# ATENEUM

## PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVII. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXVI.

TOM II. — ZESZYT III.

Czerwiec.

WARSZAWA.

1892.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

# SPIS RZECZY.






*Druk ukończono dnia 8 Czerwca 1892 r.*



# Nie pozwalam!

Kiedy świętej pamięci pan Władysław Siciński wyrzekł swoje „nie pozwalam“, ani przypuszczał zapewne, iż tym sposobem zarobił sobie na nieśmiertelność. Tak to dla wybrańców swoich bywa pani Fortuna wspaniałomyślną! Zostać nieśmiertelnym za jedno zdanie przeczące, to już chyba drugiego podobnego przykładu nie zna cała przedhistoryczna ani historyczna historya. Tak samo kiedy się wieść rozeszła, że Akademia umiejętności wydała swoje prawidła pisowni, znalazł się gramatykarz, który — jeżeli wolno porównywać małe rzeczy z wielkiemi—zawołał „nie pozwalam“ i nie uciekł na Pragę. Bo i co to, proszę państwa, za zuchwalstwo, żeby jacyś tam historycy, bez pozwolenia gramatykarza, stanowili prawidła pisowni. Szewc tylko o ciżmach sądzić ma prawo; więc też i historyk tylko o historyi. Pisownia zaś, to rzecz gramatyków, którzy długo radzili i mysz urodzili, którzy długo wzywali cudzéj powagi, a gdy ta powaga przemówiła i oni przemówili: nie pozwalamy!

Trzeba przecież ufać rozsądkowi ludzkiemu, że nie będzie zważał na opozycyą garstki, co prawda uczonych gramatyków, i zastosuje pisownią zaleconą przez niegramatyków, by położyć kres bezrządowi sprowadzonemu przez gramatyków. Sprawa ta jednak, lubo ważna, nie będzie przedmiotem niniejszego pisania; dała nam ona tylko pochop do zagajenia innéj materyi: oto chcielibyśmy rozważyć, o ile „nie pozwalam“ mniejszości ma prawo do tamowania nie rospraw teoretycznych, lecz środków praktycznych, mających zaradzić jakiéjś naglącéj potrzebie.

„Nie pozwalam“ równa się temu, jak gdybyśmy powiedzieli, że się na proponowane czyjeś zdanie lub środek nie zgadzamy i poprzestajemy, albo na prostém krytykowaniu, albo co się częściej zdarza,

proponujemy od siebie inne zdanie, inny środek. Otóż sprawy będące pod dyskusyą, są albo natury teoretycznéj, albo praktycznéj. Gdy chodzi o rozstrzygnięcie pytania, dajmy na to, jak pojmować związek umysłu z ciałem, albo jaka jest najlepsza forma rządu, przedmioty takie są natury teoretycznéj. Zaczynamy rozprawy, powołujemy się na czynione doświadczenia, na przykłady z historyi i po długiéj dyskusyi możemy ani innych nie przekonać, ani uznać dowodów strony przeciwnéj za przekonywające. Tak bywało w sporach religijnych, filozoficznych i wogóle takich, w których spornego przedmiotu nie można poddać doświadczeniu, jako ostatecznemu kryteryum prawdy. Strony usuwają się z walki bardziéj zwaśnione, niż były przed jéj rozpoczęciem, spór na chwilę ustaje, póki się nie znajdą nowi zapaśnicy i walka może się ciągnąć przez wieki. Spory takie obchodzą zwykle nieliczne grono uczonych, a ogromna większość ludzi mało się niemi interesuje, nie widząc w ich ostateczném rozstrzygnieniu ani wielkiéj szkody, ani wielkiego pożytku. Głosowania powszechnego w takich materyach urządzać niepodobna; większością głosów również do decyzyi dojść trudno, a przedewszystkiém na nicby się nie zdała, ponieważ tu potrzeba kompetencyi i ważenia nie zaś liczenia głosów. Żyli ludzie całe tysiące lat, nie wiedząc, że się ziemia obraca koło słońca; uczeni tymczasem zbierali dowody, aż nareszcie zagadka została rozwiązana. Pomimo tego, że ludzie nie znali istotnego położenia ziemi w systemie planetarnym, niemniéj jednak rodzili się i umierali, walczyli ze sobą i zawierali pokój, uprawiali ziemię i rzemiosła, nauki i sztuki. Stąd przecież nie wynika jakoby badania teoretyczne nie miały same przez się wartości umiejętnéj, albo nie wpływały na sprawy praktyczne i na nowe poglądy, co się tyczy świata; stąd wynika jedynie, że w sprawach praktycznych niepodobna czekać, aż się teoretycy zgodzą na jedno, zwłaszcza jeżeli taka jednomyślność nigdy nie może być osiągniona.

Inaczéj mają się rzeczy, gdy chodzi o zaradzenie bieżącéj potrzebie, czyli gdy sprawa jest, jak mówimy, natury praktycznéj. Potrzeba, dajmy na to, założyć szkołę, szpital, stowarzyszenie; poprowadzić drogę, oświetlić miasto, nałożyć podatek i t. p. Będąż ludzie czekali z wykonaniem tych robót póki się pedagodzy nie zgodzą na najdoskonalszy systemat pedagogiki, ekonomiści na najlepszą formę stowarzyszeń, a lekarze na idealny typ szpitala? Gdyby czekali, nie byłoby z pewnością ani szkół, ani szpitalów. Teoretykom zostawia się pole do dyskusyi, a potrzebie zaradza się natychmiast wedle znanych sposobów, środków i najlepszéj woli. Stworzone dzieła nie będą idealnie doskonałe, może się je da w niejednym szczególe poprawiać

korzystając właśnie z rezultatów przez teoryą otrzymanych. Sprawa dotycząca naszéj pisowni jest natury praktycznéj, to jest związana z codziennemi potrzebami ludzi piszących, obchodzi tysiące i setki tysięcy ludzi, nie mających czasu na czekanie, póki się gramatycy nie zgodzą, czy pisać *lec* lub *ledz*, *móc* lub *módz*. Co większa, pisano u nas i drukowano daleko jednozgodniéj, aniżeli dzisiaj, w drugiéj połowie XVI-go i w pierwszéj XVII-go wieku, kiedy jeszcze nie było gramatyków krajowych. Nie wiadomo nic, ażeby do téj względnéj jedności przyszli ówcześni autorowie za pobudką jakiegoś ministra wychowania, albo pod wpływem elaboratów, memoryałów i tym podobnych lukubracyi: stało się to jakąś mocą dla nas dziś niezrozumiałą, jakimś duchem, oczywiście, nie sekciarskim. Była potrzeba pisania i zaradzano jéj mniéj więcéj logicznie, tak jak wszystkim potrzebom i sprawom praktycznym.

A oto jeszcze uwaga. We wszystkich zmianach, dotyczących spraw praktycznych, zaprowadzane nowości muszą jaknajmniéj oddalać się od istniejących urządzeń, czyli muszą być powolne, muszą się liczyć z przeszłością i teraźniejszością, ze zwyczajami, a nawet nałogami ludzi; w przeciwnym razie, nie znajdą gruntu do zapuszczenia korzeni i uznania w społeczeństwie. Do powodzenia spraw praktycznych, niemniéj jak w nauce, konieczna jest pewna ciągłość. Nie od nas świat się zaczął; żyli przed nami ludzie, którzy doznawali rozmaitych potrzeb i często takich samych, jakich my doznajemy; radzili im, jak mogli. Te ich urządzenia mogą być niedoskonałe, mogą być nieraz bardzo rozumne: poprawić niedoskonałe, zachować rozumne, oto co pozostaje każdemu pokoleniu. Ale chcieć wszystko z gruntu przebudowywać, jak zbutwiałe gmachy, twierdzić, że my dopiéro mamy rozum, wołać na każdy projekt liczący się z przeszłością „nie pozwaam“, lub „*sisto activitatem*“, toż-to objaw silnego zacietrzewienia.

Tymczasem duch sekciarski, duch argumentowania bez końca, ażeby tylko swój pogląd na pewną sprawę utrzymać na wierzchu, prowadzi do bezpłodności i zajątrzenia umysłów. Nazwijmy go, jak w istocie mu się należy, duchem negacyi i wybujałego indywidualizmu, bezowocnéj krytyki i destrukcyi. Potrzeba i należy mieć swoje zdanie w każdéj sprawie, do któréj okoliczności nas wciągną; zaszczytném jest bronić tego zdania i działać z niém w zgodzie; ale niemniéj koniecznėm jest odstąpić od niego, gdy nas przekonano o jego błędności, lub gdy tego żąda sprawa praktyczna wymagająca załatwienia, chociażby to załatwienie nie odpowiadało naszemu na rzecz poglądowi. Mimo tego, zdarzają się ludzie i uczeni i dobréj woli, którzy za nic w świecie nie odstąpią od swojéj opinii, uważając ją za dogmat

nietykalny, a konsekwentność pod tym względem posuwają do ostatecznych granic. Kierują się przytém zasadą w gruncie słuszną, że człowiek nie powinien zmieniać swoich opinii jak rękawiczek, że nie należy nakręcać ich wedle kierunku wiatru.

Otóż, na rozstrzyganie spraw praktycznych nie ma i być nie może dogmatycznych formuł, lecz stosownie do czasu i miejsca, do otaczających warunków, muszą się one dopasowywać: mniejszość musi uledz większości, w przeciwnym bowiem razie nie możnaby nigdy zrobić mądrego czy głupiego kroku naprzód, trzebaby się ciągle kręcić w kółko po owczemu. Może mniejszość mieć za sobą lepsze racye, niż większość, a jednak pozostanie jéj tylko zanieść swoją opinią do protokułu dla ocalenia honoru. Wiadomo, że dziś wszystkie ciała zbiorowe, gdzie się rozstrzygają sprawy praktyczne, są decydowane większością i nikomu nie przychodzi do głowy żądać jednomyślności. Rzecz to bowiem niemożliwa prawie, ażeby kilkanaście, a cóż dopiéro kilkaset głów, zgodziło się na jedno. Téj konieczności poddania się woli ogólnéj nie rozumieją zapalczywi doktrynerzy i ciągle wszystkiemu przeczą, wszystko uznają za złe, co inni robią, a gdy im powiadają: zróbcie lepiéj, wtedy dopiéro wychodzi na widok cała jałowość téj łatwéj krytyki. Bywało tak od dawna, ale dzisiaj przy rozwielmożeniu się prasy, zwłaszcza nieokiełzanéj, duch negacyi ogarnia wszystkie instytucye; wszystko, mówią przespołeczniacze, jest z gruntu złe: religia, małżeństwo, państwo, produkcya ekonomiczna oparta na kapitalizmie zasługują na wykorzenienie, albowiem tamują swobodny rozwój jednostki i są źródłem dzisiejszéj nędzy milionów ku większéj wygodzie garstki uprzywilejowanych. *Ni Dieu, ni maître.*

W „nie pozwalam“ mieści się, jak wyżéj powiedziano, albo proste zaprzeczenie, albo przeczący proponuje od siebie środki do załatwienia jakiéjś sprawy. Pierwsza alternatywa jest tak dziecinna, że dyskutujący, nie chcąc się narażać na ośmieszenie, ma zwykle na pogotowiu jakiś środek. Konieczną jest w takich razach, środek ten roztrząsnąć. Ci, co się na taki sposób załatwienia sprawy nie decydują i koniecznie przy swojém zdaniu chcą się utrzymać, są fanatykami, a fanatykom podobają się przedewszystkiém radykalne środki. Nie chodzi o to, jakim jest ten fanatyzm, konserwatywnym czy postępowym: dość że u takich ludzi drogi i sposoby pośrednie miru nie mają, przeciwnie, świadczą, według nich, o płytkości umysłu tych, co je proponują; więc téż z przekąsem mianują ich moderantami, oportunistami, ludźmi francuskiego *juste-milieu.* Gdy im taką etykietę przylepili, sądzą, iż wygrali. Tymczasem rzecz to dla każdego, co trochę żył na świecie, widoczna, że załatwianie spraw praktycznych bywało i będzie zawsze

eklektyczne, ponieważ przeszłość ciąży na nas swojemi urządzeniami. Gdyby społeczeństwo powstało odrazu, gdyby było, jak nazywają, *tabula rasa*, możnaby dlań również odrazu przykroić suknie, możnaby mu dać instytucye najdoskonalsze, które oczywiście za lat dziesięć, lub dwadzieścia, okazałyby się również chromające, jak i teraźniejsze. Ale ród ludzki trwa na ziemi okrutnie dawno i wysnuł ze siebie niezliczone formy bytu społecznego; chęć przenicowania tych form odrazu, radykalnie, może się urodzić tylko w takich głowach, które mniemają, że się świat od nich poczyna.

Krytyka urządzeń ludzkich prowadzona umiarkowanie, wskazująca nietylko ujemne ich strony, lecz razem i sposoby poprawienia, jest rzeczą nadzwyczaj pożądaną, ale i nadzwyczaj trudną. Za pomocą „nie pozwalam, nie podoba mi się, nie chcę“, nic się nie zbuduje. Owszem, trzeba pozwolić, trzeba chciéć, przystać, zgodzić się i poddać większości, albo zrobić lepiéj niż ona. Dyskusya nie może się ciągnąć w nieskończoność, tak sobie, gwoli dyskutowaniu. Gdy wysłuchano zdań ludzi uchodzących w danym czasie i miejscu za najdoświadczeńszych w pewnéj sprawie, trzeba zebrać głosy *za* i *przeciw*: ilość ich rozstrzygnie, jakie środki należy przedsięwziąć; innego sposobu wyjścia z trudności nie ma. Jeżeli pewnego sposobu pisania, czyli ortografii, używa większość ludzi ukształconych i autorów pierwszorzędnych, to oczywiście mniejszość poddać się jéj winna. Dla zadośćuczynienia próżności lub uczoności gramatycznéj, można głosy jéj wnieść do protokułu — ponieważ zaś taki protokuł w obecnéj sprawie jest niemożliwy,—można utworzyć osobne wydawnictwo, służące wyłącznie do badań lingwistycznych, gdzieby ta mniejszość składała owoce swoich trudów. Tym sposobem stałoby się zadość i teoryi i praktyce. Za pięćdziesiąt czy sto lat znowuż uczują ludzie prawdopodobnie potrzebę zrobienia jakichś niewielkich zmian w pisowni, skorzystają z badań lingwistycznych i przestaną pisać K u r j e r, d j e c e z j a, D j a n a i t. p. Rozum przychodzi późno, a jeżeli przychodzi jeszcze przed śmiercią, wart jest czekania. Czekajmyż tedy na upamiętanie się filojotystów.

Rozbudzenie się ducha krytycznego w jednostkach, a przez nie w większych grupach społeczeństwa jest zjawiskiem pocieszającém wogóle, ponieważ świadczy o niejakiéj dojrzałości onego; powstawać więc na takie objawy równałoby się życzeniu, by ludzie na zawsze pozostali w stanie dzieciństwa. Dlatego téż odróżniliśmy sprawy teoretyczne, kwestye naukowe sporne, w których krytyka musi miéć obszerne pole swobody, albowiem tylko taką drogą można dojść do prawdy. W sprawach praktycznych swobody téj mniéj być powinno,

albowiem instytucyi ludzkich niepodobna z dnia na dzień przerabiać. Tu należy poczekać, póki nie zaczną wydawać swoich owoców, póki ze skutków nie będzie można sądzić co zmienić, a co zachować wypadnie. Fanatyczni niepozwalacze jednak nie mają czasu na czekanie; u nich wszystko jest złe, czego sami nie zrobili. Ciągłe poszukiwanie „lepszego“ jest nieprzyjacielem „dobrego“. W sprawach ludzkich, o czém dawno wiadomo, nie może być doskonałości; urządzenia więc nasze będą skazane na wieczną przeróbkę, ale ta nie może się dokonywać nagle, według improwizacyi. Wieki nieraz upływają zanim się da zauważyć jakiś widoczniejszy postęp, jakieś ulepszenie w téj lub owéj instytucyi; niemniéj ruch umysłów odbywa się ciągle, nieustannie, czego w gorącéj wodzie kąpani nie dostrzegają i radziby jednym susem przeskoczyć długą i mozolną drogę ku lepszości. Ponieważ zaś główna armia posuwa się żółwim krokiem, złorzeczą jéj forpoczty i chciałyby już być w XX-ym wieku, kiedy to już nie będzie ani bólu, ani zgrzytania zębów. Niecierpliwość tę można rozumiéć, ale to pewna, że za jéj pomocą nie przyśpieszy się urzeczywistnienia mniemanych ideałów; ludzie nie tyle ciągną rzeczy, ile raczéj są przez nie ciągnieni. Tymczasem zapamiętałym niepozwalaczom zdaje się, że to oni swojém szyderstwem i złorzeczeniami torują drogę panowaniu światła i sprawiedliwości bezwzględnéj. Ten optymizm w zdeklarowanych pesymistach świadczy o życiu ich w abstrakcyach, w napowietrznych zamkach, dokąd nie dochodzi odświeżający powiew rzeczywistości. Więc też przeklinają wszystko, na nic nie pozwalają, argumentują bez końca, na zabój. Hasłem ich wiekuiste „nie pozwalam“.

*K.*





## O ZNACZENIU I ZADANIACH

# HISTORYI FILOZOFII.



W całéj współczesnéj literaturze filozoficznéj badania historyczne zajmują tyle miejsca, że nie podobna zdać sobie sprawy ze współczesnych dążeń filozoficznych, nie uwzględniając ducha historycznego, który je ożywia. Zjawisko to témbardziéj jest godném zastanowienia, że nic podobnego nie widzimy w dziedzinie innych nauk. Historya matematyki, fizyki, chemii, i wogóle nauk przyrodniczych zajmuje zaledwie bardzo niewielką ilość uczonych, pracujących na polu tych nauk. W filozofii zaś panuje wręcz odwrotny stosunek: bezwarunkowa większość współczesnych filozofów bada głównie historyę filozofii. Niektórzy jéj badacze wyciągnęli stąd wniosek, że wszelkie możliwe rozwiązania trudności filozoficznych są już wypróbowane, tak, że obecnie pozostaje nam tylko badanie historyi tych kwestyi, jak gdybyśmy nie byli w stanie przyczynić się do ich rozwoju. Jeśli historycy filozofii mogli przyjść do tak sceptycznego wniosku, to nie może nas dziwić, że ludzie, nie znający filozofii, nie uważają jéj wcale za naukę. Jednak trudno zaprzeczyć istnieniu filozofii współczesnéj, jeśli zwrócimy uwagę na liczne prace, podejmowane w celu stworzenia nowych, lub téż udoskonalenia dawnych teoryi filozoficznych.

Oprócz uczonych publicystów, jak: Spencer lub Hartmann, także głębsi, choć mniéj popularni myśliciele, jak naprzykład Lotze, Boström, Bergmann, Mamiani [1]) i inni, roztrząsali w naszym wieku za-

---

[1]) Herman Lotze: Mikrokosmus, Ideen zur Naturgeschichte und Geschichte der Menschheit, 4-te Auflage, Leipzig, 1884. Metaphysik, Leipzig, 1879. —

sadnicze kwestye filozofii. Chociaż ich zasługi nie są jeszcze rozgłaszane przez codzienne gazety, jak sława współczesnych sofistów [1]) i dyletanckich przedstawicieli powierzchownego pesymizmu lub agnostycyzmu; to jednak zasługują oni na głębokie poważanie kompetentnych specyalistów i świadczą, że metafizyka nie mniéj jest uprawiana obecnie, jak w początkach naszego stulecia, kiedy Comte przepowiedział jéj upadek. Nigdy człowiek nie zadowolni się pozytywném zbadaniem zjawisk zewnętrznych, zawsze będzie dążył do rozwiązania ogólnych zagadnień metafizycznych, bez porównania dlań ważniejszych, niż jaknajszczegółowsze poznanie świata fizycznego.

Więc nie możemy tłómaczyć przewagi badań historycznych w dziedzinie filozofii brakiem twórczości filozofów nowożytnych, lub ich niezdolnością do rozwiązywania zagadnień metafizycznych.

W przeciągu ostatnich lat dwudziestu powstało w Europie wiele czasopism, poświęconych wyłącznie filozofii, jak np. w Niemczech: „*Philosophische Monatshefte*“, „*Vierteljahresschrift für wissenschaftliche Philosophie*“, „*Philosophische Studien*“; w Anglii: „*Mind*“; we Francyi: „*Revue philosophique*“ i „*Critique philosophique*“; we Włoszech: „*Rivista di Filosofia scientifica*“ i „*Rivista italiana di filosofia*“ [2]). Wszystkie te pisma istnieją dotąd i mają liczne grono czytelników. I w Rosyi powstał kilka lat temu dwumiesięcznik filozoficzny. Specyalne czasopisma naukowe można uważać za jedną z najcharakterystyczniejszych cech naszego stulecia. Wiadomo, jak dalece na polu badania przyrody specyalne czasopisma naukowe przyczyniły się do

---

Christoph Jacob Boström, Skrifter, utgivna af H. Edfeldt, Upsala. 1883.— Julius Bergmann, Sein und Erkennen, Berlin, 1880. Vorlesungen über Metaphysik, Berlin, 1886. — T. Mamiani. Confessioni di un metafisico, Firenze, 1865. Compendio e sintesi della propria filosofia, Torino, 1876.

[1]) Cf. Funck Brentano, Les sophistes grecs et les sophistes contemporains, Paris, 1879.

[2]) Pisma te powstawały w porządku następującym: „Philosophische Monatshefte“ od roku 1868 pod redakcyą J. Bergmanna, — „Zeitschrift für exacte Philosophie“ od roku 1861 do 1875 i od 1883 roku pod redakcyą Allina i Flügela, —„Vierteljahresschrift für wissenschaftliche Philosophie“ od roku 1877 pod redakcyą Avenariusa,—„Philosophische Studien“ od roku 1881 pod redakcyą Wundta,— „Mind“ od roku 1876 pod kierownictwem G. C. Robertsona, — „Critique philosophique“ od roku 1872 pod redakcyą Pillon i Renouvier, — „Revue philosophique“ od r. 1876 pod redakcyą Ribota, — „Rivista di filosofia scientifica“ od r. 1881 pod kierownictwem Buccola,—„Rivista italiana di filosofia“ od roku 1886, prowadzona przez L. Ferri, dalszy ciąg pisma „Filosofia delle scuole italiane“, które wychodziło od roku 1870 do 1885, — „Woprosy fiłosofii i psichołogii“ od roku 1890 pod redakcyą Grota.

rozwoju nauk, którym były poświęcone. Rozpowszechnienie i wzrastająca liczba pism filozoficznych jest niewątpliwie dowodem zajęcia, jakie budzi filozofia. Dwadzieścia pięć lat temu istniało w Europie tylko jedno specyalne czasopismo filozoficzne, mianowicie: „*Zeitschrift für Philosophie und philosophische Kritik*“ i pismo to, pomimo współzawodnictwa tylu nowszych wydawnictw filozoficznych, do dnia dzisiejszego cieszy się wielką poczytnością. Wobec tak silnego dążenia ku pracy nad filozofią, możnaby przypuszczać, że filozofowie będą obojętniejsi względem historyi téj nauki, a jednak niewątpliwie na polu filozofii badania historyczne posiadają przewagę, jakiéj nie mają badania historyczne w zakresie innych nauk; nawet w praktycznéj Ameryce, gdzie dopiéro od niedawna zaczęto zwracać uwagę na filozofią, dwa główne czasopisma filozoficzne: „*Journal of speculative Philosophy*“ [1]) i „*The Platonist*“ [2]) mają prawie wyłącznie historyczny charakter.

Tak wielkie zajęcie historyą filozofii doprowadziło nawet w ostatnich czasach do założenia międzynarodowego pisma, poświęconego wyłącznie téj nauce. Pismo to: „*Archiv für Geschichte der Philosophie*“, założone w 1888 roku, zawiera artykuły w językach niemieckim, francuskim, angielskim i włoskim, gdyż ma współpracowników i czytelników we wszystkich cywilizowanych krajach Europy. Jest ono jedynèm w swoim rodzaju, żadna bowiem nauka nie posiada międzynarodowego organu dla swéj historyi. Pomimo istnienia wielkiéj ilości specyalnych pism naukowych w zakresie medycyny, fizyki, chemii, matematyki, lingwistyki, rzadko spotykamy w nich artykuły, tyczące się historyi tych nauk i nie zachodzi żadna potrzeba istnienia odrębnego czasopisma dla prac podobnych. A nawet jeśliby kto założył czasopismo, poświęcone historyi któréjkolwiek z nauk przyrodniczych, nie znalazłby ani współpracowników, ani téż materyałów. Metody, używane przez przyrodników greckich lub wogóle starożytnych, tak dalece różnią się od metod współczesnych, że nikt się nie spodziéwa znaleść w dawnych dziełach cennych wskazówek, mogących miéć zastosowanie do prac teraźniejszych. Dla współczesnych lekarzy Hippokrates jest mityczną osobistością i mniejsze ma jeszcze znaczenie, niż Euklides dla współczesnych matematyków. Filozofowie zaś dzisiaj z równém zajęciem i poważaniem badają Platona i Arystotelesa, jak to czynili średniowieczni scholastycy, albo téż starożytni uczestnicy akademii Platona, lub liceum Arystotelesa.

---

[1]) W New-Yorku od r. 1867—1890 pod redakcyą T. Harrisa.

[2]) Od r. 1881 w St.-Louis.

Taki wśród filozofów istniejący zwrot ku historycznemu opracowaniu filozofii ma swoje przyczyny, które po części mogą być zależne od ogólnych różnic, zachodzących pomiędzy filozofią a innemi naukami, po części zaś mogą być wywołane wyjątkowemi okolicznościami, dążeniami, właściwemi tylko naszemu wiekowi.

Chcąc więc zupełnie wyjaśnić przewagę badań historycznych w filozofii współczesnéj, powinniśmy najprzód zwrócić uwagę na zasadnicze różnice między filozofią, a innemi naukami, i wskazać, o ile takie różnice mogą się przyczynić do wyjątkowego znaczenia historyi filozofii, w porównaniu z dziejami innych nauk. Dopiéro następnie zastanowimy się, czy prócz tych stałych przyczyn ożywienia historyi filozofii, istnieją téż jakiekolwiek okoliczności, wzmacniające ich działanie w drugiéj połowie XIX-go stulecia.

Filozofia, jak wogóle wszystkie nauki, dąży do zbadania stosunku pewnych pojęć między sobą. Rzeczywistości nie możemy sobie przedstawić, ani pojąć inaczéj, jak tylko za pomocą sądów, czyli pewnych stosunków pojęć.

Chociaż często zdarza się słyszéć, że ten lub ów pewnik naukowy oparty jest na doświadczeniu, spostrzeżeniach i faktach, nie należy jednak zapominać, że doświadczenia, spostrzeżenia i fakty mogą być jedynie zewnętrzną przyczyną powstawania pojęć, ale nigdy nie mogą służyć za bezpośrednią podstawę do wniosku naukowego. Oddzielne spostrzeżenie nie ma nawet żadnego naukowego znaczenia, dopóki nie posłuży wraz z innemi do utworzenia pojęcia naukowego, tym zaś pojęciom naukowym, które nasz rozum tworzy, często w samych spostrzeżeniach nic nie odpowiada.

Na każdym kroku w naukach przyrodniczych spotykamy pojęcia naszego rozumu, wcale niezależne od wrażeń, jakich doznają nasze zmysły. Atomów np. ani ręką dotknąć, ani okiem ujrzéć nigdy nie będziemy mogli, pomimo to, że pojęcie atomu ciągle jest używane przez chemików dla wyjaśnienia zjawisk, działających na nasze zmysły. Bez pojęcia atomu, zjawiska nie mogłyby nas doprowadzić do całego szeregu wniosków, stanowiących obecnie naukowe teorye chemii. Teorye te, nawet gdy są uważane za najpewniejsze, nigdy się nie zgadzają ściśle z rezultatami doświadczenia, gdyż żadne doświadczenie nie odpowiada w zupełności wymaganiom teoryi. Jednakże ta niedokładność nie osłabia bynajmniéj naszego zaufania do teoryi, i nie przeszkadza nam sprawdzać tych teoryi zapomocą doświadczeń, ponieważ wiemy, o ile się różnią wyniki naszych doświadczeń od rezultatów, jakich wymaga teorya, i w jakich granicach są zawarte niedokładności naszych spostrzeżeń. To samo powtarza się we

wszystkich naukach, wszędzie pojęcia i ich teoretyczne stosunki różnią się od bezpośrednich spostrzeżeń i praktycznych doświadczeń. Te spostrzeżenia i doświadczenia służą do sprawdzenia gotowych teoryi, ale nigdy same nie stanowią teoryi. Każda teorya składa się z pierwiastków naszéj świadomości, połączonych według praw właściwych naszemu rozumowi, i dlatego prawie wszystkie nauki możnaby nazwać rozumowemi.

Gdy patrzę na różne przedmioty mniéj więcéj równe, i naraz powstaje w mojéj świadomości pojęcie takiéj idealnéj równości, o jakiéj wiem nawet bez doświadczenia, że jéj nie ma w otaczającéj mnie rzeczywistości; wtenczas staje się w świecie coś nowego, coś, co byłoby niemożliwém bez umysłu myślącego, i co nie zależy od przybliżonéj równości obserwowanych przedmiotów, tylko od zdolności mego umysłu do tworzenia pojęć oderwanych. Pojęcia nie wypływają jakimś cudownym sposobem z nieożywionych przedmiotów, ale powstają w świadomości żywéj istoty po wielu spostrzeżeniach i doświadczeniach, które tych pojęć jeszcze nie zawierały.

Szukając różnicy między filozofią a innemi naukami, znajdziemy ją w różnicy pojęć, z których się składa filozofia, od pojęć innych nauk. Różnicę tę łatwo określić. Jakkolwiek źródłem wszystkich pojęć jest rozum ludzki, większa część naszych czynności umysłowych zależy bezpośrednio od wpływu przedmiotów materyalnych, które przenosimy do tak zwanego świata zewnętrznego, stosując do nich nasze pojęcie przestrzeni. Pojęcia, tyczące się świata zewnętrznego, wyraźnie różnią się od pojęć, tyczących się wewnętrznego świata naszéj świadomości.

Pierwsze, jak np. pojęcia: materyi, wielkości, wagi etc., powstają wskutek wrażeń zmysłowych i nazywają się objektywnemi; drugie, jak np. pojęcia: pogardy, rozpaczy, miłości, polegają na wewnętrzném doświadczeniu, i nazywają się wskutek tego subjektywnemi. Zazwyczaj zdarza się słyszéć skargi, że pojęcia subjektywne są zbyt nieokreślone i większość ludzi daje pierwszeństwo dokładności pojęć objektywnych. Ale już Platon dowiódł, że podobne złudzenie pochodzi jedynie stąd, że doświadczenie wewnętrzne rozwija się daleko późniéj, niż zewnętrzne, zmysłowe, i że większość ludzi, którzy doszli do pełnego rozwoju zmysłów, nie są w stanie zdać sobie jasno sprawy z własnéj swéj wewnętrznéj działalności, wolnéj od udziału tak zwanego świata zewnętrznego [1]). U tych, u których zdolności umysłowe są zupełnie rozwinięte, subjektywne pojęcia do-

---

[1]) Zob. Timaeus 90*c*, Teaethetus 186*c*, 175*c*.

chodzą również jasno do świadomości, jak objektywne wrażenia zmysłowe. Tacy ludzie zgadzają się między sobą co do faktów subjektywnych również łatwo, jak ludzie zwyczajni zgadzają się między sobą co do wrażeń zmysłowych. Filozofia różni się od wszystkich nauk tém, że ona jedna zajmuje się badaniem pojęć subjektywnych, czyli pojęć wewnętrznéj psychicznéj działalności; kiedy wszystkie inne nauki badają pojęcia objektywne, tyczące się zjawisk świata zewnętrznego. Takie określenie dziedziny filozofii zgadza się z nazwaniem jéj: nauką o duchu, również jak i z drugiém często używaném określeniem, według którego filozofia jest-to nauka najogólniejszych pojęć, albo jak inni to mniéj jasno i dokładnie wyrażają: nauka nauk. Rzeczywiście, subjektywne pojęcia stosują się do wszystkich pojęć objektywnych, a nawet je w sobie zawierają.

Najogólniejszém pojęciem subjektywném, które powstaje w nas na mocy doświadczenia wewnętrznego — jest pojęcie bytu, którém się zajmuje metafizyka. Tak samo pojęcie prawdy — przedmiot logiki, pojęcie piękna — przedmiot estetyki, pojęcie dobra—przedmiot etyki, powstają wskutek doświadczenia wewnętrznego, ale stosują się do wszystkich przedmiotów świata zewnętrznego.

Ponieważ pojęcia, stanowiące przedmiot filozofii, rzadko bywają uświadamiane z taką jasnością, jak pojęcia świata zewnętrznego, filozof jest zmuszony porównywać rezultaty swego wewnętrznego doświadczenia z doświadczeniem wewnętrzném innych ludzi, szczególniéj takich, którzy kiedykolwiek odznaczyli się dokładną świadomością swoich pojęć subjektywnych.

Dlatego w filozofii badania historyczne otrzymują nieraz znaczenie teoretyczne. W dziełach wielkich filozofów znajdujemy albo jasne postawienie kwestyi jeszcze nierozstrzygniętych, albo téż ostateczne odpowiedzi na mniéj trudne pytania; historyk filozofii nietylko zbiéra plon pracy umysłowéj zeszłych pokoleń, ale stara się téż wyjaśnić z punktu widzenia teraźniejszości takie zdania dawnych filozofów, które teraz wydają się nam błędnemi.

Każda omyłka wielkiego umysłu miała swoje psychologiczne podstawy i przyczyny, których zbadanie rozszerza granice naszéj psychologicznéj wiedzy i przez to wzbogaca naukę o pojęciach subjektywnych. Aby nie zbłądzić z właściwéj drogi, trzeba dokładnie znać całą okolicę, przez którą nas ta droga do celu prowadzi, i umiéć odróżnić szerokie gościńce fałszu od wąskiéj i stroméj ścieżki prawdy. Kiedy w innych naukach nieudatne próby rozstrzygnięcia jakiéjkolwiek kwestyi wcale nie należą do obrębu nauki; w filozofii najmniéj udatne próby rozwiązania zagadnień metafizycznych mają swe zna-

czenie, dlatego że są wyrazem pewnych skłonności umysłu ludzkiego, a badanie umysłu ludzkiego właśnie stanowi przedmiot filozofii. Tak np. w XIX-ém stuleciu filozofowie stopniowo dochodzili do przekonania, że materyalizm, zarówno jak i przeciwległy mu idealizm, uważać należy za całkiem nieudatne rozwiązania zasadniczéj kwestyi metafizyki. Mimo to, dzieje materyalizmu i idealizmu będą zawsze miały niepospolitą wagę filozoficzną, dlatego że dwa te poglądy tak są właściwe umysłowi ludzkiemu, iż ci nawet, co następnie wyrobili sobie mniéj jednostronny pogląd na świat, nieraz byli przedtém materyalistami lub idealistami; co więcéj, wśród ludzi, nie zajmujących się filozofią, wszędzie spotykamy nieświadomy materyalizm lub idealizm. Historya filozofii przedstawia nam drogę, którą postępowali myśliciele, przechodząc od jednego rozwiązania kwestyi do drugiego, zanim się zatrzymali przy prawdach powszechnie przyjętych.

W innych naukach, tyczących się świata zewnętrznego, droga ta ma całkiem drugorzędne znaczenie, i zajmuje nas tylko jako obraz rozwoju umysłu ludzkiego; w nauce zaś o duchu ludzkim, obraz ten stanowi główne źródło nowych wniosków, i zarazem część téjże nauki. Dlatego téż w filozofii badania historyczne grają większą rolę, niżli w innych naukach,—można nawet powiedzieć, że historya wszystkich nauk należy do filozofii. Historya filozofii to nie przypadkowe uzupełnienie saméj nauki filozofii, to jéj część niezbędna, za pomocą któréj wzbogacamy własne doświadczenie doświadczeniem wewnętrznóm dawnych myślicieli—naszych poprzedników.

Prócz tego p s y c h o l o g i c z n e g o, ma jeszcze historya filozofii bardzo ważne znaczenie p e d a g o g i c z n e dlatego, że rozwój myśli ludzkiéj wogóle, jak to w naszém stuleciu szczególniéj uwydatnił Hegel, odpowiada w rysach głównych rozwojowi myśli indywidualnéj; wskutek tego praca nad poznaniem historyi filozofii staje się jednym z najlepszych środków przygotowania się do samodzielnego myślenia. Poznając zapatrywania, które kolejno panowały nad umysłami filozofów, przejmujemy się niemi i powtarzamy w naszéj świadomości cały rozwój filozoficznych poglądów ludzkości. Rozwój ten, z historyi znany, zgadza się z naturalnemi dążeniami umysłu naszego, bo myśli proste i łatwiejsze przygotowują nas do trudniejszych i bardziéj złożonych. Historyczny porządek teoryi filozoficznych stanowi zarazem porządek, w którym one najłatwiéj mogą być zrozumiane przez rozwijający się umysł.

Świadome dążenie do poznania wyników myśli poprzedników naszych przyśpiesza nasz własny rozwój.

Ale prócz zupełnie rozwiniętych teoryi znajdujemy tu i owdzie

w dziełach dawnych filozofów wiele niezupełnie jasnych i wyraźnych przypuszczeń co do prawd, których doniosłości sami ich autorowie nie pojmowali.

Pochodzi to ztąd, że nawet gdy prawdę jakąś odkryjemy, nie zawsze zdajemy sobie sprawę z jéj doniosłości, i nie zawsze staramy się wyzyskać ją należycie. Przez to powstaje pozór nieświadomego myślenia i nieświadomego odkrywania prawdy. Istotnie, często nam się wydaje, że pewna część pracy naszéj umysłowéj odbywa się nieświadomie, niezrozumiałym dla nas sposobem. Tak np. czasami matematycy we śnie rozwiązują najtrudniejsze zadania, a nieraz autor jakiś własnego dzieła nie poznaje i dziwi się temu, co sam napisał. Chociaż filozofowie więcéj niż inni ludzie dążą do pełnéj świadomości swoich myśli, nie mogą uwolnić się z pod ogólnego prawa, i nieraz wyrażają w swych dziełach nieświadomie wielkie prawdy [1]). Ponieważ takie prawdy nie są w ścisłym związku z całym świadomym systemem myśli filozofa, więc często pozostają niezauważonemi, póki kto nie sprobuje ich dowieść i określić ich stosunku do całokształtu wiedzy naszéj.

Tak np. Platon chociaż zawsze z zadziwiającą obojętnością zachowywał się względem nauk przyrodniczych, wypowiedział w swych dziełach wiele prawd dowiedzionych i rozwiniętych dopiéro przez przyrodników ostatnich stuleci [2]). I tak, wyraźnie wspomina, że ciepło i ogień powstają wskutek ruchu, że ciepło słoneczne należy uważać za jedyne źródło życia organicznego na ziemi, że dźwięki wynikają z ruchu powietrza: wysokie z prędszego, niższe z wolniejszego ruchu; że istnieją spermatozoa zbyt małe, aby je mogło ujrzéć oko nasze; że w ciele naszém zachodzi ciągła przemiana materyi; że krew nasza ciągle się odnawia i swojém krążeniem dostarcza całemu ciału pożywienia; że każdy organ zmysłowy ma swoją specyalną działalność i nigdy nie mo-

---

[1]) Nowoczesna psychologia tłómaczy iluzyę niby to nieświadoméj działalności myśli brakiem pamięci, gdyż myśl nieświadoma jest w tym samym stopniu niemożliwą jak niewidzialne światło. Jak światło jest nam znane tylko o tyle, o ile jest widzialne dla naszego wzroku, tak samo myśl znamy tylko o tyle, o ile jest nam świadomą. Więc tego, co jest niewidzialném, nie mamy prawa nazywać światłem, ani tego, co jest nieświadomém, nie możemy nazywać myślą.

Jeśli w naszéj świadomości znajdujemy myśl, któréj pochodzenie jest nam niewiadome, to nie znaczy, abyśmy mieli dojść do niéj za pomocą myśli nieświadomych, tylko znaczy, żeśmy zapomnieli o przebiegu myśli, który nas do świadoméj nam myśli doprowadził.

[2]) Patrz: Civitas 352*c*, 509*b*, 530*b*—531*b*. Timaeus 59*d*, 43*b*, 67*b*, 91*d*, 77*c*. Theaethetus 185*a*, 153*a*. Leges 891*c*, Phaedon 96*c*. Contivivum 207*d* etc.

że być zastąpiony przez drugi. Chociaż spotykamy te myśli u Platona, jednak nie bada on spermatozoów jak van Hamm, nie wynalazł teoryi obiegu krwi Harveya, mechanicznéj teoryi ciepła Juliana Roberta Meyera, ani teoryi dźwięków Helmholtza, ani teoryi specyficznéj energii zmysłów Jana Müllera.

W ten sposób w dziełach filozofów znajdują się często nierozwinięte zarodki myśli, mogące w przyszłości służyć za osnowę dalszych teoryi.

Widzimy, że historya filozofii daje nam popierwsze psychologiczny materyał do doświadczalnego stwierdzenia naszych teoretycznych przypuszczeń, i pod tym względem gra tę samą rolę, co doświadczenia zewnętrzne w obrębie nauk przyrodniczych. Powtóre, historya filozofii jako streszczenie rozwoju umysłu ludzkiego staje się jednym z lepszych środków pedagogicznych do rozwinięcia naszych władz umysłowych wogóle. Nareszcie poznając filozofów, znajdujemy w nich pierwiastki nowych teoryi, pobudzające twórczość metafizyczną.

Psychologiczne, pedagogiczne i metafizyczne znaczenie dziejów filozofii tłómaczy nam, dlaczego historya filozofii stale powinna więcéj zajmować uczonych, niż historya jakiejkolwiek innéj nauki. Trzeba jeszcze wytłómaczyć, dlaczego historya filozofii obecnie gra nietylko większą rolę, niż historya innych nauk, ale też niż same nauki filozoficzne — metafizyka, logika, etyka, estetyka i psychologia.

Ponieważ ta przewaga charakteryzuje tylko epokę bieżącą, musi tedy mieć wyłącznie przemijające przyczyny. Takie przyczyny rzeczywiście istnieją, a przegląd filozofii XIX stulecia wskaże nam je bezwątpienia. Wiemy, że w początkach wieku bieżącego filozofowie z nadzwyczajną energią tworzyli nowe teorye; szczególnie oryginalna teorya Hegla rozpowszechniła się prawie we wszystkich krajach Europy: jego zwolennicy byli przekonani, że odkrył on całą prawdę w zakresie filozofii i że jego następcy nie wiele będą mieli do uzupełnienia lub zmienienia. Ale to naiwne przekonanie krótko trwało. Ze wszystkich stron rozpoczęła się walka przeciw Heglowi, tak że jego teorya nie mogła się ostać i upadła pod ciosami krytyków: klęska ta przybrała wielkie rozmiary, gdyż razem z filozofią Hegla upadł idealizm wogóle, i idealizm, który przez 2,000 lat naprzemian z materyalizmem prawie wszechwładnie panował w filozofiii. Upadł głównie dlatego, że Hegel wyraził go konsekwentnie i wyczerpująco, a przez to uwidocznił wszystkie jego słabe strony. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, jak ogromny wpływ wywierał idealizm od czasów Platona do He-

gla na wszystkie przejawy życia umysłowego, to łatwo pojmiemy, że upadek takiego poglądu na świat mógł czasowo osłabić zaufanie do teoryi filozoficznych: śmielsi zwrócili się wtedy do drugiego systemu metafizycznego, otrzymanego także w spuściźnie po Grekach, do materyalizmu.

W szóstym i siódmym dziesiątku lat bieżącego stulecia zakwitł materyalizm i zapewniał wielu jego zwolennikom takież zadowolenie, jak przedtem innym idealizm, mianowicie złudzenie posiadania zupełnéj prawdy. Ale podczas ostatnich lat 20 powstał ogólny prąd przeciw materyalizmowi. Nauki przyrodnicze, do których w połowie naszego stulecia z taką dumą i zarozumiałością odwoływali się materyaliści, przeczą teraz wywodom materyalizmu. Fizycy, fizyologowie, chemicy, jednogłośnie przyznają, że mają do czynienia jedynie ze zjawiskami, i że na mocy ich nauk nic nie da się orzec o rzeczywistém istnieniu. Znakomici przyrodnicy jak Helmholtz [1]), Fechner [2]), Dubois-Reymond, Wundt, Zöllner [3]), Bunge, wykazują wielkie niekonsekwencye materyalizmu, a sami materyaliści zaczynają przybierać nazwę monistów, wyznając przez to, że pierwotny materyalizm stracił już racyą bytu [4]). Tak więc w XIX stuleciu, wśród ogólnego postępu wszystkich nauk, w dziedzinie filozofii nastąpił upadek dwóch teoryi metafizycznych, prowadzących między sobą zaciętą walkę od przeszło 2,000 lat.

Upadek materyalizmu i idealizmu był już przygotowany w końcu zeszłego stulecia przez krytykę czystego rozumu Kanta; nastąpił on dopiéro ostatecznie w drugiéj połowie naszego wieku, wskutek wszechstronnéj dyskusyi, wywołanéj przez powstanie przeciwległych sobie skrajnych teoryi metafizycznych na gruzach filozofii Kanta.

---

[1]) Helmholtz „Vorträge und Reden“ 1884.

[2]) Fechner: Ueber die physicalische und philosophische Atomenlehre 2-te Aufl. 1864. Elemente der Psychophysik 1860. Ueber die Seelenfrage 1861.

[3]) Zöllner „Ueber die Natur der Kometen“ 1872. „Wissenschaftliche Abhandlungen“ 1878—79.

[4]) Oto kilka dzieł mających za przedmiot krytykę materyalizmu·

L. Faure: „Le Materialisme devant la science et la logique“ 1878.

H. Siebeck „Das Bewusstsein als Schranke der Naturerkenntniss.“

H. Simonin „Psychologie humaine, Examen et critique des doctrines du matérialisme“ 1879.

J. Bergmann „Materialismus und Monismus.“

Giacomo Oddo Bonafede „La Verità sulla filosofia empirica moderna“, Verona 1880.

Thomas Maguire „Lectures on philosophy“, London, 1885.

Skrajny idealizm Hegla, skrajny materyalizm Moleschotta i Büchnera zdyskredytowały wszelki idealizm, wszelki materyalizm wogóle. Dziś filozofowie nie dążą już do tworzenia nowych systemów z przekonań osobistych, szukają raczéj ogólnych naukowych pewników. W filozofii odbył się taki sam przewrót jak w innych naukach: zapomocą odpowiedniéj organizacyi pracy naukowéj ułatwiamy sobie badanie pojedyńczych kwestyi, opierając się zawsze na pracy poprzedników. Dawne pojęcie systemu filozoficznego zawierało potrzebę odpowiedzi na wszelkie możliwe pytania; pojmując dziś filozofią, jako naukę, nie probujemy przedstawiać jéj w całości już wykończonéj, ale zadawalniamy się odpowiedzią na te pytania, których rozwiązanie jest nam dostępne: tą drogą tworzy się także system filozoficzny, ale już nie osobisty, jak poprzednie systemy wielkich filozofów, tylko ogólno naukowy system, wspólna własność wszystkich współpracowników. Takiego systemu już nie uważamy za ostateczny, jak za ostateczny i obiektywny wyraz prawdy uważał Hegel swój absolutny idealizm, lub Comte swój pozytywizm. Wiemy, że wiadomości nasze ulegają stopniowemu rozwojowi, i że każdy systematyczny układ prawd jakiejkolwiek nauki ma tylko znaczenie czasowe; zupełny i ostateczny system wiedzy — to dzieło nadludzkie, niedościgniony ideał naszego rozumu, wzrastający ciągle, w miarę naszego postępu. Kiedy po usunięciu najjednostronniejszych systemów filozofii greckiéj, idealizmu i materyalizmu, filozofowie współcześni zaczęli badać prawdę szczegółowo, niezależnie od niedowiedzionych uprzedzeń przedwczesnéj systematyki, wtenczas powstało nowe zadanie, nie istniejące przy poprzedniéj, systematycznéj jednostronności. Zadanie to polega na ścisłém określeniu tego, co dotychczas pozyskano nazawsze w obrębie filozofii. Póki filozofowie dążyli do budowy zupełnie wykończonych systemów, zwolennicy pojedyńczych szkół prowadzili między sobą upartą walkę i rzadko byli w stanie pojąć jeden drugiego: przeszkadzały im własne ich uprzedzenia; teraz wolni od uprzedzeń, powinniśmy badać wszystkie systemy, oddzielając w nich to, co mają wspólnego i dowiedzionego, od osobistych przekonań, dotąd niedowiedzionych. Kto uważa filozofię za naukę, ten przyzna, ze skromnością uczonego, że na wiele pytań nie posiada jeszcze odpowiedzi.

Możemy sobie wytłómaczyć to zjawisko w filozofii, zwracając uwagę na zupełnie podobne zjawisko w osobistym rozwoju człowieka; dwudziestoletni młodzieniec często miewa gotowe rozwiązania dla najtrudniejszych zadań etycznych i politycznych. Chciałby przerobić cały świat i jest przekonany, że wié, na czém polegają błędy istniejącego porządku rzeczy, i jakby można wszystko urządzić. Obwinia

tych, którzy mając możność działania nie odważają się na nie, i zarzuca im nieumiejętność lub obojętność. Ale gdy taki młody reformator lepiéj pozna życie, przekona się, że nieraz osiągnięcie najmniejszego celu wymaga wiele pracy, że chcąc dobrze zużytkować krótki czas życia ludzkiego, trzeba nie siły na zamiary, lecz zamiary mierzyć według sił; wtedy zacznie on mieć uznanie nawet dla nieudatnych prób, pobłażanie nawet dla niepowodzeń innych — i sam nie chcąc już rozwiązywać niedostępnych mu zadań, obierze sobie ciaśniejsze pole pracy, czasem zapominając o celach ogólnych. Toż samo zdarzyło się filozofom: na początku naszego stulecia chcieli jeszcze z niezwruszoną wiarą w siebie odpowiadać *a priori* na pytania wszystkich nauk, nawet takich, które, jak nauki przyrodnicze, wymagają badania właściwości przyrody zapomocą trudnych i szczegółowych doświadczeń. Teraz, przekonawszy się, że tylko zapomocą dokładnego badania pojedyńczych kwestyi można posunąć się o krok naprzód w nauce, zwrócili swe siły ku specyalnym badaniom, tak, iż często zbyt jednostronnie zajmują się wyłącznie swym przedmiotem i stają się podobnymi do tych specyalistów praktyków, w których tylko ich fach rozbudza zajęcie, i którzy nie znają rozkoszy ogólnego wykształcenia. W uznaniu potrzeby streszczenia pracy filozoficznéj dawnych myślicieli mieści się główna przejściowa przyczyna obecnéj wyjątkowéj pracy uczonych nad historyą filozofii; możemy uważać tę przyczynę za przejściową, gdyż dążenie do bezstronnego zbadania systemów filozofii mogło zjawić się tylko po obaleniu niewczesnych dążeń do zbudowania odrazu jednego zupełnego i ostatecznego systemu.

Gdy porównawcze badania nad wszystkimi filozofami doprowadzą nas do zespolenia w jedną całość pracy dawnych filozofów, wtedy historya filozofii zachowa swe znaczenie psychologiczne, pedagogiczne i metafizyczne, ale już nie będzie, jak obecnie, prawie wyłącznym przedmiotem pracy filozofów. Wtedy nastąpi w filozofii taki sam przewrót, jaki już nastąpił w naukach przyrodniczych.

Kiedy dawniéj uważano za wielki postęp w nauce odkrycie nowéj planety, lub danie nazwy nieznanéj przedtém roślinie, albo chemicznemu pierwiastkowi; teraz podobne odkrycia dużo straciły na wartości i nikt nie bierze ich za główny cel swéj naukowéj działalności; odkrycia te robią się przypadkowo i są uważane tylko za powiększenie materyałów do uogólnień naukowych. Te uogólnienia przyciągają do siebie coraz więcéj uczonych, a względem nagich faktów zachowują się oni coraz to obojętniéj, gdyż takich faktów mamy już ilość ogromną. Rolę faktów w filozofii, prócz ciągłego wewnętrznego

doświadczenia, gra jéj historya, dotychczas jeszcze niedostatecznie zbadana [1]); dopiéro, gdy najważniejszy materyał będzie już wszechstronnie i systematycznie opracowany, badania historyczne stracą swą przewagę w filozofii i zacznie się gruntowniejsze opracowywanie oddzielnych nauk filozoficznych: metafizyki, logiki, etyki, estetyki i psychologii. Wtedy téż ukaże się bezpodstawność bezzasadnych wniosków co do mniemanych granic wiedzy ludzkiéj, które za Kantem chcą ustanawiać niektórzy współcześni autorowie, jak naprzykład Spencer, Dubois-Reymond i inni.

Granice te coraz więcéj się rozszerzają, dzięki nowym pracom uczonych i filozofów; tylko ten może się ośmielić upatrywać jakieś wieczne, nieprzekraczalne granice wiedzy ludzkiéj, kto sam mniema o sobie, że całość ogarnął, że znalazł ów ostateczny system filozoficzny, którego jakby jakiegoś kamienia mądrości szukali dawniejsi filozofowie, a szczególniéj mniéj głębocy następcy i uczniowie wielkich myślicieli. Prawie każdy z pomiędzy wielkich mistrzów filozofii pojmował, że do granic jeszcze nie dotarł, choć jasno zdawał sobie sprawę z odległości, która go dzieliła od jego poprzedników. Nic nam tak jasno nie wskazuje zmienności granic wiedzy ludzkiéj, jak historya filozofii, która zarazem jest najlepszém przygotowaniem do rozszerzenia tych granic.

Główną uwagę zwraca na siebie historya filozofii greckiéj, gdyż w niéj znajdujemy zarodki prawie wszystkich późniejszych systemów. Przyczynia się téż do tego okoliczność, że w XIX stuleciu filologia klasyczna zrobiła ogromne postępy: niezmęczona wytrwałość, przenikliwość umysłu i subtelne wnioski filologów odniosły znakomite zwycięstwa, a ponieważ filologia klasyczna zajmuje się przeważnie zabytkami literatury greckiéj, w któréj prace filozoficzne mają pokaźne miejsce, więc nic dziwnego, że postępy filologii klasycznéj przyczyniły się téż do zgłębienia filozofii greckiéj.

Filolodzy wspólnie z filozofami pracowali na tém polu, i bez

---

[1]) Prawie całą bibliografią współczesnéj pracy uczonych nad historyą filozofii zestawił Heinze w 7-ém wydaniu historyi filozofii Ueberwega, znakomitéj pod względem bibliograficznym (F. Ueberweg, Grundriss der Geschichte der Philosophie, bearbeitet und herausgegeben von dr. Max Heinze. Berlin 1886—1888). Prócz dzieł w niéj wymienionych, wskazać należy prace następujące: Savio, Storia della Filosofia. Torino. 1888. Santi, Storia della filosofia. Perugia 1886. Gonzales, Historia della Filosofia, 2-e wyd. Madrid 1886. P. M. Brin, Histoire générale de la philosophie, 1881—1885.

wątpienia żadna epoka filozofii nie wzbudzała w naszych czasach tak ogólnego zajęcia, jak filozofia Greków; mówiąc jednak o pracy i zasługach filologów, nie należy zapominać o tém, że historyczno-filologiczna interpretacya filozofów greckich może służyć wyłącznie za materyał i podstawę do filozoficznego ich opracowania. Od filozofa nietylko się wymaga, aby dobrze pojął tekst greckich autorów, aby mógł krytycznie dowieść autentyczności i wskazać chronologiczne następstwo dzieł każdego autora, aby wiedział, jakie zdarzenia ówczesne mają na myśli dawni filozofowie, gdy czerpią przykłady do swoich filozoficznych wywodów ze współczesnego im życia narodu: filozof powinien prócz tego dążyć do psychologicznego wytłómaczenia rozwoju teoryi, które bada, powinien wyraźnie módz oznaczyć, jaka część tych myśli zachowuje stałe znaczenie dla nauki, powinien wiedziéć, jakie formy przybrały poglądy dawnych filozofów w następstwie, jak powstawały i dlaczego były zarzucane oraz dlaczego w nauce rozpowszechniały się mylne teorye. Ponieważ właściwy przedmiot badań filozoficznych— człowiek—nie zmienił się w głównych zarysach w przeciągu wieków historycznych, więc możemy znaleść wszystkie dążenia, przekonania, zwątpienia i nadzieje minionych wieków w naszéj własnéj świadomości; możemy je pojąć i uprzystępnić innym.

Przez badanie historyi przekonań wszystkich wielkich ludzi, którzy dawno umarli, rozszerzamy granice naszego własnego życia. Filozof, znający dokładnie historyą dążeń ku prawdzie, przestaje być synem własnego stulecia, a staje się mieszkańcem całéj kuli ziemskiéj i obywatelem wszystkich minionych historycznie zbadanych wieków; zapomina o tém, że się urodził w XIX stuleciu: wszak on razem z Platonem zachwycał się niezmiennemi ideami, wszak z Demokrytem wyobrażał sobie wieczny ruch atomów, wszak odczuwał i mistyczne ekstazy Swedenborga i sceptycyzm Montaigne'a; on razem z Kantem wymierzał potęgę czystego rozumu, razem z Heglem pojmował absolutnego ducha; zrozumiawszy wszystko, nie będzie lekceważył niczego. Toż wszystkie owe błędy, wszystkie jednostronne systemy, są wyrazem rozmaitych stanów duszy ludzkiéj. Ten, co je przeżył choćby chwilę w swéj świadomości, zdobył prawo spoglądać na nie, jako na przeszłe stadya swego własnego rozwoju, jak na złudzenia swéj własnéj młodości;— na tę minioną młodość swego i ogólno-ludzkiego umysłu, filozof taki patrzy ze spokojnym uśmiechem i wié, że dzięki przezwyciężonym przesądom i sprostowanym błędom, doszedł on do własnéj swéj dojrzałości, która nam pozwala w miarę sił brać udział

w pracy około odkrycia nowych prawd i rozszerzenia granic wiedzy ludzkiéj.

Jeśli zawsze będziemy rozumieli stosunek psychologiczny, zachodzący pomiędzy myślami badanych przez nas filozofów a ogólnym rozwojem myśli ludzkiéj, to dawne teorye nie będą nam się wydawały próżnemi marzeniami, trudnemi do utrzymania w pamięci — ożyją one w naszym umyśle, jakby wrażenia osobistych stosunków z wielkiemi geniuszami, jakby wspomnienia z rozwoju ludzkości, powtórzonego w naszym osobistym rozwoju.

*Wincenty Lutosławski.*





# NIEDYSKRECYA.

## NOWELA.

### I.

Służyłem zawsze w świetnym czwartym pułku huzarów węgierskich. Piastowałem rangę porucznika w trzecim oddziale drugiego szwadronu i przyjaźniłem się z najbliżéj mnie stojącymi oficerami. Tymi byli dwaj dowódzcy pierwszego i czwartego oddziału, hrabia Gyula Redödy i Bela Czákvar.

Byliśmy razem nierozdzielni, bo nas nietylko łączyła przyjaźń, lecz i służba w jednym szwadronie pod komendą sympatycznego i lubianego rotmistrza księcia Arpada Galavicini.

Rotmistrz uchodził za surowego przełożonego i był nim w istocie rzeczy, bo wymagał on od swych oficerów nietylko służbistości przed frontem, lecz wglądał też w ich prywatne życie, które, jak mawiał, winno było być bystrzejszém od potoku, płynącego wartkim prądem z gór Szöröny, a czystszém od jego przezroczystéj z łoskotem po kamieniach toczącéj się wody. Bo Galavicini, będąc z powołania żołnierzem, podobno był i poetą, którego muzę posądzono w pułku o skomponowanie niejednéj piosnki, trafiającéj do przekonań lśniących huzarów czwartego pułku.

„Lśniącym“ bowiem zwał się nasz pułk od wieków. Czy go tak ochrzciły piękne węgierki od Belgradu, gdzie długo stał załogą; czy też przydomek ten zawdzięczał swym złoto-kasztanowatym koniom, które milionami barw uśmiechały się do słońca, gdy stanęły w paradzie pod światłem jego promieni—nie wiem! Dość, że wystar-

czało powiedzieć „lśniący pułk“, a każdy madziar wiedział, o jakim była mowa. A nas zaś razem i pojedyńczo zwano „lśniącymi huzarami“, a słowa te magiczny wpływ wywierały na śliczne węgierki, od Karpat i Bośnii, od Siedmiogrodu i Austryi. Wszakże w całych Węgrzech znaną jest piosnka, opiewająca blask naszego pułku, a zaczynająca się od słów:

Na kwaterę zjechał żołnierz,
Lśni od słońca złoty kołnierz,
Jego szabli klinga biała,
A koń także złoty z ciała...

Takimi byliśmy. Takimi prawdziwie „lśniącymi huzarami“ byli też moi dwaj przyjaciele Czákvar i Redödy, którzy sami jedni mogli wyrobić prawo bytu temu świetnemu czwartego pułku przydomkowi.

Trudno opisać tych dwu młodzieńców pełnych ognia i życia, pełnych blasku i uroku, pełnych piękna i brawury.

Zaiste, nie wiem, jak mój pułk kocham, którego z nich madziarskie czarne oczy jaśniéj świeciły, którego kędzierzawe włosy, przy hebanie silniéj od niego kruczą barwą połyskiwały, a którego rysy, wyrażały więcéj odwagi i hartu, więcéj uroku i rycerskiego ducha.

Wiem tylko, że Redödy miał jak cygan śniadą twarz, przy któréj matowym kolorycie odbijały śnieżno białe zęby.

Czákvara zaś blade oblicze tak było piękne, iż na ulicach Pesztu każdy przechodzień przystawał na widok tego młodzieńca, od Apolla piękniejszego.

Charaktery ich, jak wszystkie rdzennie węgierskie natury, miały wspólne cechy. Redödy był więcéj, Czákvar mniéj cyganem, Redödy chwytał za rękojeść swego pałasza, gdy Czákvar zaciskając do krwi usta, swego wąsika pomuskiwał. Redödy mienił się jak kameleon, gdy patrzał na kobiétę, gdy Czákvar topił w niéj tylko swój bystry wzrok, cały w nim duszą i ciałem.

Obaj byli w jednym wieku, obaj wychowańcami téj saméj szkoły wojskowéj, obaj wreszcie pochodzili z południowych Węgier, z téj krainy, w któréj słońce swemi jaskrawszemi promieniami czerni silniéj głowy, opala oblicza, a czerwieńszą i gorętszą krew podobno rodzi.

Obaj żyli dotąd w najściślejszéj przyjaźni. Czasem, ale i to rzadko, Redödy pozazdrościł na chwilę tylko Czákvarowi złocistszego od jego konia, jeśli ten ostatni takiego skąd wytrzasnął.

Czasem znów Redödy także pozazdrościł koledze kochanki, jeśli ta miała od jego piękniejsze niebieskie oczy, czy jaśniejsze włosy.

Bo Redödy był zazdrosnym i chciwszym od Czákvara życia i jego blasków.

A obaj te same zdawali się mieć cele i te same żywić namiętności. Ginęli za kobietami i końmi, końmi i kobietami, a nikt nie mógł dociec, co który z nich przekładał, złoto-siercistego wierzchowca, czy złotowłosą kochankę.

Oni to, bo któżby, dali myśl pułkownikowi do skomponowania téj rześkiéj i znanéj piosnki, śpiewanéj przez nas za każdym razem, co wino Węgrowi pieśń do ust, a czardasza w nogi zapędza.

Jeśli takimi byli Redödy i Czákvar, to nie różnili się od nich zaprawdę i inni lśniący huzarzy, począwszy od naszego starego pułkownika, co po stołku konia dosiadał, ale go dosiadał, a skończywszy na naszym starym wachmistrzu drugiego szwadronu, który także lśnił się do słońca swym srebrno-białym wąsem, niegdyś jak mawiał, czarniejszym od piór węgierskiego kruka.

Wszyscyśmy bowiem lśnili i błyszczeli, wszyscy się pienili, jak wezbrane Dunaju wody i wszyscy radowali życiem i szczycili chwałą czwartego pułku, jak te orły dumne z wirchów Karpat i Beskidów.

Bo czwarty pułk był perłą, jak mawiał sam cesarz, w jego pułkach huzarów i dragonów, ułanów i kirysyerów.

Bo czwarty pułk nietylko najbardziéj do słońca lśnił, ale był między wszystkimi najczystszy, jak ten nieskażony kryształ, jak ten brylant z korony Ś-go Szczepana.

Jeśli czasem w innych pułkach przytrafiały się tajemnicze wypadki, to o nich nikt nigdy nie słyszał w gronie „lśniących huzarów“.

Jeśli czasem w innych pułkach zachodziły potrzeby dymisyi i działy się skandale, wynikłe z pijatyk, czy szulerstwa, to o nich nikt nigdy nie wiedział w czwartym pułku.

Dumniśmy z tego byli, dumni nad wyraz. To téż nie ustępowaliśmy w niczém, owszem prym trzymali nad jedenastym pułkiem, choć ten liczył w swych oficerach samych magnatów — bojarów i członków izby panów i nad siódmym, zwanym „hulaszczym“, choć w nim złoto, nie szampan przelewało się strumieniem i nad piętnastym, choć go monarcha uważał za najodważniejszy i najlepiéj wyćwiczony.

Podanie niosło, że odkąd istnieli „lśniący hnzarzy“, nie było między nimi jednego wypadku, kończącego się przed kratkami sądowemi.

A cesarzowa Marya Teresa, również niosło podanie, miała się spytać, jednego z feldmarszałków, dlaczego czwarty pułk się lśniącym zowie, czy dla swych złotych koni, czy dla innych przyczyn? Stary wojskowy jéj odpowiedział:

— Nie, najjaśniejsza pani! W właściwém znaczeniu słowa lśni tylko brylant, ten najczystszy kamień. Nim jest czwarty pułk...

Tak rzeczywiście się miało i takimyśmy nieskażonymi jeszcze byli, gdy nas rozkaz ministeryum wojny nagle przenosił z Pesztu na granicę Bośnii i Hercegowiny, gdzie się zanosiło na poważne wypadki.

Opuściliśmy więc z żalem, z nadchodzącą wiosną, naddunajską stolicę; maszerowali na południe, nucąc wydobytym z setek piersi, a jakby jednym przesilnym głosem:

To my idziemy! dziewczęta!
My! Lśniący Węgier huzarzy,
Odsłońcie wasze oczęta,
Blask nasz — was nie poparzy.

## II.

Na południe od Pesztu, w linii prostszéj niż ta, jakąby zrobiła kula armatnia, leży miasteczko Sombor w okolicy którego mieliśmy stanąć kwaterą.

Droga z Pesztu do Sombora prowadzi równiną, jaką tylko jedne Węgry mają. Nosi ona nazwę puszczy Keczmeckiéj, zaczyna się tuż pod Pesztem, a ciągnie lewym brzegiem Dunaju do samego Somboru prawie. Od wschodu zamyka ją Cissa.

Któż z nas nie zna puszczy Keczmeckiéj, téj krainy wolności naszych złotych rumaków, których stada napawają zazdrością serce każdego huzara?

Trudno opisać urok, jaki dla pułku konnicy ma marsz przez czterdzieści mil długą równinę kończącą się, jak stół równą, jak szmaragd zieloną, jak raj cichą, puszczą Keczmecką.

Jak daleko oko sięgnie, równo i cicho, a zielono i pięknie. To tylko zaczerni się w oddali punkcik mniejszy od główki u szpilki, który jest domem, przeznaczonym na schronienie dla pasterzy. To nieprzejrzana zielona łąka zamigota ruchomą, szarą plamą, którą jest nieprzeliczone stado owiec, lub wołów węgierskich.

A jakże cicho i uroczyście.

Czasem tylko zarżał, który z kasztanów czwartego pułku, poznając chyba po gatunku pokrywających puszczę traw, swój kraj rodzinny, a wtedy, gdzieś daleko, zdałoby się na téj równinie, gdzieś o tysiące mil, odpowiadało mu rżeniem całe stado rumaków, bujających po stepie.

Jakże to rżenie jednak było cichém i głuchém. Rozpoznać je tylko mógł Redödy, który sam co rok zwiedzał w celu zakupu koni

puszczę całą. Rozpoznać je tylko był w stanie ten i ów żołnierz, pochodzący z pasterzy tych puszcz, zwanych „czikosami“.

Myśmy słyszeli tylko, jakby szmer w powietrzu, jakby odgłos szybującego ptaka, czy owadu.

Ale, ilekroć razy kasztan Redödiego zarżał, to tylekroć towarzyszyło mu gdzieś w dali to echo, a zaraz po nim odzywały się wszystkie, jeden po drugim w pułku konie, które w Keczmeckiéj puszczy wzrosły i te chwile pierwszéj młodości do najpiękniejszych w swém życiu liczyły.

Wtedy wśród imponującéj ciszy puszczy ruch zapanowywał w szeregach maszerujących długim pasem. Wtedy to ten, to ów rumak usiłował wydostać się z rzędu i popędzić jak strzała w kierunku, gdzie jego bracia i siostry może używali złotéj wolności. Wtedy to i niejeden czikos otarł łzę pięścią, bo i jemu uśmiechała się ta swoboda i cisza, w któréj strzegąc stada bujnych rozhasanych koni, spędził dwadzieścia najpiękniejszych, pierwszych lat żywota.

Nic równie poetycznego jak ten marsz, trwający dni ośm po traw dywanie, zieleńszym od szmaragdów, miększym od puchu łabędziego.

Nad nami niebo lazurowe, a pod nami zieloności nieprzejrzane morze.

Pusto i głucho.

A cóż to za radość nas ogarniała wszystkich, gdyśmy spotkali stado owiec, umykające przed brzękiem szabli i ostróg, lub trzody opasłych wołów, które odbiegłszy na kilkaset kroków od naszéj drogi, przystawały i wyłupiały zdziwione oczy.

— Żeby tak spotkać czikosa ze stadem złotych kasztanów! — Westchnął Redödy.

— Poczekaj! — odparł Czákvar — zapewniam cię, że nam drogę jeszcze przerznie niejedno stado rumaków. Nie ręczę za kasztany, ale gwarantuję za konie.

Czikosy trzymają się więcéj na południe równiny, ulubili sobie puszczę Keczmecką, bo w jéj p u s z t a c h woda jest lepsza i trawa żyzniejsza.

Tak gwarząc, postępowaliśmy krokiem daléj i daléj, nie robiąc więcéj jak pięć mil dziennie, nocując pod gołem niebem na posłaniu z traw i ziół.

A trzeba było być ostrożnym, bo co nocy zbliżały się czasem stada koni, a wtedy rwały się do nich nasze wierzchowce i rżały, a nie czując jeźdźca na sobie, próbowały wyrwać kołek z ziemi i popędzić za swobodną bracią.

Szóstego dnia tego marszu, stanęliśmy na noc w okolicy, która

według naszéj mapy nie mogła być inną, jak częścią puszczy Keczmeckiéj, leżącéj opodal Solt.

Słońce zaszło już. Niebo pokrywało się gwiazdami. Trawy wydawały cudne wonie, a rosa orzeźwiała powietrze i niejako wzmacniała ciała ludzkie.

Żołnierze rozniecili olbrzymie ognie z suchych, naprędce zgromadzonych traw i z olch ściętych u brzegu niedalekiego bagienka. Dokoła jednego z nich rozsiedli się oficerowie całego pułku. Zabrzęczały szklanki, zaczęły pękać, jedna po drugiéj butelki węgrzyna i wkrótce nocną ciszę przeszywały madziarskie pieśni, śpiéwane u wszystkich ognisk, rozbrzmiewające w dal po stepie.

U naszego ogniska, Galavicini intonował tę znaną baladę, zastosowaną do okoliczności, która porywała nas, zmęczonych powolnym marszem, swą rzeźką i ochoczą nutą:

Na pusztach keczemenki
Spotkalem raz dwie cyganki,
Rzuciłem im złota cały trzos
I pytam, jaki mi wróżą los.
. . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . .

Już było późno, już gwiazdy całą siłą błyszczały, już gasły ogniska w obozie, gdyśmy umilkli wyczerpawszy gardła i wysuszywszy gąsiory win.

W tém ruch zapanował w obozowisku. Nagle rżeniem odezwało się kilkanaście koni. W sekundę późniéj rżały, niepokoiły się już wszystkie przebierając nogami. Wspinając się do góry, a podnosząc głowy i ogony, gotowe do biegu rozglądały się dokoła siebie i w nagle powstałéj ciszy, czekały...

Zerwaliśmy się i nadstawiali uszu.

Wtedy doleciał nas zbliżający się tentent jakby całego pułku konnicy w ataku.

— To stado jakieś węgierskich rumaków — zawołał Redödy z iskrą w oczach—rozhukało się i biegnie ku naszym ogniskom. Ono jeszcze daleko, choć się nam tuż wydaje.

Tak rzeczywiście było. Tentent wzrastał co chwila, ziemia pod naszemi stopami zdawała się dudnić, żołnierze biegali, jak szaleni w obawie, by dzikie, wolne i rozpędzone konie nie wpadły w obozowisko, by nasze się niepozrywały z kołków, by nie było wypadków.

Ziemia coraz silniéj dudniła i jakby drżała. W powietrzu szumiało od rozpędu setek może zwierząt.

Téj chwili nigdy nie zapomnę.

Wszystkie konie pułkowe, skończywszy na najstarszych, zmęczone sześciodniowym marszem, podniosły głowy, wytrzeszczyły szlachetne oczy, zadarły ogonów rozwarły chrapy i czekały.

Nagle powstał huk, którego charakteru opisać już trudno. To stado wpadło w obóz. Tentent ucichł w jednéj sekundzie, a zastąpiły go szalone na różne nuty rżenia, wśród ludzkich okrzyków rozmaitego rodzaju.

W tym hałasie, huku, kwiku, rozbrzmiewały obce nam i charakterystyczne głosy.

— Ha! — zawołał uradowany Czákvar—to wielkie stado! Słyszycie głosy czikosów? Jest ich wielu... nawołują swe konie ze wszystkich stron... to jedno z pierwszych puszcz keczmeckich stado...

Tak rzeczywiście było. Zewsząd dolatywały nas coraz bliższe pędzących za swymi końmi, nawoływania licznych czikosów.

Wreszcie to tu, to owdzie, pojawili się oni sami na spienionych rumakach, opaleni gorzéj od cyganów, z błyszczącemi oczyma, zziajani pędem, strwożeni o dobytek.

— Bogu chwała!—zawołał jeden z nich, zatrzymany przez nas— że nasze konie na wasz obóz trafiły... one już od dwóch godzin pomknęły i myśleliśmy, że się niezatrzymają, aż nad Cissą pod Szegedynem.

Widząc zdziwione nasze miny, mówił daléj ten madziar, który był pierwszym czikosem stada, liczącego paręset dorosłych koni.

— Ho! Moi lśniący panowie! Bo tak nieraz się zdarza, a wtedy biada czikosom! Drogo ich takie rozbrykanie się rumaków kosztuje. Niejeden złoty kasztan w zaślepionym pędzie padnie, niejeden czikos kark skręci na miękkim i zielonym dywanie.

— Toś ty może? — zawołał Redödy przyskakując do jeźdźca — czikos stada Csent-Horki, stada, znanego ze złotéj sierści swych koni?

— Ja nim jestem!

— Ha! Ty! Niechże sobie przypomnę, jak się nazywasz...

— Sölömy...

— Sölömy! — powtórzył uradowany Gyula i chciał jeszcze mówić z czikosem, ale ten pomknął daléj, gwizdnąwszy przeraźliwie, bo wśród nocy swém sokolém okiem dostrzegł, że jego czikosy źle się biorą do zwoływania rozhukanego stada i gromadzenia go w jeden punkt zborny.

Dosiedliśmy wszyscy wierzchowców i całą noc spędzili na pomaganiu czikosom w uporządkowaniu swych rozbujałych na swobodzie i przestrzeni zwierząt.

Ciekawém to było nad wyraz i przedstawiało niemało zachodu

i trudu. Zależało bowiem na schwytaniu starego rozbrykanego dnia tego ogiera, który był jedynym prawdziwym panem tych przecudnych stworzeń.

Nad ranem, tańcząc na nogach, chrapiąc ze zbytku, fruwając swym złotym ogonem, przyszedł sam do ręki swego czikosa, Abdul-Séren, kasztanowaty ogier, prastary ojciec pierwszego w Węgrzech stada.

Była to niemal uroczysta chwila.

— Abdul-Séren jest!—krzyknął uradowany czikos.

— Abdul-Séren! — zabrzmiało w kilkudziesięciu piersiach czikosów i rozniosło się echem po puszczy.

Czikosy świstali, dzikie wydając okrzyki, radowali się niezmiernie, bo gdyby Abdul-Séren nie dał się schwytać, toby żadnym sposobem nie oddzielili swego stada od naszych koni pułkowych.

Wtedy Sölömy dosiadł starego ogiera, na którego widok z podziwu oczy wychodziły niemal z za powiek i pognał na nim o parę set kroków w step.

Odtąd Abdul-Séren rżał co kilka minut, a za każdém odezwaniem się jego, to wybiegały z obozowiska rumaki, to gdzieś zdala z nocnego spoczynku nadbiegały matki ze źrebakami, zmęczone wczorajszą gonitwą.

Wszystko śpieszyło na apel Abdul-Sérena, który póty rżał, aż całego swojego stada swym mądrym, bystrym i szlachetnym wzrokiem nie zliczył, aż go ono całe nie otoczyło, jak prawdziwego i dobrego ojca i opiekuna.

## III.

Jeszcze słońce nie zeszło, gdy Redödy łyknąwszy szklankę węgrzyna, zawołał:

— Piękne są te konie, jak Węgry kocham! ale nie ma między nimi piękniejszego od mojego „Mahometa“.

Nikt się z nas nie odezwał, bo słowa Gyuli mogły być prawdą. Jego Mahomet był cudowném stworzeniem.

Wtém Czákvar wtrącił:

— Nie przeczę, że pięknym jest twój Mahomet, ale podejmuję się piękniejszego wynaleść w stadzie Sölömego.

Redödy zmarszczył brwi i odrazu zakipiał:

— Czy mówisz seryo? — zapytał ostro ze swą zwykłą porywczością.

— Najzupełniéj seryo! — odparł także się ożywiając Bela i podnosząc z miękkiéj murawy.

Gyula się rozłościł, co mu trudno nie przychodziło, jeśli mu się kto sprzeciwiał.

— A więc znajdź! — zawołał.

— Cóż mi z tego przyjdzie? — odparł obojętnie Bela.

— Ha! — krzyknął jeszcze bardziéj zirytowany i obrażony za swego Mahometa koniarz—przyjdzie ci z tego wiele.

— Mianowicie? — podchwycił Czákvar, urażony wyzywającym tonem przyjaciela.

— Mianowicie — zawołał Gyula Redödy ze śmiechem — udowodnisz choćby raz w życiu, że ważysz słowa twoje...

— Alboż ich nie ważę?—zapytał czerwieniając Bela.

— Nie! Skoro twierdzisz, że stado to może mieć piękniejszego od mojego konia — mówił Redödy i kończył z sarkastycznym śmiechem — a powtóre raz wreszcie także udowodnisz, że się znasz na koniach.

— Wyzywasz mnie?

— Wyzywam! — podchwycił Gyula, który wierzchowca swego zawsze ze sobą jednoczył — wyzywam! abyś udowodnił swoje twierdzenie, bo oficer czwartego pułku nie szczeka jak pies... Wyzywam, abyś znalazł w tém stadzie piękniejszego od Mahometa rumaka, piękniejszego, nie według ciebie, bo ty się znasz na koniach jak Anglik na papryce, ale według uznania oficerów czwartego pułku. Wyzywam! abyś raz się oduczył bezpodstawnego sprzeciwiania się słowom moim, które są nieomylne w zakresie koniozna wstwa.

Chciał jeszcze mówić, ale już i zapalczywemu Beli brakło cierpliwości.

— Panowie!—zawołał, zwracając się do nas wszystkich. — Słyszeliście, co mówi ten zarozumialec? Trzymam go za słowo! Zgadzam się na sąd wasz. Piękniejszego od Mahometa konia znajdę i kupię go.

Tu zwrócił się do Redödiego i kończył:

— Abyś wiedział, że mogę mieć piękniejszego od ciebie wierzchowca i abyś się przekonał, że nie ja, tylko ty, znasz się na koniach, jak Anglik na papryce.

Gyula stał zapieniony i wyzywał już tylko wzrokiem Belę, a oficerowie zawołali:

— A więc zgoda! Masz godzinę czasu Czákvar! Przyprowadź nam tego rumaka, a jeśli go uznamy za piękniejszego od Mahometa...

— To on!— podchwycił rozłoszczony Bela, wskazując na przyjaciela — szczekał jak pies i zna się na koniach, jak Anglik na papryce.

To powiedziawszy podszedł do mnie i mruknął:

— Chodź ze mną!

Ruszyliśmy ku stadu jeszcze opodal zgromadzonemu, pozostawiając uradowanych oryginalnym zakładem oficerów, a bladego ze złości w swém cygańskiém niepohamowaniu, Gyulę.

Bela kroczył, drżąc na całém ciele. Pierwszy raz widziałem go tak rozdrażnionego.

— Redödy!— mówił w drodze — już mnie znudził swoją zarozumiałością. Najpiękniejszym jest jego koń. Najpiękniejszą jego kochanka. Bryzga w oczy swém szczęściem do koni i kobiét... Gyula jest śmieszny, ale poniesie zasłużoną karę. Jeśli znajdę piękniejszego rumaka, dla niego będzie to cios... Patrzajcie go! — kończył, zapalając się—znam się, jak Anglik na papryce... ha! ha! zobaczymy!

Odszukał Sölömego i zagadnął go:

— Królu czikosów. Sprzedasz mi konia, którego sobie w twém stadzie wybiorę?

— Jeśli mi złotem za złoto zapłacisz, to choć nie jestem upoważniony do sprzedaży, sprzedam!

— A więc słuchaj!—zawołał Bela — wczoraj przy blasku ognisk przemknął mi się w twém stadzie koń, którego teraz widziéć pragnę, którego wezmę.

Sölömy zapytał:

— Jaki znak miał?

— Znaku niedostrzegłem — odparł Bela — ale takim on był... z prawego boku, bo mi tylko mignął w rozpędzie.

— Słucham! — zawołał czikos, topiąc uważny wzrok w obliczu Czákvara i ściągając czarne gęste brwi.

— Był to kasztan, którego szerść przy blasku światła wydała mi się mieniącą dwoma barwami: czerwoną i złotą. Grzywą jego wietrzyk, jaki wczoraj dął w puszczy, powiewał jak pióropuszem. Miał oko duże i wypukłe z widoczném białkiem, miał ogon, który z uszami w jednéj linii nosił, a który zdawał się włosem od grzywy delikatniejszym.

— Wiem już—mruknął czikos, ale miną jeszcze bliższych objaśnień czekał.

— W pędzie u nóg jego mignęło mi coś białego... musi więc miéć pęcinę, czy pończochę białą... krzyż jego tworzył jedną linię prostszą od ułańskiéj piki, a kość jego musi być tak okrągłą, jak ramiona pulchnéj córy Węgier. Ten koń wreszcie miał inną głową od wszystkich koni, jeśliby to możliwém było...

Oczy Czikosa zabłyszczały.

— Wiem już! — zawołał z radością — mój lśniący i na źrebcach

znający się panie. Tak! Możliwém jest to, bo ten koń rzeczywiście ma inną od wszystkich głowę... bo ucho ma tak małe, jak żaden w mojém stadzie, a połączenie u niego szyi z głową jest delikatniejsze od szyi najpiękniejszéj odaliski z haremu wielkiego sułtana.

— Tak! to ten! —podchwycił z zapałem Bela.

Czikos odwrócił się i zawołał do pasących konie:

— Ha! Schwytajcie mi prędzéj od strzały Abugörö młodego, co go rodzi Abdul-Séreny i Eli-Katina...

— Czikosy się rozbiegli, a Sölömy król czikosów mówił do Czákvara:

— Jakiem syn keczmeckiéj puszczy, jakiem rodowity czikos, biję tobie czołem, lśniący panie... Już ja mam wprawne oko, ale bym ze stada wielkiego jak moje nie wybrał w nocy najpiękniejszego źrebaka. Abugörö liczy piąty rok życia. Téj jesieni miał już stanąć na stajni w Csent-Horce i nie powrócić na puszcze. Jak puszczę keczmecką kocham, tak ci się klnę lśniący poruczniku, że odkąd hoduję dzieci Abdul-Séreniego, to Abugörö jest najurodziwszym z nich. Ale, bo téż matka jego...

Urwał, bo czikosy prowadziły Abugörö. Trzech ich uczepiło się u linki, przewiązanéj przez nozdrza parskającego konia, który ich niósł, jak piórka, siłą tylko swéj lśniącéj złotem i purpurą, jak aksamit gładkiéj, powleczonéj tysiącem widnych po przez delikatną skórę żył i żyłek szyi.

— Cud! nie koń — zawołał czikos.

— Cud! nie koń! — powtórzył, zapominając się Czákvar. Ale on nie pytał jaką zań Sölömy położy cenę, on tylko, jak prawdziwy madziar widział bliski przed sobą tryumf nad Redödym, a jako huzar czwartego pułku zapominał o wszystkiém, patrząc na rumaka.

Ten był takim, jakim go opisał, oczy zrywał, olśniewał, oszałamiał.

Targ nie trwał długo i słońce dopiéro co wychylało się z za płaszczyzny, wyglądającéj na dywan pokryty szmaragdami i brylantami gdyśmy już powracali do obozowiska. Za nami kroczył Abugörö, kroczył? ha! tańczył, chrapiąc i fruwając ogonem, podrywając prowadzących go czikosów.

Całe oficerskie grono wyszło naprzeciw nas z pułkownikiem i uśmiechniętym Redödym.

Obstąpili konia, którego w téj chwili uderzyło wynurzające się z za horyzontu słońce. Podniósł on głowę, stanął spokojnie i wlepił wzrok w olśniewającą tarczę, jak gdyby ją pierwszy raz widział. Bo téż tu ją pierwszy raz widział na uździe.

Stał nieruchomy, imponujący, przepiękny proporcyą kształtów, olśniewający swą szatą. Najgłębsza cisza panowała dokoła niego. Każdy z oficerów obejmował wzrokiem konia, a z oczu każdego widać było, iż szukał w nim wady, czy defektu. Każdy go obchodził ze wszystkich stron i badał, aby wydać bezstronny sąd, na który czekali dwaj przyjaciele, wściekli na siebie w téj chwili i iskrzący wzrokiem. Czákvar uśmiechał się i Redödy również. Jeden i drugi zdawał się być pewnym zwycięstwa, jeden i drugi co chwila spoglądał na zgromadzonych, którzy zaklęcie milczeli.

— A więc — zawołał Gyula, nie umiejący się powstrzymać — mówcie, do stu piorunów, który jest piękniejszy?

Na te słowa pierwszy odezwał się i zapytał pułkownik.

— Jak się zowie ten koń?

— Abugörö!

— Abugörö jest więc, według mnie, najpiękniejszym koniem, jakiego w życiu widziałem — odparł poważnie.

— Tak! — zawołali wszyscy jakby jeden.

— Tak! powtórzyli po chwili i ci jeszcze, którzy się z wyrokiem wahali.

Gyula zagryzł usta do krwi, a jego śniada twarz pokryła się purpurą, a oczy jego prawie łzami nabiegły.

Chciałem powstrzymać Belę, by się zadowolnił niemym tryumfem, ale ten spostrzegłszy, że zdanie co do piękności Abugörö jest jednogłośném, zaśmiał się w przystępie szalonéj radości i nie widząc zgnębionéj miny przyjaciela, zawołał:

— A więc to ty Gyula Redödy! znasz się na koniach, jak Anglik na papryce... ha! ha! ha!

Śmiéch jego brzmiał wśród ciszy, bo każdego przerażała mina Gyuli, który uczynił nad sobą nadludzki wysiłek, aby nie usłuchać podszeptów w tym momencie swéj dzikiéj madziarskiéj natury.

Oparł się na pałaszu i wycedził przez ściśnięte zęby:

— Tak! ja, ja! — powtórzył.

To „ja“ wymówił tak dziwnie, tak zaciekle, iż niejednego z nas zastanowił.

Ruszyliśmy z miejsca, by zakończyć co rychléj tę scenę. Wtedy Galavicini przysunął się do mnie i szepnął:

— Skończyła się przyjaźń tych dwu cyganów. Od dziś będą oni najzaciętszymi wrogami. Gdyby Abugörö był kobietą, nie koniem, zostawilibyśmy jednego trupa na Keczmeckiéj puszczy.

W chwilę potém trębacz pułkowy nucił sygnał.

— Na konia sia-daj!

A mało co jeszcze później maszerowaliśmy. Redödy zagryzał wargi i podnosił głowę, by nie pokazać burzy, jaka grała w jego namiętnéj piersi, a Czákvar ironicznie się uśmiéchał i szukał jego spojrzenia.

A Abugörö przyczepiony na rzemieniu, ściskającym mu chrapy, do wierzchowca sługi Beli, kroczył w lansadach z tyłu za pułkiem i oglądał się co chwila za siebie, gdzie złote stado przedstawiało coraz mniejszą w zieleni plamkę.

Oficerowie nie powrócili dnia tego do humorów.

Ja sam byłem przygnębiony. A ile razy spojrzałem na ponurego Gyulę, to mi w oczach i myśli stawał Abugörö, który, jak nie zwierzę, takie namiętności rozniecił w cygańskiéj naturze przyjaciela.

## IV.

Sombor wówczas był gwarny i ludny. Spokojni mieszkańcy krajów, ogarniętych powstańczym ruchem, chronili się do miast, leżących w Węgrzech i Styryi, Austryi i Kroacyi. Sombor liczył się do siedzib, najwięcéj przez nich poszukiwanych. Zastaliśmy w niém zbiegłych panów z Bośnii i Hercegowiny, bogaczy z Banjaluki, Serajewa, Mostaru, Trebini i Bazaru. W niedużém więc mieście panowało życie w pełni, które urozmaiciło tylko wejście „lśniących huzarów“, a równocześnie z tém ogłoszenie Somboru w stanie oblężenia.

Nazajutrz bowiem po naszém rozkwaterowaniu się w tém mieście, zostało ono poddane wyjątkowym prawom wojennym. Życie towarzyskie jednak na tém nie cierpiało. Owszem, wyjątkowe warunki dodawały mu uroku owocu zakazanego.

Między cudzoziemcami, bawiącymi w Somborze, znajdowała się zamożna rodzina bośniacka, złożona z państwa Teszanjich i ich córki, uchodzącéj za pierwszorzędną piękność typu czysto wschodniego. Familia ta zbiegła z Serajewa, gdzie się liczyła do arystokracyi miejscowéj.

Panna Titäa Teszanj bezzaprzeczenia pięknością dla tych, którzy namiętny typ kobiécy, pospolity w haremach Wschodu, na piedestale urody niewieściéj stawiają.

Jéj olbrzymie, lubieżne i powoli obracające się w powiekach czarne oczy, miały tę ociężałość odalisek, za którą przepadają niektórzy mężczyźni. Cera jéj śniadego ciała była gorącą, jak gorącym był koloryt jéj czarnych włosów i jéj rubinowych warg, za któremi świeciły białe zęby.

Panna Titäa była przytém typem wschodniéj kobiéty we wszyst-

kiem. Wstawała około zachodu słońca, chodziła bardzo mało, jadła sorbety i uważała, że życie najmiléj spływa na tureckim szeslongu, na słuchaniu bajek jéj panien służebnych.

Państwo Teszanj prowadzili w Somborze dom na wielką skalę. A wszyscy oficerowie czwartego pułku w nim bywali. Sama pani Teszanj była Węgierką z urodzenia, co do jéj domu przyciągało i tych, którzyby nie gustowali w wschodnim jego charakterze. Bo dom tych bośniackich magnatów był typem domów téj jedynéj krainy, w któréj cywilizacya z barbarzyństwem po dziś dzień jeszcze ręka w rękę idą. Nigdzie w Europie nie ma tak silnych kontrastów między barbarzyństwem i cywilizacyą, jak w Bośnii, a dom Teszanjich odźwierciedlał w pełni ten charakter cywilizowany i dziki zarazem. Ten niezwykły koloryt jednak, oryginalny, pełen jaskrawych barw, stanowił dla panny Titäi tło, na którém wybitniéj i czarowniéj występowała jéj haremowa piękność, połączona z odaliskowym sposobem zachowania się, a czysto europejskim sprytem i wykształceniem.

Dla nas Titäa była niewymownie interesującém zjawiskiem, a dla zapaleńców, jakimi byli Redödy i Czákvar, stała się ona wnet przedmiotem zachwytu, z którego musiała się wyrodzić między nimi zazdrość.

Gyula i Bela nadskakiwali dniami całemi leżącéj na sofie pannie Titäi, a pani Teszanj patrzała z pobłażaniem na dwu lśniących huzarów, których, jako Węgierka, już kochać musiała.

Zapewne, nicby nie miała przeciw temu, by jeden z nich porwał jéj córkę i uniósł do jéj rodzimego kraju, za którym zawsze tęskniła.

Tak zarysowały się stosunki czwartego pułku do domu Teszanjich w ciągu pierwszego miesiąca naszego pobytu w Somborze. Nieraz zebrani w oficerskiém kasynie dziwiliśmy się między sobą talentowi Titäi, która potrafiła godzić zapały młodzieńców, patrzących na siebie z ukosa od owego wypadku w puszczy Keczmeskiéj, dzięki któremu Czákvar miał najpiękniejszego w pułku rumaka Abugörö.

Od owego czasu bowiem nie widzieliśmy już Beli z Gyulą w téj dawnéj i zażyłéj przyjaźni. Abugörö stał wciąż między nimi i przypominał tryumf jednemu, a upokorzenie drugiemu.

Galavicini, ukochany nasz rotmistrz, mawiał za każdym razem, kiedy w kasynie nieobecnymi byli Redödy i Czákvar:

— Jeszcze ich obu nie ma? Jeszcze się nie wzięli za łby? to zadziwiające! to więcéj, niż zadziwiające! Ta Titäa Teszanj musi być równie sprytną kokietką, jak jest piękną. Trzymać dwóch takich, jak oni madziarów, to nielada talent, to geniusz!

I odtąd, jak pierwszy raz Galavicini tak do nas przemówił,

uznając prawdę słów jego nazywaliśmy pannę Teszanj: genialną Titäą.

Ale gdy czas upływał i żadnéj nie przynosił zmiany w zachowaniu się przyjaciół, Galavicini szedł daléj w swych wnioskach. Raz, gdyśmy się zgromadzili w kasynie, zagadnął:

— Moi lśniący panowie! — bo tak do nas przemawiał ten huzar-poeta,—wczoraj na wieczorze u Teszanjich obserwowałem dwóch moich poruczników.

Redödy kipi, a Czákvara to bawi... Mogę wam przepowiedzieć, że nie skończy się na niczém między nimi, że genialna Titäa nawet nie zdoła sprawić, by wulkan, jakim jest Rödedy, nie wybuchnął.

— Cóż więc przypuszczasz w przyszłości?—zapytało kilku.

— Przypuszczam — odparł Galavicini — wypadek konieczny w podobnym razie: jeden z nich ustąpić musi. A czy który z was wystawia sobie ustępującego Belę?

— Nie! — zabrzmiało w sali.

— A Gyulę? — pytał książę.

— Nie! nie!—zahuczało jeszcze silniéj.

— A więc — podchwyciłem — jeśli niemożliwém jest, by jeden z nich ustąpił?...

Galavacini się zamyślił. On, który najlepiéj znał swych poruczników, bo pod nim służyli jeszcze jako kadeci niedorostki.

— Nie wiem! nie wiem, co nastąpi—odpowiedział. — Nie wiem, który z nich więcéj zakochany w Titäi. Nie wiem, którego z nich woli ta genialna odaliska. Nie wiem, z jakiemi się oni noszą zamiarami. ...Nic nie wiem, ale wiem tylko, że człowiek, który wtedy gdyśmy nad Mahometem prym przyznali ogierowi Abugörö, tak, jak Gyula się zachował, zginie sam, lub zmiażdży Belę, jeśliby ten jeszcze raz chciał nad nim zatryumfować.

Zaledwie słów tych dokończył, gdy drzwi się otworzyły i wszedł Redödy.

W chwilę później był i Czákvar między nami.

Obsiedliśmy stół dokoła, stół olbrzymi, bo było nas trzydziestu oficerów, stojących wtedy w Somborze. Na stole zaczęły, jak w panoramie zmieniać się butelki, a im więcéj ich zalegało kąty sali, tém było gwarniéj i huczniéj. Pito toasty, trącano się kielichami, wynurzano sobie uczucia, których już wino nie pozwalało trzymać na wodzy.

Wesoło było i ochoczo.

Tylko Gyula i Bela siedzieli naprzeciw siebie i nie brali, jak ongi, gorącego w pijatyce udziału.

Oni myśleli o czémś innném, a nie o tém, co do koła stołu huczało. Często spojrzenia ich spotykały się wzajemnie i robiły mi wtedy wrażenie dwóch cieniutkich, błyszczących szpad, mierzących i trącających się wprawną dłonią zobopólnie. A ile razy, te ich ostre spojrzenia się starły, bo się ściérały one poprostu, jak klingi szabli damasceńskich, to obaj chwytali za szklanki tokaju i gorączkowo je wychylali do dna.

Podczas téj biesiady nagle zastanowił mnie strwożony wzrok księcia, w chwili, gdy biegł z oblicza Beli na twarz Gyuli.

Spojrzałem w kierunku badawczego wzroku rotmistrza.

Redödy siedział, zaczerwieniony od wina, z wzrokiem wlepionym w przyjaciela. Brwi swoje ściągnął tak, iż stworzyły one jedną nieprzerwaną linię, podzieloną tylko dwoma pionowemi zmarszczkami na czole. Usta zacisnął tak, iż wargi zniknęły, a odznaczało się tylko blade zagryzione ciało. Nozdrza rozwarł, jak koń arabski, a obie ręce zaciśnięte w pięści skrzyżował na piersi.

A naprzeciw niego siedział Czákvar, wytrzymujący jego wzrok i zdawałoby się bawiący się nim. Ręką pomuskiwał czarnego wąsa, a uśmiéchał się sarkastycznym i wyzywającym wyrazem.

On panował nad sobą i choć kipiał także, nie pokazywał tego po sobie i czekał wyzwania.

Byliby tak może przesiedzieli noc całą, bo do tego byli zdolni ci cyganie, równie zaciekli w milczeniu, jak w szermierce, gdyby najniefortunniéj nie wyrwał się hrabia Kardassy, rotmistrz piątego szwadronu.

— Panowie!—zawołał — wnosimy toasty i brakuje nam ich już, a oto patrzcie, jak ponuro siedzą Redödy i Czákvar, bo każdy z nich ma ochotę wnieść zdrowie Abugörö.

— Niech żyje Abugörö!—zahuczało wśród szalonego śmiechu.

Gyula zbladł, ale byłby się jeszcze powstrzymał, gdyby nie Bela, który szczęśliwy ze sposobności podniósł szklankę do góry i zawołał do przyjaciela:

— Czemuż ty Gyulo nie pijesz zdrowia najpiękniejszego w Węgrzech konia? Czyżbyś był zazdrosny, że do ciebie nie należy? Gotówem ci go odstąpić, byle raz spędzić chmurę z twego czoła... Przysłowie węgierskie mówi, że koń z kobiétą nie chodzą w parze. Ja proszę cię, weź odemnie Abugöra, bo boję się, iżby mi nieszczęścia nie przyniósł przy najpiękniejszéj córze wschodu, jaką jest panna Titäa Tiszanj!

Tu, nie widząc może bladością pokrywającego się oblicza przyjajaciela, zwrócił się do biesiadników i zawołał:

— Zdrowie panny Teszanj!

Gdy na chwilę ucichło, odezwał się Gyula:

— Bawisz mnie, Czákvarze. Bawisz mnie nad wyraz. Nabytek Abugörö i twój wypadkowy tryumf napełnił cię zarozumiałością, jak pawia. Ty od zmysłów odchodzisz. Tobie się zdaje, iż ta najpiękniejsza córa wschodu jest tobą zajęta... Ha! ha!

Tu się zapalił i zawołał, zrywając się z krzesła:

— A więc zgoda! Trzymam cię za słowo i odkupuję od ciebie Abugöra, ale tylko na to, aby ci pokazać, że tym razem węgierskie przysłowie na tobie się nie sprawdzi. Zgoda! Ha! ha! Nie będziesz miał najpiękniejszego w Węgrzech konia, ale też nie będziesz szczęśliwszy przy najpiękniejszéj...

Tu zerwał się Bela i przepełnionym ironią wyrazem — przerwał mu wyzywająco:

— A więc, inaczéj mówiąc, ty szczęśliwy wybrańcze fortuny będziesz miał najpiękniejszego konia i miłość naj.....?

— Choćby tak było? Choćbym to miał na myśli? — zawołał Gyula seryo i wściekłym głosem.

— Ha! ha!—zaśmiał się Czákvar, zwracając się do biesiadników zainteresowanych tą szermierką, poważne czyniącą wrażenie na tych, którzy rozognione twarze obu poruczników widzieli—ha! ha! A więc znów po raz drugi, moi panowie! wzywam was na świadków faktu, którym udowodnię, że Redödy tak się zna na kobiétach, jak na koniach. Na jednych, jak i drugich, jak Anglik na papryce!

Śmiéch zatrząsł salą, a Bela jeszcze mówił.

— Zatrzymuję konia i z nim nawet, równie jak ty, u kobiét szczęśliwy będę.

Redödy spoważniał.

— Dobrze, że nie szczęśliwszy odemnie — odparł ze śmiechem, rzucając iskry swemi czarnemi, jak sztylety kłującemi oczyma — ale biada ci, jeśli tym razem nie wygrasz.

— Biada! ha! ha! ha! — zakpił Bela, a Gyula siadł na krześle i do końca uczty ponuro coś ważył. A gdy nad ranem wstał od stołu, jeszcze się trząsł cały, jak w febrze. Zbliżyłem się do niego, a on, spoglądając z nieopisaną zawiścią i pogardą na Czákvara, szepnął:

— Temu osłu Abugörö pomieszał zmysły. Jemu się zdaje, że Teszanj się w nim kocha. Afrykański bałwan!...

## V.

Ponieważ wobec stanu oblężenia Somboru, nie wolno było po godzinie dziesiątéj w nocy pokazywać się na ulicach, więc téż i żadne nocne zabawy nie mogły miéć miejsca.

Zdawałoby się, iż okoliczność ta powinna była ujemnie wpłynąć na rozmaitość rozrywek i zabaw. Ale rzecz się miała odwrotnie. Genialna Titäa, wychowana na fantastycznych romansach Belot'a i Montepin'a, Jokay'a i innych, miała świetne i ekscentryczne pomysły,

Otóż raz dostałem ja, jak i wszyscy oficerowie, zaproszenie tak brzmiące:

PAŃSTWO TESZANJ

mają honor zaprosić Pana na bal maskowy, który się odbędzie u nich dnia 11 czerwca, o godzinie 3-éj po południu.

Maskarada o godzinie 3-éj po południu wszystkich zaintrygowała.

Czákvar wpadł do mnie na kilka dni przed balem, pełen złośliwéj radości.

— Otóż—mówił—będę miał śliczną sposobność dokuczenia Redödiemu. Przebiorę się tak, że mnie nikt nie pozna... Nie odstąpię na krok Titäy, a maska mi pozwoli mówić jéj i jemu rzeczy, któreby inaczéj nie uszły.

— Myślałem — podchwyciłem — że wasze zawiści o Abugörö przebrzmiały...

— Ha! — zawołał Bela — nie przebrzmieją one tak prędko... Wszakże byłeś obecny wtedy na uczcie pułkowéj i słyszałeś, jak mi zagroził Gyula słowami: „biada! biada ci! jeśli nie stwierdzisz twojego powiedzenia.“ Ja nie jestem z tych, coby się zlękli jego śniadego oblicza i marsowatéj miny. Ja ciekaw jestem téj kary Gyuli! ha! ha! Mnie grozić nie wolno...

Już się zapalał, więc podchwyciłem:

— Chcesz mu więc odbić Titäę?

— Odbić? odbić? — odbija się tylko to, co ktoś posiadł, czy odzierżył. Serce Titäi równie dobrze do mnie, jak do niego należy.

— Jesteś tego pewny? bo mówiono mi, że się panna Teszanj kocha w Gyuli...

— Mówiono ci—zakipiał Bela — ale ja ci mówię, że jeśli się ona kocha w Gyuli, to się tak samo kocha we mnie. Czekam tylko spo-

sobności, by to powiedzieć Redödiemu, aby mnie jeszcze raz do stwierdzenia słów mych wezwał.

— Zastanów się, — zawołałem — iż podobna między wami szermierka może skompromitować pannę.

— Jakto? — obruszył się Czákvar — nie wolno mi odsuwać rywala. O takiém prawie pierwszy raz słyszę.

— Jeśli Redödy ma seryo zamiary?...

— A ja ich miéć nie mogę?

— Jeśli Redödy ma już może słowo panny Teszanj, bo coś mi na to patrzy... wygląda pewny siebie...

Bela lekko zbladł.

— Nie ma go, — odparł po chwili — bo Titäa ani za niego, ani za mnie wyjść nie myśli. Ona się uczuciem jego bawi tylko.

— I twojém?

— Być może.

— A więc?

— A więc! — zawołał ze złością Czákvar — niechże wié Gyula, że w téj zabawie Titäi nie ma żadnego nademną pierwszeństwa. Jeśli on dostanie walca, to i ja go uzyskam. Jeśli jego Titäa obdarzy zalotném spojrzeniem, to i mnie takiémże samém uraczy. Jeśli wreszcie jemu powié, że go kocha jego jednego, to i mnie powié toż samo.

— W takim razie — odparłem — widzę, iż między wami przyjść musi do rozlewu krwi. Wszakże jeden drugiemu na téj drodze ustąpić musi...

— On ustąpi!

— Jakto być może?

— Jakże mógł ustąpić wtedy o Abugörö?—odparł pytaniem.

Zamyśliłem się. Chciałem wyperswadować Beli, że się nie igra z uczuciem.

— Kobiéta nie jest koniem — zawołałem. — Zdajesz mi się nie uwzględniać, że Titäa może być zajęta Redödym, a on, szalony, gorący madziar, może być w niéj całą siłą uczucia zakochany.

— Cóż mnie to obchodzi? Mnie wyzwał Gyula, bym mu udowodnił... Wyzwał mnie publicznie, wobec całego grona oficerskiego. Jeślibym mu ustąpił przy boku pięknéj Teszanj, miałby prawo mi rzucić w twarz obelgę i nazwać mnie zarozumialcem. Do tego nie dopuszczę! Nikt z was wiedziéć nie może, kogo z nas dwóch będzie przekładać ta kobiéta.

— Ależ Redödy może się słusznie uważać za preferowanego?

— Dobrze! zgoda! póty, póki mi tego nie powié, czy nie pokaże...

Biada mu, jeśli się kocha w pięknéj bośniaczce, a miłością jéj przedemną się pochlubi.

Urwał, bo drzwi się otworzyły i wszedł do mojéj kwatery Kardassy.

— Koledzy!—zawołał.—Jestem upoważniony przez pułkownika insynuować wam, że życzeniem jego jest, by na maskaradę u Teszanjich oficerowie się nie przebierali.

Bela zmienił się.

— Dlaczego?

— Pułkownik uważa,—odparł rotmistrz — że nie wypada lśniącym huzarom w biały dzień porzucać mundur. Sprzeciwia się to wogóle regulaminowi, a jeśli pozwoloném jest oficerom brać udział w maskaradach, to tylko ze względu na prawa i przywileje nocy. Maskarada u Teszanjich odbywa się w dzień.

Nastąpiła cisza. Zasępiony Bela chwilę pomyślał, poczém zawołał:

— To mi wszystko jedno! Chciałem Gyuli wypłatać figla, ale znajdę i w mundurze na niego sposób...

— Więc między wami — podchwycił Kardassy — panuje wciąż zaciekła walka na życie, czy śmierć?

— Wciąż!—odparł z siłą namiętny młodzieniec.

— Ja mu pokażę, co to jest chcieć imponować Czákvarom. Żaden Czákvar nie ustąpił.

— Nie dość ci tryumfu z Abugörö?

— Nie! Wszakże słyszeliście, że wynalazł on węgierskie przysłowie, iż szczęście do kobiét ze szczęściem do koni w parze nie chodzi?

— Głupstwo!

— Przepraszam!—zap nił się Bela. — On mnie wciąż swém cygańskiém wyzywa spojrzeniem. On mi wciąż pokazuje swą pogardliwą i tryumfującą minę. Ja mu ją z oblicza zetrę.

— Czákvar!

— Ja nie ustąpię!

To powiedziawszy wybiegł. Kardassy wtedy zwrócił się do mnie i poważnie zagadnął:

— Między tymi dwoma zapaleńcami, w których żyłach krew gorętsza, niż w naszych, płynie, przyjdzie do strasznego starcia, jeżeli jaki szczęśliwy wypadek nie wstrzyma w biegu ich uczuć, pędzących wezbranym wiosennym potokiem. Jesteś ich przyjacielem. Byliście nierozłączni dotąd... Nie widzę nikogo, prócz ciebie, któryby mógł zbawienniéj wpłynąć.

— Na kogo?—podchwyciłem.

— Na Gyulę, bo on tu jest wulkanem... Twoim świętym obowiązkiem jest zaprowadzić między nimi zgodę—ciągnął Kardassy. — Z ogniem się nie żartuje... Gdy między nimi jeszcze się ten pożar roznieci, przyjść musi do starcia, z którego w najlepszym razie jeden żyw nie wyjdzie. Do tego nie powinniśmy dopuścić, choćby tylko dlatego, iż w czwartym pułku nie zdarzył się jeszcze wypadek pojedynku między oficerami.

Zerwałem się i pobiegłem do Gyuli.

## VI.

Ale jeśli Czákvar się zaciął, to cóż dopiéro Redödy?

Ani chciał mówić ze mną o Beli. Na pierwsze moje słowa o przywróceniu między nimi dawnéj przyjaźni, zapienił się:

— Niech pokaże! niech udowodni! — wołał — bo ja mu udowodnię.

— Cóż mu udowodnisz, Gyulo?

— Udowodnię mu, — cedził przez zęby wściekły Redödy — że jest zarozumialcem! Że mu się udało wypadkiem znaleść Abugörö, ale że mu się nie uda raz drugi zmusić mnie do cofnięcia swego twierdzenia.

— Cóżeś twierdził?—tłómaczyłem.

— Twierdziłem! — zaśmiał się sam Gyula nad błahością jątrzącego go przedmiotu — twierdziłem, że właściciel Abugörö nie będzie miał szczęścia przy ślicznéj pannie Teszanj. On już się dziś swego powiedzenia wstydzi, on już...

Wstał i zawołał z tą namiętnością, cechującą jego charakter.

— Za nic na świecie nie oddałbym téj bliskiéj chwili, w któréj będę mógł głośno powiedziéć: „Na uczuciach kobiét znasz się, jak Anglik na papryce!"

— Ależ tego mu nigdy powiedziéć nie będziesz mógł...

— Dlaczego?

— Bo dowody musiałyby kompromitować pannę Teszanj, jeśli nie będą polegać na oddaniu ci swojéj ręki.

— Nie! — podchwycił Gyula — Czákvar jest dżentelmanem i, jeśli wypadnie, nie zawaham się mu dać dowodów, jemu jednemu, pewny, że one z nim do grobu wejdą, a tryumf mój, gdy spocznę wzrokiem na jego upokorzoném obliczu mi wystarczy. On się jak cygan uparł, by mi udowodnić, że dziecinnie postąpiłem, mieniąc Mahometa najpiękniejszym koniem. Ja się jak dziki osioł uparłem, by jemu udo-

wodnić, że jak zarozumiały dzieciak odezwał się wtedy, gdy w nadmiarze sukcesu i pijaństwa wnosił zdrowie panny Teszanj. Jeśliby mi to trudno przyjść miało, to gotów byłbym się ożenić z piękną Titäą... choć nie leży w moich zamiarach ani się żenić, ani się z nią ożenić. Panna Teszanj jednak za mąż wyjść nie chce... To nie przeszkadza jednak, by wobec téj okoliczności brakło sposobności uzyskania dowodu, że w kąt idzie Czákvar tam, gdzie zabiegają Redödy.

— Jesteście dziećmi!

— Wszyscyśmy dziećmi od urodzenia do grobowéj deski. Nie chodzi mi tutaj o Abugörö, jakby mi może nie chodziło o prym w względach Titäi, ale tu Czákvar postawił inną kwestyę na ostrzu noża.

— Jakąż?

— Kwestyę, który z nas słów swych nie waży, który szczeka jak pies...

— Jesteście dziećmi—zawołałem powtórnie, a Gyula ciągnął:

— Ale i ten zarzut, uczyniony przez przyjaciela przy winie, możeby mnie do tego stopnia nie rozpalał, gdyby nie przemądre Francuzów przysłowie „*c'est le ton, qui fait la chanson*“. Otóż ton Beli mi się nie podobał i w Keczmeckiéj puszczy, i w kasynie. Ton! i jego on pożałuje!

Nie było co więcéj mówić, bo Gyula kipiał na samo wspomnienie dwóch błahych wypadków. A że one taki pożar roznieciały w jego duszy, sam tego genezę zrozumiale tłómaczył.

Czekałem więc téj maskarady, na którą zdawali się obaj przyjaciele niecierpliwie czyhać. Dzień owéj oryginalnéj fety w domu Teszanjich nadszedł. Z uderzeniem godziny trzeciéj poczęło się roić na ulicy, gdzie stał imponujący gmach jakiegoś magnata węgierskiego, zajmowany przez bośniacką rodzinę.

Jakiegoż nieokreślonego, ale miłego doznaliśmy z Kardassym wrażenia, wchodząc prosto z ulicy, na któréj panował w pełni słoneczny i jaskrawy dzień do wnętrza pałacu, gdzie wszechpotężna panowała noc.

Baliśmy się ujemnego wrażenia przy dzienném oświetleniu. Nie wyobrażaliśmy sobie jéj powodzenia i ożywienia.

Genialna Titäa, bo ona to urządzała u swych rodziców zabawy, przewidziała trudność, jakąby miały maski do zwalczania przy słonecznem oświetleniu.

Otóż zastaliśmy cały apartament szczelnie przed słońcem zamknięty okienicami i portyerami, a oświetlony żyrandolami i lampami.

Dla większego złudzenia, zegary wskazywały godzinę jedenastą. Każdy wchodzący (widać to było z jego fizyognomii gwałtownym ulegającéj zmianom) w ciągu kilku pierwszych minut pobytu w pałacu Teszanjich ulegał temu złudzeniu.

Około czwartéj panował już w obszernym apartamencie ruch i zgiełk, ożywienie i pobudzenie, właściwe tylko późnym nocnym godzinom balów i zabaw.

Sale roiły się od kostyumów i domin, na tle których świetnie odbijały naszych trzydzieści kilka kapiących od złota mundurów. Wszyscy prócz oficerów czwartego pułku, pana i pani Teszanjich byli zamaskowani.

Z Galavicinim szukałem oczyma Titäi, ale znaleść jéj nie mogliśmy wśród więcéj niż stu zamaskowanych i ukostyumowanych kobiét.

— Nie ma jéj!—mruknął mi na ucho rotmistrz.

— Z czego to wnioskujesz?

— Patrz! jak Redödy i Czákvar od jednéj do drugiéj biegają maski, a razem przy żadnéj się nie trzymają.

Śledzimy ich. Dla mnie, Kardassyego i Galaviciniego, i kilku jeszcze innych oficerów żywo się interesujących zwadą między Belą i Gyulą, przedstawiali oni wraz z Titäą największe zajęcie w tém świetném, intrygującém się zgromadzeniu.

Wciąż przybywały jeszcze maski i kostyumy, jedne gustowniejsze od drugich, to zadziwiające oryginalnością, to bawiące śmiesznością.

Ale pięknéj Titäi nie można było w żadnéj masce odgadnąć.

— Nie ma jéj—stanowczo odezwał się zapytany Gyula—nie ma jéj z największą pewnością. Czy istnieje bowiem kostyum, maska, czy domino, mające uczynić ją odrazu niepoznaną?

— Dlaczego?—zapytał książę, wskazując kilka kostyumów pełnych efektu.

— Dlatego—odparł Bela—że oczy Titäi są tylko jedne w Somborze, a wszystkie maski pokazują je...

— Nie uwierzysz, jak maska zmienia i oczy. Raz na maskaradzie w Peszcie hrabia Erdödy nadskakiwał długo własnéj żonie.

— Nie dziwię się—podchwycił Gyula—znam hrabinę Erdödy... Nie nadskakiwałby jéj, gdyby miała oczy Titäi...

Uleciał, bo w téj chwili ruch się zrobił od wyjścia, zwiastujący jakieś nowe intrygujące zjawisko.

Zaczęły się tańce. Ulegałem ożywieniu, które tylko stwierdzało potęgę wywieraną na nas przez wpływy zewnętrzne. Co chwila

spoglądałem na zégar i martwiłem się, że jego wskazówki, stojące na północy, posuwały się naprzód. A to była piąta godzina po południu. W têm wśród tłoku i zgiełku dał się słyszéć okrzyk.

— Miejsca! miejsca!

W podwojach od głównéj sali pojawiła się oryginalna grupa. Czterech niewolników, przybranych w złoto i purpurę według wschodniéj, praktykowanéj w haremach mody, niosło złocistą lektykę. W niéj na poduszkach z przeszywanych jedwabnych, jaskrawych materyi, spoczywała niewiasta ubrana jak sułtanka, z zakrytą twarzą i osłoniętą gazowym woalem. Zapewne nikt ani chwili nie łamał sobie głowy, kim-by była ta maska. Bo przez woal błyszczały widne tylko w tym stroju oczy Titäy. Miał słuszność Gyula. Choć podwójnie była zamaskowaną, bo swym strojem, odkrywającym tylko oczy, które nadto były zawoalowane, poznaną została natychmiast.

Blask jéj czarnych, powłóczystych, aksamitnych, olbrzymich, błyszczących i jedynych, zdawało się, na świecie oczu przedzierał zasłonę.

Zaroiło się około lektyki, którą niewolnicy złożyli na środku sali i zniknęła mi z oczu. Wiedziałem tylko, że, leżąc na poduszkach, pozwalała się bawić rojom wielbicieli.

Odtąd nie opuszczali jéj Gyula i Bela, stojąc i towarzysząc jéj po jednéj i drugiéj stronie lektyki, a ja nie mogłem znaleść chwili pomówienia z panną Teszanj, co uczynić miałem zamiar.

Czekałem, aż opuści swoję maskę, to jest zejdzie z wezgłowia i odsłoni od początku zbyteczną zasłonę.

Nastąpiło to niebawem. Titäa nie lubiła tańca, jak prawdziwa apatyczna córa haremów, ale mimo to musiała rzucać się w objęcia to Beli, to Gyuli. Jeden ani na jotę nie chciał ustąpić drugiemu, jeden wyrywał ją z objęć drugiego. To obsaczenie Titäi przez dwu zapalczywych i piorunujących się wzrokiem huzarów ściągało wszystkich uwagę. Titäa, skoro zrobiła kilka turów z Gyulą, musiała natychmiast tyleż ich użyczyć Beli. Bawiła ją widocznie ta zazdrość, obudzona między dwoma rywalami, a najwprawniejsze oko nie byłoby w stanie wyśledzić, którego z nich przekładała.

Staliśmy z Kardassym i obserwowali ją, jakotéż przyjaciół.

— Genialna Titäa jest genialną! — zawołał wreszcie rotmistrz, opuszczając stanowisko—do rana byśmy czekali i nie doczekali, który z nich ją więcéj bawi, czy się jéj podoba... Najwidoczniéj i bardzo przebiegle usiłuje obu utrzymać w równym stopniu szału. Ją może oni właśnie tylko w parze bawią i oszałamiają... To wyrafinowana kokietka... to nie odaliska—dokończył i odbiegł do sali, gdzie poważ-

niejsi lśniący huzarzy zabawiali się przy kieliszkach perlącego szampana.

I ja miałem iść za nim, gdy formalnie wpadła na mnie Titäa, wyrywając się w tańcu z ramion Beli, a nie chcąc wpaść w objęcia czekającego już Gyuli.

— Ratuj mnie pan — zawołała do mnie — już tańczyć nie mogę, już konam...

Rzuciła się na jedyne kresło, stojące przy mnie i zwracając się do obu już nad nią stojących młodzieńców, mówiła zadyszana:

— Już się z wami skwitowałam. Zrobiłam tyle turów z panem, co z panem... Więcéj się nie ruszę... — tu skierowała swój wzrok na mnie i ciągnęła:—Ci panowie chyba się założyli, że jeden prześcignie drugiego w zamęczaniu mnie... Ja tańca nie lubię... Weź mnie pan w swoją opiekę. Ot, nie opuszczę tego miejsca... Rozmawiać będę z panem, a więc ani z tobą Gyulo Redödy, ani z tobą Belo Czákvar...

Tu odwróciła się od nich, a tłum tańczących uniósł ich obu na chwilę. Zresztą i oni potrzebowali wypoczynku, a mogli razem tylko opuścić Titäę. Skorzystali z téj sposobności.

— Co z tego wyniknie?—zapytałem panny Teszanj.

— Z czego?—podchwyciła, udając, że nie rozumié zapytania.

— Z tego zakładu, jak się pani wyraziłaś, tych dwu jéj szalonych wielbicieli.

— Ha! ha! — zaśmiała się — powstańcy w Bośnii się uspokoją. Oni powrócą do Pesztu, a ja do Serajewa.

— A ja sądziłem,—odparłem poważnie—że jeden z nich nie sam powróci do Pesztu...

— Toż byłoby niemożliwe... Jeden drugiemu nie chce ustąpić obrotu walca.

— Ależ czyni to tylko póty, pokąd pani ich zarówno obdzielasz...

Titäa się zamyśliła.

— Ja tak daleko nie sięgam — odparła poważnie. — Ja dopiéro co wyszłam z pod surowéj opieki rodzicielskiéj i najmniejszéj nie mam ochoty wchodzić pod opiekę mężowską...

— Czyż być może?

— Jeszcze którego z nich! Tożby mnie jeden, czy drugi zamęczył swoją miłością—mówiła żartobliwie.

Poważnie po chwili zagadnąłem:

— Jeśli pani rzeczywiście nie masz zamiaru wybrać jednego z nich, to się bawisz w niebezpieczną grę z takimi zapaleńcami.

— Cóż mam uczynić?

— Okazać jednemu z nich pierwszeństwo, wtedy drugi naturalnie ustąpi...

— Ależ kiedy mnie oni obaj bawią — odparła, spoglądając na mnie zdumionym wzrokiem popsutego dziecka, nie rozumiejącego, by się miało dla jakichkolwiek przyczyn rozrywki pozbawiać.

— Więc ich tak pani trzymać będziesz w tym stopniu...

Nie dokończyłem, bo przerwała:

— Przecież jeden musi pokonać drugiego. Tak się zawsze dzieje...

— Więc będziesz pani przyczyną rozlewu krwi?

— Ach! co pan mówisz. Nie mam takich zamiarów... Sądzę, że jeden ustąpi...

— Nie.

— To się któremuś to prędzéj znudzi.

— Wątpię!

— To chyba jeden zaniemoże! — odparła, zaśmiała się i wypocząwszy, pofrunęła w stronę, w któréj już na nią czyhali Gyula i Bela.

O dziesiątéj maskarada się skończyła. Stan oblężenia, to nie żarty. Zagrzmiały sygnały armatnie w mieście, że spokój w nim miał wszechwładnie zapanować, że niebawem każdy pokazujący się na ulicy mógł być aresztowany.

Zaczęto się tłoczyć do wyjść wśród okrzyków żalu, wydobywanych z pięknych piersi panien.

W sieni pałacowéj, szukając swego płaszcza, spotkałem się z kilkoma kolegami, a między nimi z Redödym i Czákvarem.

Dziwnym zbiegiem ich płaszcze razem się znalazły.

— A co? — zapytał ironicznie lekko podochocony Bela, spoglądając w oczy Gyuli—czy dziś może sądzisz, żeś mnie zdystansował?

Redödy zacisnął usta.

— U mety się rozstrzygnie — odparł również ze śmiechem, ale tonem, w którym grały wzburzone i zacięte namiętności.

— U mety! ha! ha!—zaśmiał się Czákvar i ruszył pierwszy.

— Ja mu za kilka dni opowiem! — mruknął przez zęby drżącemi wargami Redödy i poszedł w inną stronę.

## VII.

Sprawa między Gyulą a Belą przybiérała coraz zaciętszy charakter.

W pułku przeważnie nią zajmowaliśmy się więcéj, niż ruchem powstańczym na granicy Bośnii, niż stanem oblężenia miasta i gotowością naszą do wymarszu.

Tam walczono, przelewano krew, a myśmy się bawili w Somborze i śledzili wyraz czarnych powłóczystych oczu Titäi i spojrzenia dwu naszych najmłodszych huzarów.

Po maskaradzie u Tiszanjich zawrzało w mieście od hec i zabaw. Następowały po sobie karuzele i wyścigi, asamble i fety w ogrodach, a wszędzie duszą byli Bela i Gyula. Wyprzedzali się w wymyślaniu i urządzaniu rozrywek dla apatycznéj, ale tak gorące południowe, rzucającéj spojrzenia Titäi.

Tak rzeczy stały, gdy nas, gorętszych przyjaciół dwóch zapaleńców, zatrworzył raz swojemi uwagami Galavicini, będący najpoważniejszym i najbardziéj sercowym człowiekiem w pułku lśniących huzarów.

— Moi panowie! — odezwał się on — nie mogę wam taić, iż się bardzo obawiam o dalsze losy swych dwóch poruczników... Panna Teszanj zdaje mi się bawić się nimi, a oni są zakochani, Redödy szczególnie...

— Redödy? sądzisz rotmistrzu—zapytałem.

— Redödy szaleje za bośniaczką z Serajewa — odparł stanowczo książę...

— A Czákvar?

— Nie wiem. Ale sądzę, że w roli, jaką odgrywa, niepodobieństwem jest, by go także lżéj, czy cięźéj, nie ugodziła strzała Kupidyna. Ci huzarzy za łby się chwycą lada chwila. Wczoraj na fecie u generała, myślałem już, że przyjdzie do skandalu... Trzeba wam było widzieć iskry, jakiemi sypały cygańskie oczy Gyuli. A Titäa się cieszyła...

Mówił to książę, powracając z nami z rewii pułkowéj, w któréj téż udział brali naturalnie Redödy i Czákvar. Ale oni odkąd zajedli się w téj zaciętéj ze sobą walce, unikali naszego towarzystwa, czy dlatego, by się nie spotykać ze sobą, czy téż dlatego, że jako zakochani, szukali samotności przychodzącéj w pomoc marzeniom.

Gdyśmy więc razem powracali z błoń do miasta, zostawiając za sobą szwadrony pod opieką wachmistrzów i kapraii, oni pozostali, jak zwykle od pewnego czasu, przy swych oddziałach.

Już znajdowaliśmy się w murach miasta i mieli niebawem rozjechać się do naszych poszczególnych kwater, gdy w galopie dopędził mnie zaciekły z saméj fizyognomii Gyula i zagadnął:

— Mam do ciebie interes... odprowadzę cię...

— Jestem na twoje rozkazy.

Ruszyliśmy sami razem we dwóch, a droga najkrótsza wypa-

dała nam przez ulicę okalającą miasto. Skręcałem w nią, gdy Gyula się odezwał:

— Jedźmy tędy.

— Którędy?

— Tędy! — odparł; wskazał mi kierunek, w jakim jadąc musieliśmy przejeżdżać około pałacu zajmowanego przez Teszanjich.

Jechaliśmy stępa. Gyula ślicznie wyglądał na Mahomecie i myślałem, że niepodobieństwem było, by nie wywarł swą energiczną postawą, swym rycerskim zakrojem silnego wrażenia na gorącéj naturze Titäi. On był chyba piękniejszym od Beli i mógł się więcéj podobać kobiécie.

Nagle po namyśle, który mu zaciskał usta, odezwał się:

— Proszę cię, byś się zapytał Czákvara, czy mnie przestanie draźnić i czy uzna za stosowne wreszcie nie stawać mi wciąż na drodze, nie podchodzić mi pod nogi... Może się wreszcie przekonał, że Titäa...

Urwał i zamilkł, by po chwili podchwycić:

— To wspólne nasze ubieganie się o rękę panny Teszanj jest śmiesznem w końcu i daléj przedłużać się nie może.

— Więc masz zamiar starać się o jéj rękę? bo w takim razie mogę tylko zażądać od Beli, by ci ustąpił, jeśli tych samych zamiarów nie żywi—zawołałem.

— Nie potrzebuję się z mych zamiarów spowiadać, a têm mniéj przed nim — zawołał, wpadając w rozdraźnienie. — Sądzę, że jeśli nie jest w ciemię bity, a jeśli jest dżentelmanem, to powinien pamiętać, jak dalece zaawansował i widziéć, że go już... zdystansowałem.

— Czy tak? — zapytałem — bo jeśli tak jest rzeczywiście, jeśli Czákvar to czuje, jestem przekonany, iż tak się w tym wypadku zachowa, jakeś ty się zachował, gdyśmy Abugörówi wtedy nad Mahometem prym przyznali...

— Ha! ha!—zaśmiał się Gyula.—Alboż ja wiem, co ten zarozumialec czuje... ha! ha! Ot teraz, powiédz mu to wreszcie, jadę tą ulicą, jadę dlatego, że na mnie na tarasie pałacu czeka Titäa... Czeka na mnie, a nie na niego... a więc już go zdystansowałem. Niechże przestanie być dzieciakiem i niech nie żąda odemnie dowodów, że jest... durniem, że Titäa się nim bawi.

Urwał, bo podjeżdżaliśmy pod pałac Teszanjich. Gyula nie umiał ukryć wzruszenia, pochodzącego czy ze spodziéwanego ujrzenia Titäi, czy z trwogi może nie zastania jéj na umówionêm miejscu.

Zrównaliśmy się z pałacem, który od ulicy miał olbrzymi wscho-

dni taras. Redödy wlepił weń wzrok, cały w nim zatopiony. Titäa czekała.

Wśród egzotycznych roślin, olbrzymich palm i dracen rysowała się jéj czarująca postać, spoczywająca na bujającym się fotelu, otoczona perskimi dywanami i tureckiemi poduszkami.

Czekała więc na Gyulę i gdy go zoczyła, podniosła się powoli i ociężale z krzesła i zbliżyła do balustrady. Twarz zakryła wachlarzem z białych piór strusich, przy których oczy jéj jeszcze na czarności piekielnéj zyskały. Odpowiedziała na dyskretny ukłon Gyuli długiém, spokojném, powłóczystém spojrzeniem, jéj tylko właściwém i zaledwie towarzyszącém mu skinieniem głowy. Rozumiałem szał Redödiego. Kto gustował w kreolkach, musiał szaléć za tą kobiétą. Minęliśmy pałac i oddalili się od niego kilkanaście kroków, gdy przed nami z bocznéj ulicy wypadł w wyciągniętym kłusie huzar, śpiesząc naprzeciw nas.

Był to Czákvar.

Poznał już natychmiast zdala Gyulę, uśmiechnął się tym wyrazem, do wściekłości doprowadzającym przyjaciela i nie zwalniając kroku w chwili, gdy nas wymijał, zasalutował i zawołał:

— Nie o wiele mnie wyprzedziłeś, Gyulo!

Redödy się zachwiał na koniu. Zbladł i w jednéj chwili poczerwieniał, jak szkarłat. Opuścił oczy, bo się wstydził i obawiał mego spojrzenia...

Więc genialna Titäa, myślałem, dała *rendez-vous* jednemu i drugiemu, a nieszczęśliwy Gyula starał się wytłómaczyć sobie, że tam, gdzie on się znalazł wezwany, Bela się znajdował wypadkiem.

Nie myliłem się w swych przypuszczeniach, bo Redödy ochrypłym z energii głosem zawołał, pobudzając konia do pośpiechu.

— Musi być temu koniec. Popełnię może podłość, którą potrafię wynagrodzić. Popełnię może krok nie rycerski, ale muszę zakończyć, muszę go zbłaźnić w jego własnych oczach. Widzisz! on mnie szpieguje! on postępuje nie jak huzar, ale jak truteń, jak...

Splunął i urwał, by po chwili zbliżając się do mnie, ciągnąć z nieopisaną zaciętością i złością.

— Pomóż mi! Rozmów się z nim co prędzéj! Powiédz mu, co zechcesz! Ale dziś musi być temu koniec. Dziś Czákvar musi mi ustąpić i zejść mi z drogi. Gdybym nie służył w lśniącym pułku, już dawnobym mu nastąpił na nogę: albo pozbył się go, lub sam zginął... ale nie chcę wprowadzać zwyczaju, istniejącego w innych pułkach, skoro moi koledzy są dumni z tego, że między nimi nie istnieje. Albo Bela ci powié, że się cofa... albo mnie zmusi do pozbycia się go...

— Jakto? Więc byś pragnął go?...

— Nie! — zawołał Gyula — zmusi mnie do kroku, który skutek pożądany odniesie, ale którego mu nigdy nie wybaczę... Zmusi mnie do odniesienia nad nim tryumfu kosztem rumieńca. Titäa zamąż wyjść nie chce, a tylko oznajmieniem wam, że jestem przez nią przyjęty mógłbym odstawić tego trutnia... A więc będę musiał...

Urwał i zapytał:

— Do wieczora! Dasz mi jego odpowiedź, dziś... w kasynie... Jeśli odmówi... biada mu! Żal mi go, jeśli jest zajęty panną Teszanj.

To powiedziawszy, pożegnał mnie i popędził na swym Mahomecie.

Co miał na myśli ten zajadły cygan, przestraszający swą miną?

## VIII.

Na wszystkie moje perswazye, prośby i nalegania, odpiérał uparcie Czákvar.

— Niech mi udowodni, że szczęśliwszym jest odemnie. Wszak mi to przyobiecał. Wszakże ja miałem mu stwierdzić jego węgierskie o koniu i kobiécie przysłowie. Niech udowodni, powiédz mu — a dowód do grobu zaniosę i ustąpię mu pola... Ale niech udowodni, ha! ha! jeśli jest człowiekiem, a nie dzieckiem. Cierpi, mówisz? — dobrze! Niech to cierpienie mu będzie nauką, że huzar, mający złoty kołnierz, waży każde swoje słowo... On żąda, bym ja... Jakiém prawem? Chce się żenić z Titäą? I ja może się z tą myślą noszę?

W tym sensie mówiąc, zmuszał mnie do milczenia. Jak cyganie zażarli się obaj w téj utarczce i niepodobna było już rozeznać, czy ich daléj rozjuszało wspólne dla panny Teszanj uczucie, czy téż wspomnienie dawnych słów, które czasem, choć jak szpilki delikatne, jak sztylety kłują.

Galavicini przypuszczał, że Redödy więcéj za Titäą szalał. A ja nie wiedziałem, co myśléć. Gyula nie umiał maskować swych namiętności. Bela także téj sztuki nie posiadał, ale był mniéj madziarskiéj natury egzemplarzem. Mogła więc tu miéć miejsce okoliczność, że obaj się zakochali w téj sułtance z maskarady, okoliczność zaostrzona z samego początku świeżym wtedy wypadkiem z Abugörö.

Bo do jakich to granic rozżarzyć mogą namiętności w sercach Madziarów te dwa ich ulubione elementa, koń i kobiéta! Wieczorem udałem się do kasyna, gdzie miałem spotkać obu rywalów o względy panny Teszanj. Obaj ostatecznie zrobili na mnie tak rozgorączko-

wane i przykre nadmiarem obustronnéj zaciętości wrażenie, iż się obawiałem wybuchu, który już każda chwila przynieść teraz mogła.

Redödy tracił panowanie nad sobą, skoro już był gotów nawet do niedżentelmańskiego kroku, jak mówił, a Gyula w swéj zaciekłości nie myślał o następstwie, któreby w innych okolicznościach leżało nawet na dnie jego łagodnéj natury.

Musiało więc przyjść do katastrofy, która zapowiadała się najdziwaczniéj.

W kasynie zastałem już zgromadzonych prawie wszystkich oficerów, a między nimi znajdowali się również Gyula i Bela. Redödy, skoro mnie tylko zoczył, podbiegł do mnie i zapytał przez zaciśnięte zęby:

— I cóż?

Uprowadziłem go do drugiego pokoju, bojąc się awantury w sali pełnéj huzarów, a Gyula wyglądał zatrważająco.

— Nie mogę—odparłem—dojść z wami do ładu...

— Nie chce?

— Chce, byś mu dał dowód...

— Na co?

— Na to, iż się cieszysz większymi od niego względami panny Teszanj.

— Dobrze!—odparł blady ze wściekłości Redödy i oddalił się.

Poszedłem za nim. Oblicze jego wyraźnie mi mówiło, iż był gotów—na wszystko. Zbliżył się do Czákvara i mieniąc się cały coś mu szepnął raczéj, niż powiedział. Obaj natychmiast ruszyli ku drzwiom od komaty, z któréj jeszcze nie wyszedłem. Minęli mnie, Gyula tak był rozdrażniony, iż zdawał się mnie nie widzieć, czy téż nie zważał na moją obecność. Stanąłem we drzwiach i czekałem, co między nimi nastąpi.

Razem idąc, zatrzymali się w środku pokoju w najgłębszém milczeniu, bo obaj drżeli i może słowa-by wymówić nie mogli. Po chwili Redödy, mierząc piorunującym wzrokiem przyjaciela, a wyjmując trzęsącą się ręką pugilares z bocznéj kieszeni munduru, wycedził dobitnie:

— Postępujesz względem mnie jak dzieciak, ale jeszcze ufam, żeś człowiek honoru.

Bela syknął śmiechem. Gyula otworzył pulares, wyjął z niego ćwiartkę zapisanego papiéru i pokazując Czákvarowi ostatnią jéj stronicę tylko, zapytał:

— Dość ci?

Bela lekko zbladł, oczami chwilę spoczął jakby na odpisie tego widocznie listu i uśmiechnął się.

— Dość ci?—powtórzył Gyula.

Czákvar odsunął się i milczał w zadumie.

— Odpowiadaj! — syknął irocznie Redödy. Te słowa rozdraźniły znów Belę, na jego oblicze powrócił sarkastyczny uśmiech i odparł:

— Jutro będę u ciebie i odpowiem ci.

To powiedziawszy, wyszedł pierwszy z sali i wpadł najprzód na mnie. Wsunął rękę pod moje ramię i uprowadził mnie do ogrodu, do którego wprost z głównéj kasynowéj sali prowadziło wyjście. Ochłonąwszy po dość długim przeciągu czasu, odezwał się:

— Redödy, myślałem, durzy się w pannie Teszanj... omyliłem się... on się w niéj kocha!... Postawił kwestyę na ostrzu noża... Mówić z nim nie mogłem... jest zaporywczy na to... Żal mi go, ale postawił kwestyę na ostrzu nożu... jak dzieciak. Ja nie ustąpię.

— Czákvar!—zawołałem—zakochani są dziećmi.

Bela się zamyślił i opuścił na ławkę, około któréj znaleźliśmy się. Po chwili zawołał:

— Idź do Gyuli i zapytaj się go, czy on się ożeni z panną Teszanj... idź zaraz.

Czułem, że coś ważnego zaszło. Usłuchałem rozkazu i powróciłem do kasyna, gdzie natychmiast powtórzyłem pytania Redödiemu.

Ten się zaperzył.

— To jego nie obchodzi!—zawołał. — Zrobię, co mi się podobać będzie. Dziś żądam, by postąpił tak, ja postąpiłem na Keczmeckiéj puszczy, gdym mu ustąpić musiał i do nierozważnie wyrzeczonych słów się przyznać. Czekam do jutra wieczora... A jutro wieczór — cedził w furyi, tamującéj mu oddech — jeśli go przy Titäi spotkam, to go... spoliczkuję! Idź.

Powróciłem nazad i zastałem Belę pogrążonego w zadumie. Laseczką kreślił różne figury na piasku i nie widział, ani nie słyszał mego powrotu.

— Czákvar!

Zerwał się i podniósł głowę. Powtórzyłem mu dosłownie wyrazy Gyuli.

Powstał z ławy, śmiejąc się nerwowo.

— Dobrze! ha! ha! Żaden Czákvar nie został jeszcze odsuniętym. Żaden Czákvar nie żałował swych słów, choćby po pijanemu

wymówionych... Chce tak? Dobrze! ha! ha! Żałuję go... Chciałem mu oszczędzić...

Wstał i ruszył z miejsca, mówiąc daléj i myśląc:

— Gdyby się chciał żenić... choć w takim razie musiałbym podobnie postąpić...

Uspokajał się, ale nagle sobie coś przypomniał i zawołał:

— Spoliczkuje mnie? ha! ha! Powiédz mu, że jutro o godzinie trzeciéj po południu będę u niego... a wieczór będę zapewne z nim razem u Teszanjich. Ha! ha! W zabawną i przykrą nas wpakował rolę... Abugörö...

Więcéj nic nie mówił. Gubiłem się w domysłach nad charakterem, jaki zwada ta przybierała. Widziałem tylko, iż wchodziła na poważne i nad wyraz drastyczne tory. Zobopólnie, nie chcąc jeden drugiemu ustąpić, zmuszali się do ostateczności, będących dla nich wysiłkami.

W chwilę późniéj obu ich nie było w kasynie. Galavicini zbliżył się do mnie i zagadnął:

— Uważałem, iż się coś dzieje między moimi najmłodszymi porucznikami. Fizyognomie ich wróżą mi niemiłe zajścia. Zdaje mi się, iż jesteś pośrednikiem między nimi. Zaklinam cię, załagódź tych cyganów i przedstaw im fatalny zbieg okoliczności, jaki powstanie, jeśliby chwycili za pałasze, czy pistolety...

Na razie nie zrozumiałem, co miał na myśli książę. On to odgadł z méj twarzy i dodał:

— Przecież podlegamy prawom, towarzyszącym stanowi oblężenia.

Struchlałem, a rotmistrz mówił:

— Jeśliby przyszło do pojedynku i jeden z nich zginął, drugi podlega wyjątkowym wojennym prawom.

— Te prawa?

— Nie znasz ich? Pojedynek w stanie oblężenia jest morderstwem, a morderstwo bywa doraźnie karane przez sąd wojenny natychmiastowém rozstrzelaniem...

Milczeliśmy obaj. Książę pierwszy podchwycił:

— Na to nie byłoby rady, chyba żeby jednemu z nich nic się nie stało... a tego przypuszczać trudno, znając ich... Na to nie byłoby rady—dodał smutno — a miny ich zapowiadają lada chwila... zapomnienie się... W mieście mówią już o téj rywalizacyi... mówią, że Redödy stara się seryo o pannę Teszanj... Najmniejsza awantura będzie rozgłośną. Jeśli nastąpi pojedynek, choćbyśmy chcieli go przytłumić, nie zdołamy tego. Niechże jeden zginie, to komendant „stanu oblę-

żenia“ musi zwołać sąd wojenny, który w ciągu godziny winien zbadać sprawę i wydać wyrok z natychmiastową egzekucyą, według praw wyjątkowych, uważających w takim razie przeciwnika i sekundantów za prostych morderców... Zlituj się nad „lśniącym pułkiem“ i oszczędź mu skandalu, a nam téj przykrości.

— Cóż ja mogę? znasz ich przecież.

Galavicini ruszył ramionami i zagadnął:

— Nie śmiem cię pytać, jak daleko między nimi zaszło, bo byś mi i nie powiedział.

— Owszem! nie jestem w niczém obowiązany do tajemnicy.

— Pojmujesz więc, — podchwycił książę — że nie przez prostą ciekawość pragnąłbym coś wiedziéć... Mam myśl...

— Co wiedziéć pragniesz?

— Czy między nimi do starcia przyjść musi.

— Zdaje mi się.

Książę uderzył się po czole.

— Co za szkoda — zawołał — że mi wcześniéj ta myśl do głowy nie przyszła. A więc — zapytał — nie mógłbyś mi powidziéć, kiedy przypuszczasz, że nastąpi wyzwanie?

— Powierz mi myśl twoją, książę,—odparłem—a ja ci powierzę to, co względem tego przypuszczać mogę.

Galavicini się zamyślił, i po chwili odezwał się:

— Pragnę wyrobić u pułkownika, również trwożnego o tych szaleńców, by jednego z nich rozkazem pułkowym bezwłocznie wysłał... gdziekolwiek.

Podskoczyłem z radości.

— A więc masz czas — zawołałem — do jutra wieczora. Jeśli z téj zwady wyniknie pojedynek, to nie nastąpi wyzwanie, aż jutro...

Zamyśliłem się i dodałem:

— Jutro najwcześniéj od trzeciéj po południu. Idź i staraj się o to! Myśl twoja jest wyborna, ale rozkaz winien jednego z nich dojść przed jutrzejszym wyborem.

— Przed trzecią?

— Lepiéj!

Galavicini opuścił mnie i za chwilę już widziałem, jak wprowadzał pułkownika do ogrodu, gdzie z nim długo konferował.

Powróciwszy, zagadnął z rodzajem zwątpienia:

— Wszystko utrudnia stan oblężenia miasta. Pułkownik nie ma prawa nic przedsiębrać bez porozumienia się z najwyższą ko-

mendą. Jutro uda się do generała... uzyska to bezzaprzeczenia. Dziś już zapóźno...

— Tu o czas chodzi,—zawołałem—bo jeśliby jeden z nich rozkaz dostał po wyzwaniu, toby popadł w fatalne położenie.

— Musiałby—dokończył książę—ściągnąć na siebie zarzut albo wobec sądu honorowego, albo wojennego.

— Otóż...

Galavicini się zamyślił i nagle ocknąwszy się, zawołał:

— Jeszcze namówię pułkownika, by dziś mimo spóźnionéj pory udał się do komendanta.

Była więc nadzieja niedopuszczenia do katastrofy.

## IX.

Nazajutrz rano był już u mnie Galavicini. Zachodziły poważne trudności. Komendant miasta nie mógł wobec zaostrzonych przepisów, towarzyszących stanowi oblężenia, wymyślić funkcyi, mającéj urzędowe pozory, któreby mógł powierzyć najmłodszemu oficerowi. Każde wydalenie Beli, czy Gyuli z Somboru, nosiłoby na sobie cechę misyi naciągniętéj, za którą odpowiedzialności, ani téż możliwego od wyższych władz zarzutu nie chciał brać na siebie. Książę kończył z wzrastającém jednak ożywieniem:

— Jest tylko jeden sposób przeprowadzenia téj trudnéj manipulacyi, na który wpadli generał i pułkownik, obaj trwożni, by Sombor i czwarty pułk dziś nie stał się przedmiotem głośnéj w kraju awantury. Ale, aby ten wybieg przeprowadzić, potrzeba nam jeszcze kogoś poważniejszego, wtajemniczonego w rzecz całą, człowieka wytrawnego i nieograniczonego zaufania. Nie dość na tém. Ten człowiek winien być oficerem naszego pułku i powinien sam poświęcić się tutaj niejako dla uratowania Gyuli, czy Beli.

— Ja nim jestem.

— Jesteś za młody. Podstęp musi zachować wszelkie pozory. Myślałem o tobie...

— Mam takiego.

— Kogo?

— Kardassy!

— Wyborny. Ale czy zechce uczynić cośkolwiek, nie chodzi tu o rzecz ważną, dla jednego z narwańców?

— Jeśli nie zechciałby się poświęcić dla Gyuli, czy Beli, to uczyni, co będzie w jego mocy, dla mnie...

— Jesteś tego pewny?

— Jestem.

— A jesteś równie pewnym dyskrecyi Kardassyego. Wszakże rozumiesz delikatność sytuacyi i pojmujesz, że fortel, którego użyć zdecydowali się komendant i pułkownik, musi być tajemnicą pogrzebaną między mną, tobą i Kardassym.

— Dziwisz mnie, książę — odparłem. — Wszakże Kardassy liczy trzydzieści i kilka lat i jest rotmistrzem, jak ty w naszym pułku.

Galavicini podchwycił:

— Nie dziw się méj ostrożności. Nigdy nie jest jéj dosyć, gdy chodzi o oszczędzenie ludzi, którzy nam zawierzali... Mnie zależy niewymownie na têm, by przełożeni, chcący dziś nam dopomódz, nie żałowali tego nigdy...

— Możesz mi zaufać...

Tu książę wyciągnął do mnie swą dłoń, pytając.

— Słowo honoru twoje i za Kardassyego?

— Daję je—odparłem, podając mą rękę rotmistrzowi.

Galavicini odetchnął i ciągnął:

— Gdyby to się działo z innymi, nie z Redödym i Czákvarem, możebyśmy znaleźli nie tak skombinowany i bądź co bądź ryzykowny sposób.

Jeszcze się wahał, czy ma mi powierzyć swój plan i zagadnął:

— Jak ci się zdaje? Bo ja sądzę, że jeśli coś nie poradzimy, to sobie łby poroztrzaskują dziś, czy jutro.

— Książę!—podchwyciłem.— Jest godzina ósma... Każda chwila jest drogą właśnie dlatego, że i ja tego się obawiam.

— A więc, słuchaj!—zawołał, najwięcéj dbały o oficerów swego szwadronu ze wszystkich rotmistrzów, jakich znałem, Galavicini; tu usiadł i mówił:

— Najwyższa komenda dziś rozkaże, by czwarty pułk wysłał patrol, złożony z dwóch oficerów i dwóch oddziałów na granicę Bośnii dla zbadania ruchów powstańczych.

Moja mina wyrażała najwyższe ździwienie, więc książę wtrącił:

— Nie ma innego sposobu. Musimy poruszyć dwa oddziały, aby być w porządku z regulaminem. Oficerami tymi będą Kardassy i Redödy.

— Dlaczego nie Czákvar?

— Bo Redödy wydaje nam się silniéj zakochany.

— Więc?...

— Bądź cierpliwym. Patrol ten ma zabawić w drodze tydzień czasu — tu przerwał i podchwycił, jakby sobie coś przypominając — dlatego, uważaj, mówię ci to wszystko, bo ty winieneś to powtórzyć

Kardassyemu. Jemu przecież pułkownik wyda tylko goły rozkaz, który, że jest jednak fikcyjnym, Kardassy wiedzieć musi.

— Dlaczego?

— Ah!—obruszył się książę—przecież komendanturze nie zależy na tém, by jéj przyniósł informacye... Owszem! zależy jéj na tém, by nie narażał oddziału na żadne niebezpieczeństwa...

— Rozumiem... Mów!

— Podczas tego tygodnia nieobecności Redödiego wystara się pułkownik w Peszcie, by Czákvar został cofniętym z Somboru dla jakichkolwiek przyczyn. Wyśle go albo dla zakupu koni na wschód, lub też przydzieli do kancelaryi w stolicy, lub cobądź, co go z Somboru wyprowadzi bezpowrotnie. Redödy, gdy wróci, nie zastanie go już...

Książę skończył.

— Genialny obmyśliliście plan! — zawołałem — tak dobrze, że nawet Gyula i Bela nigdy nie przypuszczą, iż z ich powodu przedsięwzięto te tranzlokacye.

— Namyśl się—rzekł rotmistrz—i powiédz mi, czyby nie wypadało czego jeszcze zmienić?

— Nie widzę nic do zmiany.

— A więc biegnij do Kardassyego — podchwycił, zrywając się z krzesła,—a ja jadę do komendy, która na jedénastą rano wygotuje rozkaz do pułku.

— A pułk?

— Pułk wystylizuje go tak, by rozkaz doszedł Redödiego przed wieczorem.

— Aby — dodałem — Redödy nie mógł już być na wieczorze u Teszanjich.

— Naturalnie! Rozkaz będzie dany z natychmiastowém wykonaniem.

Rozeszliśmy się. Rotmistrz, tak troskliwy jak żaden o swych poruczników, których nadto osobiście serdecznie kochał, popędził swym węgierskim, dzwoniącym ekwipażem do komendy Somboru, a ja pobiegłem do Kardassyego.

## X.

O w pół do trzeciéj, stosownie do umowy, zaszedłem do Kardassyego, aby rozkaz pułkowy adresowany do niego, jako wyższego rangą od Gyuli, zanieść do tego ostatniego.

Rozkaz dopiéro co przyniesiono rotmistrzowi. Brzmiał on lakonicznie:

„Po odebraniu niniejszego bezzwłocznie udasz się pan wraz z porucznikiem Gyulą Redödym do Keresztur, oraz jego oddziałem, jakotéż trzecim oddziałem piątego szwadronu w kompletnym rynsztunku wojennym na granicę Bośnii, którą zbadasz od Szabacu do Dubicy i o stanie jéj pod względem ruchów powstańczych, zdasz dokładny raport komendanturze wojennéj w Somborze.“

Mogłem więc zaraz iść do Gyuli, ale nie uczyniłem tego umyślnie. Wiedziałem bowiem, że o trzeciéj miał być u niego Bela. Nie mogłem wchodzić bezpośrednio po nim, tém więcéj; że o umówioném między nimi *rendez-vous* wiedziałem. Opóźnienie kilkunastu minut nie mogło mieć żadnego wpływu.

O trzeciéj opuściłem Kardassyego, który się gotował do nudnéj podróży i powoli, wybierając najdłuższą drogę, dążyłem do Redödiego. Nie chciałem zajść do niego wcześniéj, jak około czwartéj, nie mając zamiaru przerywania jego rozmowy z Belą, jeśliby się przedłużyła.

Przechodziłem około pałacu Teszanjich. Na tarasie spoczywała na szeslongu Titäa, a służebna wachlowała ją olbrzymim liściem palmowym. Był to bowiem jeden z najskwarniejszych dni wyjątkowo gorącego czerwca. Panna Teszanj zoczyła mnie swém spokojném spojrzeniem i skinęła, bym się zbliżył do balustrady, oddzielającéj taras od ulicy. Gdy to uczyniłem, dała znak gestem sułtanki służącéj, by się oddaliła. Była cudowną. Miała na sobie wschodni strój, przypominający krojem greckie szaty. Sploty swych kruczych włosów pospinała misternemi spinkami z cekinów, które podnosiły kruczą barwę jéj głowy i blask jéj oczu; w uszach miała złote kolce, przedstawiające olbrzymie stosunkowo koła złożone z niezliczonéj ilości delikatnych, jak jedwabna nitka kół, które, poruszając się, mieniły się dziwnie. Przybraną była zresztą w materye barwy białéj i wiśniowéj najdelikatniejszéj tkaniny. Przykuwała oryginalnością swego typu i gorącą pięknością swego oblicza.

— Pan w taki upał chodzisz?

— Jak pani widzisz. Służba nie zna gorąca.

— Służba?

— Niosę rozkaz Redödiemu, by wyruszył na granicę Bośnii.

Kobiéta ani drgnęła?

— Na długo?—zapytała.

— Nie wiem... to względne.

— A Czákvar?

— Czákvar? Nic!

— Zostaje?

— Zostaje!

Po twarzy Titäy przebiegł nieuchwytny, ale wesoły uśmiéch. Zamyśliła się tak głęboko, iż musiałem jéj zadumę przerwać.

— Nad czém pani tak się zastanowiłaś?

— Nad czém? — odparła, jakby się budząc ze swego półsnu — myślę nad tém, jakie to życie ludziom figle płata...

— Masz tu pani na myśli Gyulę?

Titäa się uśmiechnęła.

— Być może... Co on pocznie?

— Wyjedzie natychmiast!

— A Czákvar? zostawi go?

— Pani chciałaś?

— Nic nie chciałam... — zaśmiała się i dodała z niepojętą obojętnością u kobiéty, mówiącéj o swych wielbicielach — nie mogę sobie wystawić jednego bez drugiego.

— Widok ten pani będziesz miéć dziś wieczór.

— Już?

— Już!

Titäa utkwiła wzrokiem w olbrzymim liściu, zwieszającéj się nad nią palmy.

— Nie!—szepnęła—jeden drugiego nie zostawi.

Zaśmiałem się. Te słowa jéj wymówione ze wschodnią pewnością, nie rozumiejącą rozkazów, ani karności, ubawiły mnie na razie.

— Więc chyba go zbije, wyruszając sam? ha! ha!

Titäa, nie spuszczając oczu z palmy, dodała:

— Pan się śmiejesz?

— Cóż mam robić inszego? Pani przypuszczenie...

— Jest trafne—dodała.

— Niemożliwe!

— A ja panu mówię, że możliwe — odparła z tą zdumiewającą niedbałością.

— Możliwe, by go zabił?

— Ah! nie to!... nie zostawi go...

Rodzaj dreszczu przebiegł mi żyły. Titäa przerażała swym wschodnim spokojem.

Pożegnałem ją i pobiegłem daléj. Redödy mieszkał w pierwszorzędnym hotelu somborskim, leżącym przy jednéj z głównych ulic. Gdym się do tego domu zbliżał, zastanowił mnie tłum cisnący się do jego wnętrza, w pośród którego migotały czapki policyantów i wojskowych. Przyśpieszyłem kroku i wkrótce wpadłem w zbitą groma-

dę ciekawych, tłoczących się do bramy hotelowéj, któréj jednak strzegli policyanci z nastawionymi bagnetami.

— Co się stało?—zapytałem.

— Zbrodnia!—odparł mi ktoś w zbiegowisku.

— Jaka?

— Oficer jakiś podobno zabił...

— Kogo?

— Oficera.

Szum taki ogarnął mą głowę, iż, nie pytając o więcéj, przedarłem się przez tłok do bramy. Policya rozstąpiła się przedemną i wbiegłem do wnętrza hotelu, rojącego się już od zaalarmowanych wypadkiem urzędników policyi i różnych osób.

— Co się stało?

— Porucznik od huzarów, Redödy, zastrzelił się — odparł mi jeden z obecnych.

— Nie!—podchwycił drugi—został zabity!

— Przez kogo?

— Nie wiedzą jeszcze...

— Jakto?

Zapytany ruszył ramionami, a inny znów podchwycił:

— Ten, co go zabił, uciekł, ale podobno znają go.

Trudno opisać, co się we mnie działo. Rzuciłem się ku wschodom i dopadłem apartamentu Redödiego, leżącego na drugiém piętrze. Tu zastałem również policyę, nie dopuszczającą nikogo do wnętrza mieszkania. Chciałem wejść. Niepozwolono mi.

— Zaraz sędzia śledczy tu przybędzie. Zaczekaj pan!—odparł jeden z obecnych urzędników policyi.

Opuściłem się na ławę stojącą w kurytarzu i słuchałem na pół przytomny rozmów zgromadzonych, między którymi była służba hotelowa, sąsiedzi numeru zajmowanego przez Gyulę, policyanci i inni.

Rzecz tak się z ich opowiadań przedstawiała. O w pół do czwartéj rozległ się wystrzał na drugiém piętrze. Na ten odgłos biegli ciekawi ze wszystkich stron. Ci, co śpieszyli z dołu, spotkali się z uciekającym z drugiego piętra oficerem od huzarów. Ci, co nadbiegali z pierwszego i drugiego piętra, widzieli go uciekającego. Wpadli do pokoju Gyuli i zastali go zabitego w pozie dziwnéj, bo stojącéj i opartéj tyłem o balustradę otwartego okna, a zwróconéj obliczem do środka pokoju. Poza ta przemawiała wyraźnie za tém, iż Redödy był ofiarą mordu. Urzędnik śledczy, natychmiast przybyły, skonstatowawszy brak pistoletu i zasłyszawszy o uciekającym oficerze, kazał

nic nie tykać w mieszkaniu, a sam pobiegł aresztować zbiegłego, domniemanego mordercę. W głowie mi się wszystko mieszało.

Czákvar więc miałby zabić Gyulę? Fakt ten monstrualny nie wydał mi się niemożliwym. Zapewne takimże miał się wydać i innym, znającym tych ludzi, kipiących nadmiarem krwi madziarskiéj.

Niedługo mogłem się oddawać strasznym i chaotycznym myślom. Niebawem doleciał nas z dołu brzęk pałaszy i ostróg, różnych tonów głosy i zaraz na wschodach pojawili się zaalarmowani wypadkiem urzędnicy, władze, lśniący huzarzy, generałowie i dygnitarze. Sombor nie był dużém miastem i podlegał prawom stanu oblężenia, oddającym w ręce wojskowych najwyższą władzę sądowniczą. Przyśpieszyli więc prawie wszyscy równocześnie. Między nimi znajdował się i Galavicini i wielu moich kolegów. Teraz dopiéro otworzyły się podwoje mieszkania Gyuli.

Tutaj straszny, ale oczekiwany przedstawił nam się widok.

W milczeniu przystanęli wszyscy, jakby jeden. W otwartém oknie, jakby przewieszony przez balustradę tegoż, stał nieco zsunięty Redödy, ugodzony kulą w serce. Jedną rękę, mianowicie prawą, miał za oknem, lewa wisiała wzdłuż ciała. Opodal od niego stał stół. Na nim znajdował się papiér i pióro niezaschnięte jeszcze, a stała zapalona świéca. U płomienia jéj spalił on jakieś papiéry, których popioły leżały na stole.

Spisano protokół z tego obrazu, poczém komendant Somboru polecił naszemu pułkownikowi zrewidowanie pugilaresu Gyuli, a doktorowi zaś oględziny rany. Sam przystąpił do przesłuchania kilku świadków, którzy na alarm wystrzału najpierw się zbiegli.

Doktór oświadczył, iż rana pochodziła od kuli pistoletu dużego kalibru, jakiéj używano w czwartym pułku huzarów. Pułkownik zaś nie znalazł nic w pugilaresie, coby jakiekolwiek rzucało światło na wypadek. Wtedy sędziwy generał zwrócił się do obecnych i zapytał:

— Czy który z panów ma jaką myśl, mogącą stwierdzić przypuszczenie, że Redödy sam się zastrzelił?

Grobowe nastąpiło milczenie. Przypuszczenie to, wobec braku broni, pozy nieżywego i ucieczki Beli, było wręcz niemożliwém.

— Czy kto z panów domyśla się, który oficer z czwartego pułku był tym uciekającym po spełnionéj zbrodni?

— Czákvar!—jęknął Galavicini.

— Aresztować go!—rozkazał generał.

— Już aresztowany—odparł nieznajomy jakiś mężczyzna, będący widocznie członkiem policyi.

— A więc—ciągnął daléj komendant — ukończyliśmy tutaj nasze zajęcie. Opieczętować mieszkanie! ciało Redödiego przenieść...

Tu zwrócił się do naszego pułkownika i mówił drżącym głosem:

— Panie pułkowniku! Stosownie do przepisów, wybierz bezzwłocznie do swojéj pomocy dwóch oficerów swoich, którzy utworzą wraz z tobą sąd wojenny. Dziś sprawa ma być zbadaną... Jutro o dziesiątéj rano będzie sądzoną...

To powiedziawszy zmierzył ku drzwiom.

Pułkownik otarł łzy, które mu stały w oczach i zaciskając, jakby z bólu, usta, rozejrzał się po komnacie, gdzie już byli obecni prawie wszyscy jego oficerowie. Spoczął wzrokiem na mnie, ale widząc moje błagalne spojrzenie, by mnie nie wybierał, skierował w inną stronę oczami.

— Ciebie majorze, hrabio Andrassy i ciebie rotmistrzu Kardassy obiéram sędziami. Przystąpcie natychmiast do przesłuchania Czákvara. Nie potrzebuję wam polecać energii... Zbrodnia nie przedstawia żadnych wątpliwości... Na protokuł zeznania mor...dercy czekam w kancelaryi pułkowéj...

Załkał prawie i wybiegł, gdy go zatrzymał Galavicini.

— Czy wolno mi widzieć się z Czákvarem?—zagadnął.

— Wolno każdemu.

Książę podbiegł do mnie i grobowym głosem zapytał:

— Czyż to możliwe?

Ruszyłem ramionami, nie będąc w stanie wymówić słowa.

— Nie mamy minuty do stracenia—zawołał z niebywałą u niego energią. Musimy go widzieć, zanim zeznania swoje uczyni... To jasne morderstwo nie jest jasném.

Uśmiechnąłem się, tak mi się to przypuszczenie wydało naiwném. Książę zrozumiał mój uśmiéch, opuścił głowę na piersi i szepnął głosem przejmującym:

— Oficer czwartego pułku mordercą? rozstrzelanym przez sąd wojenny! Nie! to być nie może...

Wybiegł, a ja za nim podążyłem.

Pędziliśmy do fortu, gdzie już uwięziono Czákvara. Nie wymieniliśmy słowa. Obaj nie wierzyliśmy absolutnie, aby Czákvar mógł nie być zabójcą Redödiego. A obu w głowach pomieścić się również nie mogło, aby Czákvar był prostym mordercą.

Odchodziliśmy od zmysłów. Rotmistrz raz tylko szepnął:

— Boże!... Czyż to być może... by kobiéta...

Tu łza mu spłynęła po policzkach. Połknął ją i umilkł.

Ten huzar-poeta rozumiał mniéj odemnie Belę, którego może więcéj swém szlachetném sercem kochał.

## XI.

Bela siedział w celi więziennéj; zastaliśmy go chodzącego po niéj krokiem gorączkowym. Gdy nas zobaczył i spojrzeniem fizyognomie nasze ogarnął, nagle oblicze jego pokryło się wyrazem przestrachu pierwszy zawołał:

— Powiédzcie mi, co to wszystko znaczy?

W milczeniu spojrzeliśmy po sobie. Czákvar zrozumiał nasze miny i zawołał z trwogą:

— Więc i wy przypuszczacie?...—urwał i zapytał:

— Co się stało z Gyulą?

— Nie wiész? — podchwycił książę, a twarz jego pokryła się śnieżną bladością.

— Ja nic nie wiem. Mnie zaaresztowano!!!

Spojrzeliśmy znów po sobie wzrokiem, wyrażającym tysiące zawikłanych myśli.

— Słuchaj Belo! — odezwał się Galavicini. — Przychodzimy, aby cię ratować... Jesteś bowiem skazany na śmierć!

Urwał, bo Czákvar się zachwiał i pobladł.

— Co ty mowisz?—wybełkotał.

Książę podchwycił:

— Siły teraz ci potrzeba. Opowiadaj, co i jak się stało. Opowiadaj, jeśliś go zabił.

— Ha! ha!—zaśmiał się Bela.—Czy wy żartujecie?

— Opowiadaj!

— Co mam opowiadać?

— Co zaszło w hotelu? u Redödiego?

Czákvar zaczął chodzić po celi, jak dziki zwierz w klatce. Drżał na całém ciele, mówić nie mógł.

— Czas jest teraz nad wyraz drogim—szepnął książę — w interesie twoim, mów!... za chwilę staniesz przed sądem wojennym i wszystko, co powiész, będzie nieodwołalnym dokumentem.

Bela przystanął.

— Rotmistrzu! Tyś zwaryował!

Nastała cisza. Obaj uczuliśmy, że stoimy przed zagadką. Ten człowiek nie był zabójcą Redödiego.

— Tyś go zabił?—zapytał książę.

— Jeżeli nie żyje, to się sam zastrzelił, z mojéj winy może, ale jakimże sposobem ja jestem posądzony?

— Jakim sposobem?—zaśmiał się tragicznie Galavicini—bardzo prostym! Widziano cię, jak uciekałeś... a przy Redödym nie znaleziono pistoletu, którym się zastrzelił.

Bela chwilę zdawał się nie rozumiéć i wytężająco pracował mózgiem, by objąć ten zbieg okoliczności. Ja śledziłem jego oblicze. Przekonanie, że on w chwili szału zabił Gyulę, słabło z sekundy na sekundę. Nagle zawołał, po długiém milczeniu, bledniejąc jak ściana.

— A więc jestem zgubiony.

Zaczął biegać po izbie.

Galavicini uchwycił go za ramiona i rzucił nim formalnie na stojący jedyny stołek.

— Opowiadaj! — ryknął nieszczęśliwy!

Bela spojrzał mu w oczy, a z miny jego wyczytał, że mu groziło poważne niebezpieczeństwo.

— A więc! — zawołał stłumionym głosem — słuchajcie! — odetchnął i ciągnął: — Byłem u Redödiego w interesie, który wypłynął z naszéj lekkomyślnéj sprzeczki o tego nieszczęśliwego... Abugörö. Ja nie wiedziałem, że się on kocha w pannie Titäi... Zresztą... O tém mówić nie mogę, ani wam, ani przed sądem, ani wobec luf karabinów. Zresztą... — zamyślił się i zawołał: — Choćbym opowiedział treść naszéj rozmowy, toby ona nic nie wpłynęła... Jeśli tak jest, jak mówicie, jeśli doktór udowodnić nie może, że Gyula sam się zastrzelił, to widzę... że ja muszę paść ofiarą...

Urwał, zaśmiał się i zawołał:

— Czákvar mordercą! ha! ha!...—zapalił się i ciągnął — Opuściłem go tak zgnębionego, tak zmienionego, iż zamiast iść daléj, przystanąłem na korytarzu hotelowym, myśląc, azali nie postąpiłem nikczemnie, walcząc ze sobą samym i mając szaloną ochotę powrócenia do niego i przeproszenia go... Ja Gyulę kochałem, jak brata... — Tu urwał i jak obłąkany zapytał: — Wy mówicie, że on nie żyje?

— Mów daléj! — huknął książę.

— Wtém—podchwycił Bela — rozległ się wystrzał w jego komnacie. A ja tak straciłem głowę, iż wybiegłem z hotelu jak szalony... i popędziłem do domu, gdzie od lat wielu, pierwszy raz zanosiłem gorące modły do Najwyższego, aby ten wystrzał nie odebrał życia Gyuli... Zaaresztowano mnie.

Nastąpiło grobowe milczenie. Rotmistrz śledził raczéj rozgorączkowaną niż zaniepokojoną twarz Beli. Nagle się zerwał i zawołał:

— Jeśli tyle tylko powiész sędziom, to będziesz rozsztrzelany!

— A cóż im więcéj powiedziéć mogę?

— Nic! — jęknął książę.

Nastąpiła znów cisza. Galavicini chodził po izbie i rzucał dzikie wejrzenia na Belę. Trwało to z kwadrans. Nagle przystanął i zwracając się do mnie, zawołał:

— On jest niewinny!

Bela się zerwał.

— A tyś myślał, żem go zabił?

— Byłem tego pewny,

— Ha! ha! ha!

Książę się mienił.

— Nieszczęśliwcze! I ty nic więcéj powiedziéć nie możesz?

— Nic! cóżbym mógł?

— Boże!—zawołał.—Toż sąd musi cię uznać za mordercę. Toż ja-bym to samo zrobił. Pocóżeś, ty uciekał szaleńcze?

— Po cóż się wy mnie pytacie? Przecież uniewinni mnie kula tkwiąca w piersi, czy mózgu Redödiego.

— Ależ pistoletu od téj kuli nie ma!

Bela załamał ręce z uśmiechem politowania.

— Galavicini! — zawołał — cóż ty się têm martwisz? Przecież nawet sąd wojenny nie może mnie uznać mordercą Gyuli dlatego, że ktoś porwał pistolet, którym się on zastrzelił?

— Porwał?—podchwycił gorączkowo książę.

— Przecież ten pistolet ulotnić się niemógł?

— A więc, cóż się z nim stało?

— Ah! — zawołał niecierpliwie—ktoś musiał wpaść do tego pokoju i unieść pistolet. Alboż ja wiem co się z nim stało? Alboż ja wiedziéć mogę? Wiem tylko tyle, że pistolet być musiał w chwili, gdym słyszał wystrzał.

— Zdumiewające!—mruknął rotmistrz i upadł na tapczan. Ale zaraz, po chwili zadumy, zerwał się zeń i zawołał do mnie:

— Chodźmy! szukać tego pistoletu.

Wybiegliśmy z celi więziennéj, śpiesząc do miasta.

W bramie od fortu, spotkaliśmy Andrassyego i Kardassyego. Ten ostatni uchwycił mnie za rękę.

— Wiész? — szepnął — Bela zabił Gyulę.

— Jakto?... Wracamy od niego, wręcz przeciwnie przekonani— odparłem.

— On! — ciągnął Kordassy. — W téj chwili odbyliśmy rewizyę w jego mieszkaniu...

— I?

— Znaleźliśmy pistolet, tego samego co kula kalibru.

— Naturalnie, skoro to był nasz pistolet przepisowy...

— Ale jeszcze poprostu dymiący z lufy — dokończył rotmistrz i pobiegł dalej.

Staliśmy oniemieli z Galavicinim.

— A więc zdawałoby się — mówiłem — że Bela powróciwszy od Gyuli, schował swój pistolet, którym...

Książę mi przerwał.

— Nie! On go nie zabił...

Chciałem wierzyć temu poecie, ale nie mogłem.

Tłómaczenie się Czákvara nie mówiło nic, nie dowodziło niczego. Kula bez pistoletu nie mogła się znaleść w sercu Gyuli, a czemu Czákvar zamiast wbiedz do Redödiego po wystrzale uciekał?

— Tłómaczenie się Beli jest naiwne, ale i obmyślane— mówiłem do księcia. — Twierdzi on, iż stał w korytarzu, miotany uczuciami, a więc, że opuścił jego mieszkanie przed wystrzałem, któż temu da wiarę?

— Ja! — odparł książę — Gyula pisał coś przed śmiercią, palił coś... A więc, jeśliby go Czákvar zabił, to chyba?...

Urwał, bo nie wiedział, co wnioskować i zawołał:

— Nie! Bela go nie zabił!

— A poza Gyuli? — zawołałem — widziałeś go przecież? Toż poza człowieka ugodzonego w trakcie rozmowy?

— Nie! — powtórzył Galavicini. — Przeczytaj opisy sędziów śledczych, a dowiész się z nich o dziwniejszych jeszcze poszlakach na niewinnych.

— Ależ zawiść ich?... Titäa?

Rotmistrz się obruszył.

— Jesteśmy przed zagadką, ale Bela nie jest mordercą.

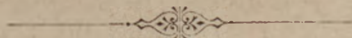
— Wierzę tobie, nie dowodom!—zawołałem. — Ale mimo to będzie... musi być rozstrzelany.

Galavicini przystanął i zapienił się.

— Ha! — zawołał. — Mam tak silną wiarę, że Bela jest niewinnym, iż mimo wyjątkowych okoliczności, mimo stanu oblężenia, ja sam znajdę sposób uratowania go.

Rotmistrz w swéj gorączce mówił od rzeczy.

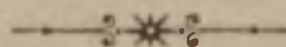
*(D. n.)* *W. hr. Łoś.*





# WIKTOR HUGO

## w obec dzisiejszéj krytyki.



Onorate l'altissimo poeta!

Siedm lat ubiegło właśnie od śmierci Wiktora Hugo i od owego pogrzebu, kiedy tłum milionowy odprowadził zwłoki poety z pod Łuku Tryumfalnego do Panteonu. Po bezprzykładnéj apoteozie nastąpiła, zwykłą rzeczy koleją, reakcya, a tém była zaciętsza im więcéj przez hołd, powszechnie składany poecie-patryarsze, cierpiały uprzednio ambicye piśmienniczych liliputów. Ta długo tłumiona zazdrość, — odwet politycznych i osobistych wrogów dotąd trzymany na uwięzi, — swawolna chętka dzieciaków, rzucających błotem na marmurowy posąg, — pyszałkowata zarozumiałość nowych szkółek poetyckich mniemających, że cień przez wielkiego poetę rzucany ich światła dziennego pozbawia, — a nakoniec chorobliwa pogoń za oryginalnością, paradoksalne wyszydzanie ogólnie uznanéj narodowéj wielkości: oto przedniejsze czynniki, które w téj uporczywéj kampanii kilku lat ostatnich rej wodziły. Ale stopniowo gwar ten niesforny opada, a miejsce jego spokojna, obiektywna zajmuje krytyka. Emmerson powiedział obrazowo, że jak lodowce na złomach gór olbrzymich tak i sława wielkich ludzi często na dół się spuszcza, ześlizguje, i że czas, najsurowszy z sędziów, jednego zaledwie z wielu rzekomych wielkich ludzi wybiéra i namaszcza. Można bez obawy zabłąkania się w awanturnicze przepowiednie oświadczyć, że podobne niebezpieczeństwo Wiktorowi Hugo nie grozi. Rola, jaką odegrał w literaturze narodowéj i w powszechnéj wyjaśnioną już została wszechstronnie

i mielibyśmy chęć powiedzieć: ostatecznie, — gdyby coś ostatecznego mogło być pod słońcem.

Nie zdaje się nam bez interesu streścić tutaj rezultaty rozmaitych studyów krytycznych, które najpierwsze pióra współczesne poświęciły poecie Legendy Wieków, i wskazać stanowisko, jakie mu przyznano. Nie szukamy żadnego usprawiedliwienia dla téj pracy. Wystarczającą do niéj pobudką jest wartość poety samego w sobie. Dzieło przez każdego wielkiego wieszcza wytworzone jest niewyczerpaną krynicą, w któréj pokolenia jedne po drugich orzeźwiać się mogą. Często wprawdzie hołd, wszechświatowym poetom składany, jest platoniczną tylko formułką: zdejmują przed nim kapelusz z uszanowaniem z daleka, ale go omijają przezornie. Nie można się dziwić, gdy los taki spotyka greckich poetów, cytowanych przez erudytów ale wyjątkowo tylko czytywanych przez publiczność wykształconą; przyznajemy nawet, że poeci jak Dante, ze względu na zamkniętą już epokę cywilizacyjną, któréj wyrazem zostali, nie mogą znaleść łatwéj drogi do pierwszéj lepszéj inteligencyi. Ale są poeci jak Shakespeare, jak Goethe, jak nasza nieśmiertelna trójca, których czytać i odczytywać, w których zagłębiać się i rozkoszować powinno się stać naturalném, że tak powiemy nałogowém przyzwyczajeniem każdego, umiejącego czytać. Mniéj kadzideł na cześć poetów palonych a więcéj poufnego do nich zbliżenia się, częstsze po ich promiennych szlakach krążenie leży w interesie podniesienia poziomu cywilizacyjnego.

Nie można powiedzieć, ażeby naród francuski okazywał obojętność dla twórczości Wiktora Hugo. Ci z jego napastników, którzy chcieli wmówić w ogół, że słońce tego poety zgasło już na dobre, spotykają przeciwko sobie cały szereg niezaprzeczonych faktów obalających ich tezę.

Pierwszym jest ilość wydań jego dzieł. W chwili obecnéj wychodzą z godną uznania regularnością i wypełniając plan sobie zakreślony coś trzy naraz edycye całkowite Wiktora Hugo. Jedna nosi nazwę ostatecznéj i doszła już 47-go tomu, druga — narodowéj, a trzecia — illustrowanéj. Jednocześnie wybór jego dzieł wychodzi w ozdobnéj edycyi u Lemerre'a i wydawana jest także tania, pod nazwą edycyi dla szkół. Daléj dwóch wydawców, pp. Hughes i Rouff, ogłaszają, każdy swoją popularną edycyę romansu *Les Misérables*. Jest oprócz tego kilku innych wydawców jak Hachette, którzy nowe edycye albo już rozpoczęli, albo przygotowują i zapowiadają. Nakoniec nie trzeba zapominać, że pp. August Vacquerie i Paweł Meurice, literaccy wykonawcy ostatniéj woli poety, nie przestawają wypuszczać w świat nowych, dotąd nie drukowanych jeszcze jego rękopisów.

Taki nawał wydań świadczy niezaprzeczenie o potrzebach publiczności w ten sposób zaspakajanych. Podejrzliwi przypuścićby jednak mogli, że te edycye sypiące krociami tomów, są ryzykowną spekulacyą albo jarmarczną reklamą, spodziewającą się obecne straty późniejszemi nagrodzić sobie zyskami. I tutaj jednak podejrzenia rozbijają się o niezłomny argument cyfr. W ciągu pięciu pierwszych lat po śmierci poety, od 1885 do 1890 r., wydawcy oświadczyli panu Vacquerie, że sumy, które podnieśli ze sprzedaży, nie sumy urzędowe, fikcyjne, ale te, które materyalnie do ich kas wpłynęły, wynosiły 7,317,584 franków. Rozkładają się one w następujący sposób:

| | | | |
|---|---|---|---|
| Wydanie | Lemerre'a | 157,000 | |
| „ | ostateczne | 1,038,000 | |
| „ | szkolne | 50,000 | |
| „ | narodowe | 1,500,000 | |
| „ | illustrowane | 1,490,584 | |
| *Misérables* | Hugue'a | 1,080,000 | |
| idem | J. Rouffa | 2,102,000 | |
| | razem | | 7,417,584 franków. |

Przeciętna sprzedaż roczna dzieł Wiktora Hugo wynosi tedy na ten pięcioletni okres po półtora miliona franków blisko.

Ale jest jeszcze inny fakt, świadczący wymownie o popularności poety i mający donioślejsze znaczenie jako wskazówka, że ci nawet, którzy nie mają środków kupowania jego dzieł, publiczność zaopatrująca się w książki do czytania w bezpłatnych bibliotekach municypalnych, przedewszystkiém czyta Wiktora Hugo. Z 1,115,800 dzieł wypożyczonych w ostatnim 1891 roku połowa była powieści. Po powieściach pierwsze miejsce, ku zdziwieniu tych, którzy ten dział piśmienniczy uważają za nieodpowiadający już nastrojowi umysłowemu społeczeństwa, zajmuje poezya. 187,404 tomów poezyi wypożyczonych Wiktor Hugo monopolizuje w taki sposób, że innych poetów nie ma wobec niego ani jednego.

Z wszystkich tych faktów konieczny snuje się wniosek, że sława poety stoi u społeczeństwa francuskiego na niepożytym gruncie i że mimo zajadłych nań napaści nie została wstrząśniętą. Podnosząc te ostatnie, nie mamy bynajmniéj na myśli owych burzliwych polemik, które w *Sturm und Drangperiode* ognistego romantyzmu, za czasów pierwszych przedstawień *Hernaniego* albo po przedmowie do *Cromwell'a*, rzucały na Wiktora Hugo, jako na najgenialniejszego przedstawiciela nowego kierunku piśmienniczego, gęste swe groty. Leżało to w naturze rzeczy i dało mu właśnie pomazanie na reformatora poezyi. Nie mówimy nawet o systematycznie ujemnych, zjadliwą żółcią za-

prawnych krytykach, ścigających go szczebel po szczeblu po całéj drabinie jego twórczości a wychodzących z pod piór przywódzców stronnictwa katolicko-monarchicznego. Wiadomém jest, że mieli oni prawo się żalić: żywić tak wielkie nadzieje, obiecywać sobie tak walne zwycięstwa przy pomocy takiego sojusznika i stracić je wszystkie, i widziéć go wodzem wrogiego obozu, to cios do zniesienia niepodobny! Wiadomo także, że zapaśnicy obozu katolickiego nie odznaczają się ewangeliczném miłosierdziem w swéj polemice i że nietylko starotestamentowém ząb za ząb oddawać zwykli, lecz że umieją ukąszenia swe specyalnym zaprawiać jadem. Więc ciosy, jakich nie przestawali nań wymierzać albo zawsze pontyfikujący Armand de Pontmartin, albo ekscentryczny fantastyk J. Barbey d'Aurevilly a przedewszystkiem ów potężny, ów mistrzowski, ów cyniczny Ludwik Veuillot są uprawnione i psychicznie i literacko. Co do studyów tego ostatniego nad Wiktorem Hugo, to są one w swoim rodzaju arcydziełem i piśmiennictwo francuskie byłoby pozbawione jednego ze swych klejnotów, gdyby ich autor, więcéj o czystą sprawiedliwość aniżeli o zaspokojenie swych uraz dbały, był je połknął przed wypluciem. Ze swego stanowiska zresztą Ludwik Veuillot miał zupełną słuszność. Widząc w poecie jedynie *un airain creux et une cymbale retentissante*, przezywając go *un moulin à rymes*, nie mógł znieść jego pretensyi wieszczych, proroczych, kapłańskich.

Ale oprócz tych pamfletów skierowanych przeciwko Wiktorowi Hugo przez Veuillot'a, pamfletów, które, zdaniem naszém, nie ustępują bynajmniéj ani potęgą logicznych wywodów, ani energią wymierzonych ciosów, ani brylantową kunsztownością formy, nieśmiertelnym pamfletom Jana-Pawła Courrier, spotkać było można, szczególniéj w ostatnich kilku latach, mnóstwo artykułów krytycznych po czasopismach rozrzuconych w których gryziono i szarpano poetę z prawdziwą zawziętością. Większa część tych studyów skazana jest na szybką pleśń zapomnienia, a zwrócić na nie wypadało jedynie uwagę jako na symptomat umysłowego ruchu francuskiego. Ostatniém słowem i najdokładniejszym wyrazem tego kierunku krytycznego są książki, p. Edmunda Biré. Napisał on ich aż trzy o Wiktorze Hugo. Pierwsza — „Wiktor Hugo i Restauracya," datuje jeszcze z 1869 r., dwie następne: „Wiktor Hugo przed i po 1830 r." wyszły dopiéro w dwóch ostatnich latach. Ponieważ autor doprowadza tylko swe opowiadanie do rewolucyi 1848 r. można było przewidywać, że postępując w ten sam sposób, napisze jeszcze z jakie cztery lub pięć dalszych tomów. Ale uważając, że już celu swego dopiął, zapowiada, że na przyszłość innym, wdzięczniejszym zamierza oddać się pracom. P. Biré chociaż

należy do obozu ultra-zachowawczego, nie może rościć pretensyi do solidaryzowania się w jakikolwiek sposób z Veuillotem. Tamten gdy uderzał to jowiszowym gromem, a gdy łajał i wymyślał, to czuć było w nim artystę umiejącego ocenić geniusz przeciwnika; mówiono słusznie, że w jego stałości dźwięczała miłość. Pan Biré za to jest nie lwem ryczącym, ale dotkliwie, uporczywie i jadowicie kąsającym owadem. Przedsiębiorąc literacką biografię w rodzaju Sainte-Beuve'a, przyczepił się z widocznem zamiłowaniem do wszystkich ujemnych stron swego modelu i nie zostawił na nim żadnéj białéj, jasnéj strony. Zacząwszy od wydrwienia jego pretensyi do arystokratycznego pochodzenia, idąc w ślad za wszystkiemi najdrobniejszemi nawet wykroczeniami młodości, autor nie zostawił w spokoju ani jednéj plotki, ani jednéj potwarzy. Łatwo wyobrazić sobie, że się znęca nad zmianami opinii politycznych poety, który zacząwszy od rojalizmu, i od apoteozy Napoleona I-go, stopniowo chylił się do republikańskich i demokratycznych zasad. Ani na chwilę nie przypuszcza, że poeta w ciągu życia, co objęło prawie całkowity rozwój narodu, mógł i musiał odczuwać na sobie prądy i uczucia porywające go w danéj chwili i że na dźwięcznéj lirze jego wibracye te falistą rozlały się strugą. Woli przypuszczać ciągłe apostazye i arlekinowe wywracanie koziołków dla dogodzenia swéj pysze i swemu interesowi osobistemu. Gdyby się jedynie w studyach p. Biré czerpało wiadomości o Wiktorze Hugo jako człowieku, nabrałoby się doń nie tylko wstrętu ale obrzydzenia i mógłby bez najmniejszéj wątpliwości stanąć jako typ moralnego potworu. Byłby to istotnie fakt ciekawy psychicznie i istotny unikat: owo płomienne natchnienie i najszczytniejsze porywy imaginacyi tryskające z duszy błotnistéj i nikczemnéj. Nie ma zarzutu, któregoby poecie nie zrobił. Dość będzie wspomniéć, że czyni go odpowiedzialnym za zamach stanu dokonany przez Ludwika Bonapartego w dniu 2 grudnia, z powodu, że on, przez swe ody na cześć Napoleona I rozbudził w społeczeństwie francuskiém zastygłe dla Bonapartyzmu sympatye. Tego rodzaju zarzutu nie ma potrzeby odpierać; wywołuje on uczucie politowania dla pisarza, który się nim skaził, i raz na zawsze zabrania brać jego sądy na seryo. Że Wiktor Hugo przeszedł kolejno od idei monarchiczno-zachowawczych do wysoce postępowych, szeroko humanitarnych, jest pewnikiem, którego wykazywać nie potrzeba; jest także niezaprzeczonym faktem, że nie zadawalniając się misyą poety zachciało mu się odgrywać rolę polityczną, i przypisywać sobie wpływ i znaczenie, którego istotnie nie posiadał. Ale jest tendencyjnym fałszem utrzymywać, jak to czyni p. Biré, że był on zawsze służalcem opinii i że jak chorągiewka na dachu obracał się w stronę,

z któréj wiatr wieje. P. Ernest Dupuy, którego poważne studyum, *Victor Hugo, l'homme et le poëte* (1887) wraz z tém, które Emil Faguet pomieścił w swych *Etudes littéraires sur le XIX-e siècle*, mogą być uważane za najlepsze krytyczne prace w tym przedmiocie i za ostateczny jak dotąd wyraz bystréj, ścisłéj i bezstronnéj analizy, przypomniał że przeciwnie Wiktor Hugo umiał stawiać hardo czoło opinii parlamentarnéj i ulicznéj, bez obawy o następstwa. W 1825 r. kiedy popularność nakazywała przyłączyć się do opozycyi, on był śpiewakiem tronu i ołtarza; gdy Francya zgięła nie czoło tylko ale i kolana przed tryumfującym Napoleonem III, gdy uwierzyła w liberalne cesarstwo ostatnich jego lat, on protestował przeciwko niemu z niewyczerpaną energią; gdy nakoniec po zdławieniu komuny nastąpiła reakcya, któréj gwałty wytłómaczyć się dają i gorączką oblężenia i ogromem uniknionego niebezpieczeństwa, on jeden odważył się nawoływać do spokoju i umiarkowania. Wiadomo, że motłoch belgijski wybił mu okna w 1871 roku i że we Francyi traktowano go jako szaleńca. Nie można, doprawdy, wspomniawszy te wypadki, albo kilka mów wypowiedzianych w zgromadzeniu prawodawczém 1849 r. gdzie został wyszydzony i zelżony, utrzymywać, że umiał jedynie schlebiać najkorzystniejszéj opinii chwilowéj i dla siebie ją wyzyskiwać. Popełniał błędy i miewał słuszność — samotnie.

Lecz mniejsza o to. Gdybyśmy nawet mieli przywiązywać większą wagę do ujemnego malowidła o charakterze i o osobistości Wiktora Hugo aniżeli do dodatniéj, wyrażonéj bądź w „Pamiętnikach“ napisanych przez jego żonę, bądź w innych niezliczonych rysach i szczegółach rozproszonych na każdéj niemal stronnicy dziejów publicznych i literackich Francyi naszego stulecia, bądź nakoniec w częściowych biografiach Alfreda Asseline, Alfreda Barbou, Gustawa Rivet, Ryszarda Lesclide i stu innych, to nie mogłoby to zmienić zdania o jego stanowisku piśmienniczém. Nie o człowieka idzie lecz o poetę. Człowiek będzie mógł być zapomniany, ba, potępiony nawet przez następne pokolenia, ale nie poeta. A gdy wrzące jeszcze teraz namiętne swary ostygną, i obiektywnéj biografii wybije godzina, jesteśmy przeświadczeni, że tak surowo potomność nawet z człowiekiem sobie nie postąpi. Jeżeli uśmiechnie się z jego próżności i pychy, jeśli mu przebaczy namiętności i wybryki młodości i dojrzałego wieku, a na bok odsunie jego maluczkie zasługi jako para Francyi, deputowanego, senatora, męża stanu, to zatrzyma się zawsze z rozkoszném zadowoleniem przed wiośnianemi laty a czcią konieczną przed zimą jego pogodnéj starości. To dziecko szczytne podług wyrażenia Chateaubriand'a, uwieńczone przez Akademię w 15-ym roku życia, autor ód i satyr, wydawca i je-

dyny prawie redaktor przeglądu literackiego w 17-ym, sławny w 19-ym, ożeniony w 20-ym, rozpromieniony, świetny, butny, pełen wiary i blasku, jakby w słońcu kąpany, musi nawet najsceptyczniejszego porwać i udobruchać. Młodość jego staje się zaraźliwą; szkoda że nie geniusz! A tak samo starość, te lata uspokojenia i melancholicznego odpoczynku po życiowym znoju, gdy śnieg opruszył paszczę wypalonego krateru, gdy naokół niego żałobne usypały się mogiły a on, dziadek we wnukach rozkochany, patryarcha błogosławiący, pełen tolerancyi, wyrozumiałości, niestrudzony prorok światła, postępu, braterstwa, humanitaryzmu, ducha, przechodził za życia do nieśmiertelności, podług słów Banville'a,—to także obraz wzniosły, mający w sobie biblijną szczytność i prostotę. Azaliż dwóch tych epok życiowych na los jednego człowieka nie dosyć?

Miał wszelako jedną wadę olbrzymią; więcéj niż wadę — grzech pierworodny. Był nim — jego geniusz. Tego jedni wytłómaczyć, drudzy przebaczyć mu nie mogli. Pobłażliwi utrzymywali, że mu nieraz klepki w głowie brakowało. Znane są dawne i najnowsze teorye, które geniusz uważają za odrębną formę obłąkania, za chorobę umysłu, złamanie równowagi jego władz. Że u Wiktora Hugo równowagi władz nie było, oczywista. Mimo tego nie należałoby wyciągać z tego wniosku o jego zboczeniu umysłowém. Ciekawym jest jednak szczegółem, że w rodzinie jego było parę tego rodzaju wypadków. Brat jego rodzony Eugeniusz dostał pomieszania zmysłów w sam dzień slubu poety, a córka jego, do dziś dnia żyje obłąkana od lat wielu. Jeżeli jednak choroby umysłowe mają jako pierwszy i najgłówniejszy symptomat zboczenia, wykolejenie i zniweczenie wolnéj woli, to można się uspokoić co do Wiktora Hugo: nie tylko bowiem wola jego nie została nigdy zaćmioną, osłabioną, ale przeciwnie, stanowiła od lat młodzieńczych aż do ostatnich dni najwybitniejszą stronę jego natury psychicznéj. Szedł po wytkniętéj sobie drodze i szedł bez najmniejszego zboczenia. Zaledwie wyszedł z lat dziecinnych gdy napisał w kajecie ucznia, że chce być albo Chateubriand'em, t. j. najwyższą piśmienniczą potęgą swego czasu i narodu, albo niczém. Trzeba przyznać, że celu tego dopiął. Nie można tedy poety tego traktować z tą pogardliwą trochę pobłażliwością, jaka spotyka nieraz sentymentalnego, płaczliwego Lamartina, albo Musset'a, rozkapryszonego dzieciaka. On jest zawsze i wszędzie za to co pisze odpowiedzialnym, gdyż w pełnéj świadomości tworzy i choć go wicher rozbujałéj, rozszalałéj wyobraźni w odmęty metafor i obrazów porywa, nie traci z oczu linii wytycznéj. Są tacy, co stawiając swe ideały poezyi w innéj całkiem dziedzinie, nie mogą w Wiktorze Hugo smakować i dla których

jest on niezrozumiały i antypatyczny. Pogląd taki, a raczéj uczucie takie jest do usprawiedliwienia. Jest za to dowodem niedołęstwa umysłowego zaprzeczać, że się ma w nim okaz wybitnego, aż do ostatnich kresów w danym kierunku posuniętego typu poetyckiego.

Są poeci odzywający się przeważnie do uczuciowości i są działający przeważnie na wyobraźnię. Ci ostatni są w całém słowa tego pojęciu poetami, gdyż uczuciowość wzbudzać można i innemi sposobami, ale bez wyobraźni wybujałéj, podniosłéj, jako źródła, poezyi w ogóle nie ma. U Wiktora Hugo władza wyobraźni pochłonęła nieledwie wszystkie inne czynniki składowe twórczości poetyckiéj a rozporządzając językową i stylistyczną formą nadzwyczajnéj giętkości i obfitości nadała mu majestatyczną oryginalność. Nawet przy najżywszéj dla niego sympatyi nie podobna utrzymywać, ażeby posiadał psychiczną głębię Shakespeara albo filozoficzny widnokrąg Goethego, ale rozpatrywany pod kątem potęgi wyobraźni, stoi on na tym samym co najmniéj poziomie co wieszcz angielski a na daleko wyższym szczeblu aniżeli niemiecki.

Wyobraźnia poety objawia się w obrazach, które stwarza. Żaden poeta, powiada z pokorą Fr. Coppée, nie wymyślił tylu co on obrazów dokładniejszych, wyrazistszych, wspanialszych. Im więcéj się im przyglądamy, tém bardziéj zdejmuje nas podziw. Czując nieprzezwyciężony wstręt do zimnéj abstrakcyi, instynktowo, rzec można, biegł do obrazu, do symbolu, do metafory. Każdy symbol jest, podług sprawiedliwego określenia Emila Hennequin skróceniem i jednocześnie transpozycyą. Zamiast wyrażać w bezbarwnych zdaniach myśli swoje, poeta wypowiada je w obrazach łatwo przedstawiających się każdemu, zrozumiałych odrazu, przenoszących nas w światy inne bez porzucenia wątku, który snuje. Najbardziéj oderwane zagadnienia pod dotknięciem téj czarodziejskiéj rószczki nabiéra dotykalności realistycznéj, stają się plastycznemi wypukłorzeźbami. Najniespodziewańsze metafory i nieoczekiwane alegorye sypią się w jego wierszu z taką łatwością i z tak niewyczerpaną obfitością, że nie wydaje się to wcale mozolnie dobiéraną mozajką ale naturalnym jego twórczości objawem. Widzenia, jakie rojem umysł jego oblegają, posiadają taką doraźność, że można powiedziéć, iż myślał on obrazami i że z obrazów myśl, nie zaś odwrotnie, wysnuwał. Grą wyobraźni nie tylko potrafił on nadać przedmiotom nieżyjącym, głazom, gmachom i t. d. uczucia właściwe jedynie istotom żyjącym ale podnieść tę uczuciowość do fantastycznych nieraz rozmiarów. Kto nie ma w pamięci jego katedr gotyckich, jego pól bitwy, że już o jego burzach i uraganach nie wspomnim! Jeżeli przenikanie duchem martwych form okólnego świa-

ta, jeżeli obdarzanie świadomością bezwiednych żywiołów przyrody jest panteizmem, to taką by musiała być doktryna filozoficzna Wiktora Hugo. Ale jak wiadomo, w innéj duchowéj obraca się on sferze i w tém pigmalionowém zionięciu skry życiowéj w naturę nieżyjącą widzieć należy tylko rzutkość i niestrudzoną rodzajność jego wyobraźni.

Nawał obrazów i przenośni, jakiemi Wiktor Hugo przemawia, oślepia i ogłusza wprawdzie nieobeznanego z jego poezyą czytelnika, ale byłoby brakiem sprawiedliwego w jéj istotę wejrzenia, gdybyśmy widzieli w niéj po prostu chaotyczną gmatwaninę. Przeciwnie, jest w jego utworach taki ład, tak doskonale uregulowany porządek, taka wewnętrzna harmonia, że oddawna już krytyka zmuszona była przyznać istnienie metody klasycznéj u tego romantycznego poety. Nie daje się on porwać kapryśnym wybrykom i sprowadzić na manowce, lecz idzie pewnym krokiem po ubitym gościńcu. Rapsody odrębne w poematach, tak samo jak strofy w rapsodach, idą jedne po drugich jak żołnierze w szyku bojowym. Zamiłowanie w symetryi jest u niego nawskroś francuskie i nie przerwał pod tym względem tradycyi narodowéj ale na nowo ją uświęcił.

Ulubioną przezeń formą myśli jest przeciwstawa. Nie przedmiot sam w sobie, ale w biegunowém przeciwieństwie z innym, będącym jego zaprzeczeniem, jego ujemnym żywiołem, cieniem jego światła, staje zawsze przed okiem jego ducha. A że oko to duchowe, jak trafnie wyrzekł Doudan, jest okiem Cyklopa, że spostrzega wszystko w powiększonych rozmiarach, więc mamy przeciwstawy olbrzymie, rażące swą dosadnością, nieustraszone potwornością. Uwikłany w sieć przeciwstaw, Wiktor Hugo nie wybrnął z nich nigdy i przylgnęła ona do niego jak nessusowa szata. Cierpiała na tém nawyknieniu prostota i nadużywanie zawsze téj saméj formy zdawało się nieraz męczącém, ale poeta zawdzięcza jéj z drugiéj strony, najświetniejsze karty swych poematów, te, które raz na zawsze wyryły się w pamięci potomności. Jak wiadomo, nie ograniczał się on do przeciwstaw języka i myśli, ale wprowadzał je i do charakterów swych postaci w dramatach romantycznych i w sytuacyach powieściowych. Pierwiastki wzajemnie się wykluczające stają jedne przeciwko drugim szorstko, gwałtownie i ich starcie wywołuje katastrofy. Zbytecznem by było przypominać, że w Lukrecyi i Borgii spotykamy wyuzdaną nierządnicę a zarazem matkę, że Marion Delorme z kałuży rozpusty wznosi się do dziewictwa idealnego, że Quasimodo, potwór, staje się kochankiem, że w Ruy Blasie królowa kocha się w lokaju, że w *Roi samuse*, Triboulet własną córkę, ubóstwianą, nieświadomie na królewską rzu-

ca igraszkę. Możnaby przedłużyć tę listę przeciwstaw drastycznych i istotnie w téj lub owéj formie znajdują się one w każdym wielkim tak samo jak w każdym mikroskopijnym utworze Wiktora Hugo i stanowią jego jądro.

Jeżeli już w stylistycznéj, w retorycznéj formie nadużycie przeciwstawy wywołuje monotonię i jest wadą, to większe są jeszcze jéj niedostatki w zastosowaniu do psychicznéj analizy charakterów. Ludzkość nie składa się z białych aniołów i czarnych szatanów, z idealnie wzniosłych i potwornych istot, jakby nam Hugo wierzyć nakazywał. Wyjątkowo tylko zdarzają się postaci z jednéj wykute bryły, bez przymieszki obcych, inostronnych pierwiastków, a przeciwnie każdy z nas jest wysoce skomplikowaną mieszaniną tych i owych czynników. Wejść w naturę tego połączenia światła z cieniem, wykazać wzajemne ich na siebie oddziaływanie, stopniowe znikanie jednych pierwiastków a występowanie na jaśnię drugich, poszukiwanie delikatnych różnic i odcieni stanowi niewyczerpaną osnowę i zawsze nowy powab twórczości psychicznéj. Wiktor Hugo o nic podobnego się nie ubiegał; i wystarczały mu te jednakowe, wydatne przeciwieństwa. Jak kula wystrzelona z armaty, tak akcya duchowa prosto u niego biegła do celu, bez zboczeń, bez chwili wytchnienia. Najzawikłańsze zagadnienia etyczne są uproszczone i sprowadzone do szkieletowéj nagości. Wobec przeważającéj w nowoczesném piśmiennictwie analitycznéj metody, metody, która w ostatnich latach we Francyi chorobliwie się nawet zaostrzyła, ten sposób pojmowania charakterów wywoływał słuszne a często nawet nieubłagane krytyki i protestacye, szczególniéj z obozu tych nowatorów, którzy swoje własne zasługi pod tym względem uważali za nadzwyczajne. Traktując go jak symplicyusza spuszczali z uwagi dwa punkty, które mają tutaj rozstrzygające znaczenie. Najprzód, Wiktor Hugo był, jak się to wyżéj rzekło, z gruntu i na wskroś klasycznym w swéj formie. Gdy burzył gwałtownie i niósł zapalną pochodnię w kolumny grecko-rzymskie, nie wiedział, nie zdawał sobie sam sprawy, jak dalece był tego świata wypływem i jak stał blisko niego. Nie ma wątpienia, że Racine, a jeszcze bardziéj Corneille, we wszystkich swych tradycyach stwarzali bohaterów prostych, że każdy z nich obracał się około swojéj osi, niezależnéj, jeżeli się tak wyrazić wolno, od wszelkiego po za jéj sferą stojącego społeczno-ludzkiego systematu. Wiktor Hugo, jako nieodrodny syn tego samego plemienia duchowego, czynił to samo. Daléj, nie należy zapominać, że takie sprowadzanie psychicznych, powikłanych czynników do najprostszych, najelementarniejszych, odpowiada najzu-

pełniéj wewnętrznéj potrzebie i nieprzezwyciężonéj tendencyi społeczeństwa francuskiego, które zawsze i wszędzie wymaga jasności i logiki, i które ochotnie tym zaletom wszystkie inne poświęcać jest gotowe. Oddawać mogą hołd Francuzi wykształceni Hamletom lub Faustom, ale czuć muszą, że się nigdy takie utwory na ich glebie nie zrodzą. Jest to kwiat obcy im w przeszłości, w teraźniejszości i można przepowiedziéć, że nim będzie i w przyszłości. W poezyi nowoczesnéj dość przytoczyć Alfreda de Vigny i Sully-Prudhomme'a. Nie ma wątpienia, że śpiewak *Eloy* był najgłębszym, najwięcéj pobudzającym do myślenia z poetów francuskich. Kto go zna? kto go czyta? azali rola jego i wpływ, mistrzostwo formy nie są już skończone? To samo da się powiedziéć o filozoficznym piewcy Sully-Prudhommie. Jego *Justice*, tak samo jak *Bonheur*, tak samo jak wiele drobniejszych stanz i liryków, są złotodajną miną dla tych, którzy zagłębić pod jéj szafirowe sklepienia się poważą. Że jednak publiczność w szerokich swych kołach nigdy do tych jego utworów nie zajrzy, jest niezaprzeczalną prawdą. Jeżeli poeta ma działać na masy i słać w nie swe elektryczne prądy, to powinien naprzód obnażyć myśl swoją z mglistych osłon, powinien wycisnąć z nich potrójną energię: inaczéj celu swego nie osiągnie. Metoda, której się Wiktor Hugo trzymał, posiada swe widoczne korzyści.

Pokrewny z powyższym zarzut dotyczył filozoficznego ubóstwa myśli poety. Nie tylko że metafizyka jego miała być elementarna, wyzuta z wszelkich źródłowo wyprowadzonych zasad, nie dająca się przyczepić ani wcielić do żadnego systemu, do żadnéj szkoły, ale cała osnowa jego utworów została scharakteryzowaną jako uporczywe, bezustanne powtarzanie oklepanek spowszedniałych, zostających u każdego oryginalnego myśliciela w pogardzie. Ów poeta, który mniemał, że buja swą myślą w szlakach podniebnych, że z najwyższemi mierzy się zagadnieniami, że wieszczém swém natchnieniem wskazuje narodom cele ostateczne, ku którym one bezwiednie zdążają manowcami, sprowadzony został do skromniutkiego, do podrzędnego stanowiska bakałarza nie będącego w stanie wznieść się po nad kartki swego abecadlnika. Gdyby uwaga powyższa miała po swéj stronie prawdę i gdyby szła tak daleko jak tego pragną jéj orędownicy, to znajdowalibyśmy się w obec nierozwikłanéj zagadki historycznéj. Z jednéj strony mielibyśmy wielki i na wysokim stopniu umysłowego rozwoju znajdujący się naród ogłaszający Wiktora Hugo za geniusza, za najpierwszego ze swych wieszczów, składający mu hołdy nie efemeryczne ale trwałe, do których trzy pokolenia solidarnie się

zaprzęgły, mielibyśmy społeczeństwo czytające jego dzieła, rozkoszujące się niemi, wychowane na nich i wciągające w siebie jego soki, stające pod jego chorągwią i powtarzające jego hasło, mielibyśmy cały świat okolny, po za francuski przyłączający się do tego chóru, stwierdzający swym sądem sąd jego rodaków; — a z drugiéj strony dowiadujemy się, że ten wielki poeta, ten wieszcz o proroczém oku, ten przewodnik narodu nie miał żadnéj doktryny filozoficznéj, żadnych wyrozumowanych zasad, że z ust jego przez lat sześćdziesiąt twórczości poetyckiéj, sypały się wprawdzie brylantowych słów kaskady i wystrzeliwały fajerwerkowe metafory, ale że nie było w nich myśli, nie było osnowy ni doktryny! Jest to istotnie hugonowskie przeciwieństwo. Ponieważ nie podobna przypuścić ani na chwilę, żeby świat ucywilizowany dał się do tego stopnia oślepić zewnętrznym blaskiem, iżby nicości umysłowéj nie przestawał brać za umysłową potęgę, kłaniał się kornie przed bałwanem; ponieważ nic nie usprawiedliwiałoby tego dyplomu niedołęstwa podpisanego dla milionowych czcicieli poety, to trzeba dojść nieuniknienie do wniosku, że musi tu zachodzić nieporozumienie, pomyłka i że ci krytycy, którzy wyrzucają Wiktorowi Hugo brak oryginalności w doktrynach filozoficznych i ciągłe powtarzanie, rozwadnianie zdawkowych oklepanek, albo potępiają jego zasady dla tego, że ich sami nie podzielają, albo że żądają od imaginacyjnych utworów poety tego, czego one żadną miarą dostarczyć nie są w stanie.

Oba powody na taki wyrok się złożyły.

Nie potrzeba zapewne dowodzić, że świat intelektualny współczesny, we Francyi tak samo jak w innych krajach, ale we Francyi więcéj niż gdzieindziéj, uszeregował się w obozie sceptycyzmu. Jeżeli nie wszędzie rozwieszono sztandar materyalizmu, i wzięto szczupłą liczbę doświadczeniem stwierdzonych faktów za podstawę spekulacyi filozoficznéj, to wszelako i poszukiwania nauk ścisłych i cała atmosfera umysłowa tegoczesna nie są bynajmniéj przyjacielsko usposobione, nie powiemy już dla kosmogonii na teologicznych wzniesionéj podstawach, ale po prostu dla całego spirytualizmu. Największa liczba hegemonów intelektualnych nie odważa się stanąć śmiało i energicznie na tym gruncie, a nie chcąc skompromitować się uznaniem istnienia Boga osobistego, duchowego pierwiastku przejawiającego się we wszechstworzeniu i jego nieśmiertelności, woli zamknąć się w wygodném powątpiewaniu sceptyczném i orzec, że o tych zagadnieniach jako pozbawionych wszelkiego sprawdzianu rozwodzić się nie ma powodu. Każdy, kto przedstawia się jako spirytualista stanowczy i jawny, uważany jest przez jednych za politowania godnego niedołęgę, przez

drugich za umysł powierzchowny, zadawalniający się pozorami i nie będący w stanie dać swym doktrynom podstawy racyonalnéj.

Otóż Wiktor Hugo był spirytualistą w całém słowa tego znaczeniu. Wyzwoliwszy się jeszcze w pierwszych latach młodzieńczych z zależności od kościoła dogmatycznego, jego mitologii i obrzędów, nie przestał nigdy, aż do ostatniego tchnienia być deistą, uznającym istnienienie Boga osobistego, tworzącego, działającego, nie przestał uznawać w naturze materyalnéj duchowego pierwiastku a nieśmiertelność duszy była dla niego oczywistym pewnikiem. Zasady te wypowiedział nie raz ale tysiąc razy, i zapisane są one na każdéj stronnicy jego dzieł wielotomowych. Powracał do nich i obracał się w ich promieniu uporczywie a muza jego kąpiąc się w tych ożywczych falach spirytualizmu, nigdy najmniejszego nie okazywała strudzenia. Każdy z poezyą jego obeznany wié dobrze, jak orlém skrzydłem szybował w przestrzeni, jak nieustraszenie wpatrywał się w to oślepiające słońce i jak nieśmiertelnemi dźwięczał strofy, gdy o te zagadnienia odwieczne potrącał. Wszystkie jego liryczne, satyryczne i epiczne utwory są tak nawskroś tą spirytualistyczną doktryną przesiąknięte, że się z nią zlały, w niéj skrystalizowały i że nie podobna nam ich pojąć inaczéj.

Kto tylko w zastępie krytyków francuskich należał bądź do obozu materyalistów, bądź do szkoły pozytywistów, kto tylko przeniknięty był sceptycyzmem symbolizującym się w znaku zapytania: ten, jak zrozumieć łatwo, traktował doktryny Wiktora Hugo o istnieniu Boga i nieśmiertelności duszy jak igraszki niemowlęcia i odmawiał mu *ipso facto* dostojeństwa myśliciela. Znając ten punkt wyjścia, można się dziwić, że zarzuty te czyniły wrażenie. Gdy najznakomitsze powagi w sferze filozofii spirytualistycznéj, jak Karol Renouvier wydawca pisma *la Critique philosophique* po wiele razy wykazał przy rozbiorach utworów poety, jak silnie, jak logicznie i jak dokładnie doktryny te są przezeń wypowiedziane, inni utrzymywali gołosłownie, że jest ślepym, skoro przez okulary patrzéć nie umié. Nie postawiono wprawdzie przeciwko duchowemu pojęciu wszechświata, takiemu jakie Wiktor Hugo wyznawał, innego ideału. Ani poezye pani Ackermann, ani *Fleurs du Mal* Karola Beaudelaire'a, ani nakoniec *Blasphèmes* Jana Richepin, pomimo złożonego w nich talentu i rozgłosu, jakim się w danéj chwili cieszyły, nie są zaprawdę w stanie przeciwważyć znaczenia poezyi Wiktora Hugo. Skoro podług słusznego postulatu p. Brunetière, zadaniem krytyki nie jest formułować, to można powiedzieć, że krytyka odsądzająca poetę „Legendy Wieków“ od dostojeństwa myśli-

ciela, nie spełniła bynajmniéj swego zadania, gdyż nie uzasadniła swego ujemnego sądu a pokazywała po prostu, że sama na inném podmiotowém znajduje się stanowisku.

Lecz nie sam wstręt do doktryny spirytualistycznéj, jak powiedzieliśmy wyżéj, leżał na dnie sądu takiego. Wielu bystrych, i nader sympatycznie z innych względów dla poety usposobionych spostrzegaczy zauważyło, że nie było bezpośredniego stosunku pomiędzy czcią jaką społeczeństwo mu składało, i pomiędzy rolą, do jakiéj on sam rościł sobie pretensye, a nowemi, głębokiemi, dalekonośnemi ideami, które same jedne potężnych myślicieli stanowić mają. Poddając pod skalpel ścisłéj analizy wszystkie prawdy które wygłosił, wszystkie wywody którémi je popierał i wszystkie maksymy w których pojęcia jego się skrystalizowały, nie znaleźli w nich nic absolutnie nowego. Ów „*spiritual sovereign of the XIX century*,“ jak go wielki poeta angielski K. A. Swinburne nazywa, okazał się w oczach owych krytyków nie zwierzchnikiem, nie inicyatorem, ale po prostu rozgłośném echem, cudze powtarzającém motywa. Skoro Wiktor Hugo uważał poetę za apostoła, za Orfeusza, za pochodnię idei, za sługę prawdy, to krytyka oczekiwała od niego jakiegoś nowego zakonu, jakichś nowych formuł etycznych. Nie wyraziła wprawdzie jasno i z precyzyą, coby on to takiego miał był powiedzieć, ale uznała się zawiedzioną w swych oczekiwaniach i skarciła za ten zawód wieszcza samochwalczego. Emil Faguet, do którego zdania wielką przywiązujemy wagę, przyznaje wprawdzie, że filozoficzna doktryna poety chociaż sama w sobie prosta i nieskomplikowana, posiada przynajmniéj podniosły nieco, szlachetny nastrój; lecz i on wymaga, ażeby zamiast rzucać szumnobrzmiące słowa bez ścisłego określenia ich znaczenia, wyszedł ze swych mglistych tumanów i wykazał w jakim związku, w jakim wzajemnie znajdują się do siebie stosunku, zasadnicze jego idee.

Każdy bezstronny czytelnik przyznać będzie musiał, że nie poeta, ale krytycy popełniają tu omyłkę. Zadanie pierwszego jest całkiem inne aniżeli profesora filozofii, wyłuszczającego swe doktryny z katedry albo uczonego wysnuwającego swoje w poważnych *in 4-o*; nie mamy prawa oczekiwać odeń ściśle przeprowadzonéj systematologii i leży w naturze jego utworów, że terminologia jego chwiejna i mglista, argumenta zaś nie o naukową ścisłość się kusić ale po prostu analogiami zadowolnić się mogą. Wniknąwszy daléj już nie w metodę rozumowania ale w jego wyniki i owoce, dojdziemy prawdopodobnie do wniosku, że wszystkie wielkie zasadnicze idee wypowiedziane przez luminarzy ludzkości w ciągu jéj historycznego rozwoju, łatwo sprowadzić

się dają do ograniczonéj ilości aksyomatów. Pomnożyć je niebywałemi, dotąd niesłychanemi — to łatwiéj żądać aniżeli wykonać! Nie tylko tedy misya poety nie jest taka sama jak filozofa z powołania, bo jeden działa na wyobraźnią i przez nią na uczuciowość, a drugi przemawia do chłodnego rozumu, ale gdyby nawet zechciał przywłaszczyć sobie tę niestosowną sobie rolę to nie można pojąć coby zwolennicy poezyi na tém zyskali. Mielibyśmy jeden więcéj dydaktyczno-filozoficzny poemat, ale zniknął by on niewątpliwie bez echa, bez wpływu na społeczeństwo.

Nie ma tedy powodu wyrzucać Wiktorowi Hugo niedostatecznéj głębi filozoficznéj i skarżyć się, że tam gdzie się oczekiwało gruntownéj analizy i rdzennéj oryginalności, daje nam tylko magiczne słowa i doktryny oddawna już rzucone przez pierwszorzędnych myślicieli na użytek publiczny. Przeciwnie, uważać winniśmy za jego zasługę, iż te pospolite prawdy, po zetknięciu się z jego twórczym geniuszem, zajaśniały jak misternie szlifowane klejnoty i że w téj nowéj, udoskonalonéj formie weszły do skarbczyka społeczeństw. Mniejsza o to, że idee, które na dnie jego obrazów leżą, są nieliczne i sprowadzone do elementarnéj prostoty, że pojęcia jego nie obejmują żadnych szczegółowych a tylko najogólniejsze, najszersze, rodzajowe właściwości. Emil Hennequin słusznie zauważył, że ta prostota nie jest ubóstwem poetyckiego jego natchnienia, ale że właśnie go ocala, zbawia, że nadaje mu wielkość, olbrzymiość, bezmiar i że unosi go często w sferę grozy epicznéj.

Leży w naturze spirytualizmu, że jest optymistycznym. Tryumf ducha nad materyą może tylko jasne, uspakajające roztwierać przed myślą przestworza. Wiktor Hugo jest tedy stanowczo optymistycznym. Zauważono już dawniéj, że był on jedynym może z pośród wielkich liryków epoki romantycznéj, który w latach młodocianych nie łzawił się, nie kwilił nad własnemi bólami i nie stawał się wyrazem *Weltschmerz*'u. Pogodne to usposobienie stanowiło zwykłą ducha jego atmosferę i im bardziéj się umysłowy jego temperament ustalał i mężniał, tém głębsze, nie instynktowe, ale wyrozumowane podstawy optymizmowi temu nadawał. Gdy po dwudziestoletniém odosobnieniu na wysepce wśród oceanu i wśród medytacyi nad księgami, powrócił do rozgwaru świata, przynosząc najwznioślejszy poemat epiczny naszych czasów, „Legendę Wieków,“ to znajdujemy w niéj najwyższy wyraz poetyczny téj zasadniczéj doktryny. Posługując się mytami i postaciami historycznemi, którym nieraz niespodziewaną, symboliczną każe grać rolę, poeta, w stu trzydziestu ośmiu napozór jeden od drugiego niezależnych a wszelako logicznie ze sobą spojonych rapso-

dach, przeprowadza ideę wiekowego pochodu ludzkości ku światłu, ku dobru, ku swobodzie, ku uduchowianiu się i zwiastuje z siłą trąb jerychońskich ostateczną, wieńczącą godzinę sprawiedliwości. Powierzchowny poematu tego czytelnik, oślepiony błyskawicami i gromami, wśród których wieszcz się swobodnie obraca, niedostatecznie często obeznany z mytami i figurami, które na swéj bezmiernéj szachownicy stawia, nie jest w stanie zdać sobie sprawy z jego doniosłości i nie rozumie téj zasadniczéj w umyśle autora trylogii: na początku Bóg-stworzyciel, na końcu zgon szatana, a pomiędzy temi dwiema epopeami nieskończoności i zła, snuje się legenda wieków, epopea ludzkości. Świat stworzony przez Boga, z chwilą gdy samodzielnie istniéć zaczął, stracił swą niepokalaność i stał się areną walki pomiędzy pierwiastkiem dobra i zła. Wyobraźnia poety znalazła szerokie pole, pokazując wszystkie wysiłki, jakie czyni ów duch ciemności aby splamić, zniszczyć, wykoleić zarody dobra przechowane w ludzkości, przez gwałty dokonywane na słabych, przez przesądy, fałszywe religie, przez tyranię władców i namiętności zwierzęce masy rozhukanéj, i przeciwstawia tym ujemnym pierwiastkom ducha miłości i sprawiedliwości wyswabadzającego z ciemnic, ocalającego z topieli nie tylko jednostki, pokolenia i narody ale ich ducha społecznego. Nigdy teorya nieprzerwanego, nieskończonego postępu nie została szerzéj pojętą i obrazowiéj przedstawiona, jak przez Wiktora Hugo. Gdyby nawet innych strun w jego lutni nie było, już zasługiwałby na wyjątkowe miejsce pomiędzy poetami.

A jak wiadomo strun tych jest wiele. Jako liryk, stoi nie powiemy na jedynem, ale na wyłącznem stanowisku. Za potężnym był zapewne geniusz jego, aby się w téj wątłéj formie, jaką liryka dać jedynie może, mógł całkowicie się pomieścić. Niektórzy powtarzać lubią, że poezye liryczne Wiktora Hugo są wprawdzie arcydziełami formy, ale że nie mogą znaleźć drogi do serca, bo nie dźwięczy w nich nigdzie uczucie. Cała krzycząca niesprawiedliwość tego zarzutu uwidocznia się, gdy sobie przypomnimy wszystkie liryki poświęcone wspomnieniom jego córki i wywołane tragicznym jéj zgonem. Nieśmiertelne te strofy, w których poeta boleść swą w coraz nową, a zawsze wzniosłą odziewa szatę poruszyć muszą każdego, co je czytał choćby przypadkiem. My, którzy w trenach nad Urszulką mamy pierwowzór takich elegii jesteśmy uprawnieni do powiedzenia, że dźwięczą w elegiach Wiktora Hugo same nuty wprost z pod serca wyrwane. Gdyby rozpatrując całość jego spuścizny poetyckiéj zostawało jeszcze na nowy podziw miejsca, to wywołać by je mogła ta niewyczerpana i kalejdoskopowa rozmaitość lirycznego natchnienia

poety, który od ód i ballad, od *Orientales* całych w blasku i kolorycie zewnętrznym się rozkoszujących przeszedł do nastroju wewnętrznego, skupionego w sobie, jak tego tyle dowodów dają *Feuilles d'Automne*, *Voix intérieures* i inne zbiory.

O dramatycznéj jego muzie dzisiejsze pokolenia inaczéj naturalnie wyrażać się mogą aniżeli współczesne pojawieniu się tych utworów na scenie i w druku. Ojcowie widzieli w nich protestacyą przeciwko tragedyi klasycznéj i jéj metodzie, podkreślali istniejące pomiędzy temi dwoma typami różnice; synowie znaleźli, jak się to już wyżéj rzekło, że różnice są zewnętrzne tylko. Nikt, zdaniem naszém, lepiéj tych dramatów Wiktora Hugo nie określił jak Franciszek Sarcey, gdy je nazwał idealnemi libretami do oper. Czém się one odznaczają, przedewszystkiém kolorytem tak malowniczym i taką obrazowością, że nawet gdy je samotnie pod światłochronem lampy czytamy, wywołane przez magiczną imaginacyę poety fantastyczne postaci stają z całém swém otoczeniem przed duchowym wzrokiem naszym i nabierają żywotności wyjątkowéj. Język jakim są pisane jest taki, że zastępuje i dekoracye i grę aktorów. Mówiąc o języku Wiktora Hugo, nie należy zapominać, a uwaga ta nie tylko do dramatów ale do wszystkich jego dzieł się stosuje, że plastyczną swą potęgą i wyrazistością przewyższył wszystko co przedtém francuskie posiadało piśmiennictwo. Wpływ i znaczenie jego filologiczne jest obecnie przez szereg prac gruntownych wykazane w całéj rozciągłości. Nie reformatorem ale radykalnym rewolucyonistą był Wiktor Hugo. Mniejsza o to, że kiedy Racine w całym swym słowniku poetycznym posiada zaledwie 1,200 słów, on ma ich dziesięć razy więcéj; ale oprócz słów nowych, oprócz starych, które odgrzebał i nowe życie im nadał, odkrył on pomiędzy pojedyńczemi wyrazami nowe stosunki, rozszerzył ich znaczenie, uświęcił używalność. Z języka ubogiego, sztywnego, zrobił tak czułą kartę, że każdy, najdelikatniejszy odcień myśli nie tylko trafnie, dokładnie i jasno, ale malowniczo oddać jest w stanie. Jerzy Duval wydał częściowy słownik metafor Wiktora Hugo. Nie tylko, że praca ta potrzebuje uzupełnienia, ale tego samego rodzaju studya są przedsiębrane nad innemi stronami jego techniki poetyckiéj.

Wypadałoby nam jeszcze podnieść satyryczną stronę jego twórczości, która pomiędzy swemi okazami może się pochlubić takiém arcydziełem jak *Chatiments* i wiele innych, równie interesujących. Brakuje nam dla nich miejsca, bo jak po za jednemi wierzchołkami gór wysokich ukazują się drugie, dalsze, tak i wśród tworów jego poetycznych błądzić by można długo i coraz nowe, ciekawe punkta

obserwacyjne spotykać. Można się zatrzymać i w połowie drogi, w świadomości, że obcując z takiego nastroju poetą, stos elektryczny do swego własnego przystawiło się umysłu.

Co pozostało z klasycznéj literatury francuskiéj XVII-go stulecia? dwóch tragików i jeden komedyopisarz. Co pozostało z literatury XVIII-go wieku? Encyplopedyści. Zdaje się niewątpliwém, że inwentarz przyszłości, uprzątając wiele rupieci, zachowa w panteonie ludzkości z francuskich poetów XIX-go wieku jednego Wiktora Hugo.

*N. T.*





## LIST NIEZNANY

# JULIUSZA SŁOWACKIEGO.



W spadku piśmienniczym po Juliuszu Słowackim korespondencya jego zajmuje miejsce niepoślednie. Po żadnym z poetów naszych nie pozostał, a żadna literatura poszczycić się nie może zbiorem tak oryginalnym, pięknym i cennym, jak listy Słowackiego do matki. Te synowskie, poufne, najtajniejsze zwierzenia były fundamentem do pomnika, jaki w postaci znakomitéj książki o życiu i pismach poety wystawił Słowackiemu profesor Małecki.

Lecz niemniéj cenne i dla wszechstronniejszego poznania wielkiego poety byłyby listy do przyjaciół, znajomych lub tych, z którymi łączyły go jakiekolwiek stosunki. Z tego wszakże działu listów posiadamy bardzo mało. W drugiém wprawdzie wydaniu „Listów do matki“ pomieszczono listy do Wojciecha Kornelego Stattlera i do Zygmunta Krasińskiego, w ukryciu jednak pozostaje, lub może na zawsze przepadła reszta listów do Krasińskiego, Ujejskiego, Leonarda Niedźwiedzkiego, ks. Felińskiego, Cypryana Norwida, do pani Bobrowéj i innych.

Od czasu ogłoszenia pierwszego wydania „Listów“ w r. 1875 z nieznanéj korespondencyi Słowackiego, pojawił się tylko w „Bibliotece Warszawskiéj“ (za m. kwiecień 1877 r., str. 170) list do matki z 19 lipca 1845 r., zbiorem nieobjęty, następnie w „Kronice Rodzinnéj“ (1882 r., str. 12) list do Odyńca z 22 kwietnia 1833 r. i do Jana Weisberga w Krakowie z 14 maja 1839 r., list do L. Niedźwiedzkiego z 1 czerwca 1841 r., ogłoszony w „Prawdzie“, 1884, N. 12, — wre-

szcie drukowany przezemnie w N-rze 105-ym „Tygodnika Ilustrowanego“ za r. b. list bez daty do Hersylii Januszewskiéj.

Oto całkowita, jak dotychczas, korespondencya Słowackiego.

Listy do matki były znane prof. Małeckiemu i ich wydawcom tylko z niedokładnych kopii, dlatego wydanie to, jako bardzo niestaranne, spotykał surowy sąd krytyków. W posiadanym zaś przezemnie zbiorze własnoręcznych listów poety do matki znajduje się kilka wydawcom nieznanych; jeden z nich poniżéj ogłaszamy.

List ten pisany w Genewie 1 kwietnia 1835 r., wypełnia lukę między listami z dat: 7 marca i 24 maja t. r., i wyjaśnia niezrozumiałe poniekąd początkowe ustępy drugiego z tych listów o zaniechanym przez panią Bécu projekcie podróży. Było to właśnie w czasie, gdy poetę miłość do Eglantyny Patteg nużyć poczynała i pragnął wyrwać się „z tego nudnego miasteczka, w którém pleśniał, jak ostryga nad jeziorem.“ — W takiéj chwili nadszedł list od matki, donoszący o zamierzonéj podróży wraz z braterstwem Teofilem i Hersylią Januszewskiemi do Włoch. Uszczęśliwiony tą wiadomością poeta, odpisuje matce, kreśląc dokładną marszrutę, obliczając przybliżone wydatki i nie skąpiąc wielu praktycznych rad i wskazówek, z któremi u Słowackiego tak rzadko spotkać się można.

„Moja najukochańsza Mamo!

List twój zadziwił mię, uszczęśliwił i zostawił po sobie takie uczucie smutku, jakie zwykle zostaje po zapowiedzeniu nazbyt wielkiego szczęścia. Jakże ja mogę ci radzić, Mamo moja, kiedy serce moje mówi jedno tylko słowo: przyjedź — przyjedź! Niech się Wam wojaż nie wydaje tak trudną i zatrważającą rzeczą — obaczycie sami, że mała różnica tłuc się po pińskich groblach, czy po makademizowanych jeździć gościńcach—w końcu, pożycia także niewielka różnica— będziecie tylko frank, jako Wasz złoty uważać. Oto jest najpewniejsza miara kosztów. Wreszcie we Włoszech życie tańsze, niż w moich stronach, ale trzeba się o wszystko targować. W Rzymie mieszkania drogie nadzwyczaj. Teraz pozwólcie mi Wam radzić... Oto naprzód wyjechawszy z kraju, jeżeli jedziecie do Pizy, nie tłuczcie się po niemieckich miasteczkach. Jest-to główna przyczyna wielkich kosztów owo zygzakowate jeżdżenie po krajach; w każdém bowiem mieście osiadłszy na długo, można miesiąc opędzić pieniędzmi, które przez tydzień dorywczowego (tak) mieszkania w hotelach wydają się... Doświadczyłem ja tego, więc jeżeli we troje wyjedziecie, mogę Wam wywróżyć, że droga do Pizy będzie 1,600 fran. kosztowała, — mie-

szkanie i życie w Pizie 500 fr. na miesiąc od trzech osób, — na rok więc trzeba 6,000 fran., to jest około 11,000 zł. pol. Gdybym ja z Wami mieszkał, mało drożéj wypadnie, ale to wszystko tak zależy od targowania się i od sposobu życia, że nigdy zupełnie wyrachować nie można. Jeżeli Teofil [1]) z Włochami będzie się umiał rozmówić, to za 400 fr. na miesiąc żyć będziecie mogli, Piza bowiem jest miasteczko bezludne i pieniądz w niém rzadki. Spodziéwam się więc, że słuchając rady mojéj, zamiast włóczenia się do Baden i do innych wód, pojedziecie prosto do Wiednia, z Wiednia do Tryestu, z Tryestu do Wenecyi, z Wenecyi do Pizy. W Pizie osiądźcie spokojnie i czekajcie na przybycie cudzoziemca—waszego niegdyś guwernera, to jest guwernera dzieci Waszych [2]). Nie gadajcie nikomu o jego przybyciu, zwłaszcza ani słowa przed najlepszym Waszym przyjacielem — a nadewszystko strzeżcie się sług, — bo to wszystko nie dobrze... Inaczéj, cudzoziemiec nie będzie mógł ani Was widziéć, ani mieszkać z Wami... Pisałem do Marsylii do tego guwernera, aby się w Marsylii na okręt parowy embarkował i płynął do Liwurny,—a z Liwurny do Pizy bardzo blisko. Zapewne miło Wam będzie go zobaczyć.. Skoro będziecie we Włoszech, piszcie pod adresem siostry jego, Eglantyny — a listy go dojdą... Co się tyczy miejsca, w którém macie przepędzić zimę, to jest Nicei, niepodobna mu będzie tam pojechać z Wami, ale dlaczegóż Wy zimę w Nicei przepędzić macie? Daleko lepiéj jechać do Hyères, miasta w południowéj Francyi, które zupełnie taki sam ma klimat, jak Nicea, a mniéj smutne, mniéj nudne i dogodniejsze dla nas wszystkich. O, co za szczęście byłoby pod piękném, błękitném niebem przechodzać się, oddychać świeżém powietrzem. Gdybyście się na miasto owe zgodzili, pośpieszyłbym przed Wami w miesiącu sierpniu, nająłbym małe pokoiki i czekałbym Was, mili moi. Zaręczam Was, że nic smutniejszego, jak Nicea. Od wielu podróżnych wiem o tém. Do Genewy Was ani myślę sprowadzać, ciemno, nudno, drogo, dosyć zimno—słowem, zupełnie nie miejsce dla jaskółek przelotnych. Proszę Was także, niech Was towarzystwo Balińskiéj nie ciągnie. Skoro raz z zamożnymi i hulającymi rodakami spotkacie się, będą Was wszyscy niemiłosiernie obdziérać. Żeby żyć zagranicą, trzeba

---

[1]) Teofil Januszewski, wuj poety, artysta-malarz, ożeniony z Hersylią, córką profesora Augusta Bécu.

[2]) Dla zachowania koniecznych podówczas względów ostrożności, poeta mówi w ten sposób sam o sobie. Toż samo znajdujemy w liście z Genewy z 24 maja 1835 roku.

się zupełnie otrząsnąć z naszych przywyknień, trzeba nadewszystko wielkiego porządku w wydatkach. O, gdybym ja mógł być Waszym sługą, ręczę Wam, nie poczulibyście wielkiéj zmiany w ciężarze Waszéj kieski — i wszystkoby szło jak należy... Nie potrzeba na to być skąpym, ale porządnym...

Więc Mamo moja, Ty, co jesteś w miejscu, dobrze tylko rozważ, czy przerwa w zwyczajnych naszych interesach nie zabije nas zupełnie. Jeżeli wszyscy nasi debitorowie są honorowymi ludźmi, jeżeli w kiesce z Teofilem będziesz mogła złożyć 4,000 fr., to jest trzecią [1]) część wydatków, jeżeli na rok drugi popłacą ci procenta, jeżeli pewna jesteś, że powróciwszy, znajdziesz wszystko nieodmienione — jedź, przyjeżdżaj. Nadewszystko chciałbym, abyście się zdecydowali na przepędzenie zimy w Hyères. Przyjechawszy latem do Pizy starajcie się wziąć mieszkanie nad brzegiem Arno—inaczéj pomrzecie z gorąca. Letni pobyt w Pizie będzie za bezcen, albowiem miasto puste— a ci, co w niém żyją, potnieją. Zdaje mi się, że takie poty będą dla Was najlepszą kuracyą — przez poty trzeba wyprowadzić z ciała wszystkie złe pryncypia, a potém może człowiek żyły czystszą i lepszą krwią napełnić. Nie lękajcie się jednak nazbyt wielkich skwarów. Ja przebywszy kilka lat w dosyć ciepłych klimatach, nigdy nie doznałem takiego gorąca, jak u nas. We Włoszech musi być goręcéj, niż we Francyi, nie tak jednak, abym o tém sądzić nie mógł...

Najbardziéj jednak zalecam Wam i proszę Was: obierzcie sobie pewny cel podróży i drogą jaknajprostszą zmierzajcie do niego, inaczéj podróż zjé wam fundusze i będziecie zdziwieni, że Wam tak kieska schudła. Jeżeli będziecie na moją przestrogę pamiętać, podróż Wasza bynajmniéj mnie nie zatrważa pieniężnemi skutkami. Za powrotem będziecie mogli mniéj o różnych i rozlicznych miastach rozprawiać, ale cel waszéj podróży — zdrowie zyska na tém i pieniądze oszczędzą się i nawet przyjemniéj czas upłynie, niżby upłynął w ciągłych targach, przemianach miejsca, nieprzyjemnościach i nudach.

Ostatecznie taki skutek mego listu: jeżeli pojedziecie do Pizy, guwerner niegdyś dzieci Waszych przyjedzie do Was i zabawi z wami dłużéj lub krócéj, jak będzie można. Jeżeli stamtąd pojedziecie do Nicci na zimę, guwerner wróci do Francyi. Jeżeli Ty, Mamo kochana, nie przyjedziesz, będę się starał również z Teofilami spotkać się. Może się zgodzą w Hyères zimę przepędzić.

---

[1]) Wyraz „trzecią“ lekko przekreślony.

Wszystko, co mnie spotyka, zdaje mi się podobne do jakiegoś czarodziejskiego zdarzenia. Nie śmiem wierzyć jeszcze w rzeczywistość Waszego wyjazdu. Teofilu kochany, ciebie nadewszystko proszę, ażebyś dobrze miał wzgląd na to, czy zdrowie Mamy, któréj doktorowie niegdyś zabraniali małego nawet ruchu, nie pogorszy się teraz wojażem dalekim. Radź o tém razem z doktorami, a jeżeliby było jakie niebezpieczeństwo, opiéraj się jéj podróży. Wzgląd na zdrowie Mamy sprawia to, że nie nalegam na nią tak usilnie i tak gorąco, jak serce moje dyktuje. Dziwną tak mam naturę, że zawsze ogląda się na przeszłość i przyszłość, a teraźniejszość lekko waży. Skoro tylko ostateczna decyzya zapadnie, napiszcie mi obszernie o wszystkiém: dzień, w którym wyjedziecie, miejsca, przez które wędrować macie i cel podróży. W oczekiwaniu tego listu będę niespokojnie usypiał i budził się. Kto wié, jak się zjedziemy razem, jak się rozmówimy obszernie, może gdzie osiądziemy razem i będziemy spokojni.

Już u nas prawdziwa wiosna. Wczoraj cały dzień kopałem i sadziłem kwiaty. Przypomniało mi to Twoje ulubione zatrudnienie niegdyś. Robimy z panną Eglantyną w ogrodzie małą altankę i ubiéramy ją w piękne kwiaty. Podczas upałów tam będę czytał i myślał o Was. Będę was widział, jak maleńkie biédne mrówki, wędrujące po téj obszernéj ziemi, pomiędzy aktorami grającemi smutną i głupią komedyę życia. W domu, gdzie mieszkam, będzie mieszkała cała rodzina Wodzińskich, będę więc miał nieco roztargnienia i huku nad głową. Wszystko mi teraz milsze, oświecone tą myślą, że Was zobaczę, że pożyję trochę z Wami. Jeżeli będziecie mogli, przywieźcie mi dzieła mego ojca, bo nie mam ich, ale to, jeżeli miejsce Wam w pakach zostanie. Bierzcie mało pakunków, a broń Boże, kołder, poduszek i prześcieradeł. To wszystko — niepotrzebne zagranicą; ale Wy zapewne musicie od wojażerów wiedzieć o wszystkiém, co się do podróży ściąga, pakować się zaś trzeba nie w polskich tłómokach, ale w walizach skórzanych.

Ufam w Bogu, że szczęśliwie wszystko pójdzie. Mamo moja, rób wszystko z rozwagą, ale staraj się przyjechać. Do widzenia, moi najmilsi. Kończę ten list, aby go dziś jeszcze wyprawić, aby Was dniem prędzéj doszedł. Zdaje mi się, że znajdziecie w nim odpowiedzi na wszystkie Wasze zapytania. O kuzynie Idalki będę się starał dowiedzieć i posłać mu list. Dotąd nie wiem, gdzie się on obraca. *Adieu.* Całuję Was wszystkich serdecznie i z wielkiém szczęściem piszę słowo: do widzenia. Wasz *Juliusz.*“

Gen(ewa), d. 1 kwiet(nia) 1835 r.

Na ostatniéj stronicy tego listu, pisanego na arkuszu cienkiego, listowego papiéru *in quarto*, znajduje się adres następujący:

*„Pour les Messieurs*

*Messieurs Hausner et Violland Banquiers à Brody. Gallicie-Autriche. Pour remettre à Madame de Bécu.“* Stęple pocztowe: *„Geneve 2 Avril — Brody 16 April 1835. P. P.“* Na początku listu ręką matki dopisano: 4 kwietnia (zapewne według starego stylu) 1835 roku, jako dzień odebrania listu.

Już od sierpnia 1831 r. Słowacki nie wysyłał listów wprost pod adresem matki do Krzemieńca, lecz prawie wszystkie dochodziły za pośrednictwem znanéj firmy bankierskiéj: Hausner i Violland w Brodach.

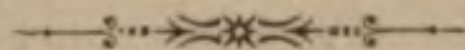
*Leopold Méyet.*





# UBEZPIECZENIA NA ŻYCIE,

## ICH ROZWÓJ I STAN DZISIEJSZY.



Historya ubezpieczeń na życie, w dzisiejszém pojęciu téj ważnéj instytucyi ekonomicznéj, sięga zaledwie ubiegłego stulecia. Ale idee, które stanowią zasadniczą treść ubezpieczeń na życie, tkwią już w niektórych instytucyach starożytności, pojawiają się na nowo u gild i cechów średniowiecznych, w XVII-ym wieku zużytkowuje je państwo do swych celów fiskalnych, aż nareszcie pod koniec tegoż wieku z rozkwitem nauk matematycznych i statystycznych powstają trwałe fundamenty rozwoju. Wiek XVIII-ty—to okres pierwszych prób nieśmiałych. Dopiéro w bieżącém stuleciu stanęła budowa potężna, w któréj nietylko gromadzą się skarby przekazane przyszłym pokoleniom przez możnych i bogaczy, ale i krwawo zapracowany dorobek nędznych i maluczkich, groszowe oszczędności, składane zmudnie, a skrzętnie ku ulżeniu niedoli wdów i sierot. Zanim jeszcze państwo pomyślało o objęciu humanitarnéj roli opiekuna tych nieszczęśliwych, którym śmierć przedwcześnie wydarła żywiciela, rozwija się samodzielnie, bez pomocy rządów, instytucya, która, urzeczywistniając w życiu ekonomicznem najszlachetniejsze tendencye altruizmu, ogarnęła w naszych czasach najszersze warstwy, przynosząc nietylko milionom materyalną pomoc, ale krzewiąc nadto umoralniające zasady przezorności i troskliwéj miłości rodzinnéj.

Ubezpieczenia na życie, w dzisiejszém ich pojęciu, są, jak już wspomnieliśmy, dziełem epoki najnowszéj, ale w najdawniejszych już czasach spotykamy instytucye o pokrewnych dążeniach i celach, choć

nie ujętych jeszcze w umiejętną organizacyę, która stanowi najważniejszą podstawę wszelkiego ubezpieczenia, i nieświadome potęgi, jaka spoczywa w solidarności, opartéj na szerokich stowarzyszeniach.

Jeżeli rozważymy materyalne następstwa śmierci, to pierwszą myślą, która nasunie się niezamożnemu, będzie troska o koszta urządzenia pogrzebu. Troska ta będzie tém żywszą, im większe znaczenie jednostka ze względów religijnych lub socyalnych temu aktowi nadaje, a im słabszą dla niéj nadzieja, że znajdzie się ktoś, coby miał chęć i możność dopełnić go własném staraniem i kosztem. Wiadomo, jak ważne znaczenie miały obrzędy pogrzebowe w pojęciach religijnych ludów starożytnych. Grecy i Rzymianie mniemali, że zmarły, którego ciała nie złożono do ziemi, 100 lat błąkać się musi nad brzegami Styksu. Nad godném pochowaniem ciał obywateli wolnych czuwało państwo, jeśli brakło rodziny lub przyjaciół; ale dla wydziedziczonéj z wszelkich praw, nieszczęsnéj klasy niewolników bolesną częstokroć musiała być niepewność, czyli po śmierci znajdzie się litościwa ręka, która bodaj rzuceniem trzech garści ziemi zapewni cieniom zmarłego spoczynek. Łączą się więc niewolnicy w stowarzyszyszenia, których zadaniem zabezpieczenie członkom przyzwoitego pogrzebu. Dochowały się do naszych czasów dość liczne ślady, świadczące o istnieniu takich stowarzyszeń. Najdawniejszą datę wskazuje napis na tablicy marmurowéj, odkrytéj pod gruzami łaźni publicznéj w Lanuvium, a zawierający ustawy kasy pośmiertnéj, noszącéj nazwę kasy Diany i Antinousa z r. 133 po narodzeniu Chrystusa. Według ustaw téj kasy, obowiązany był każdy nowo wstępujący złożyć jednorazowo 100 sestercyi i 1 amforę dobrego wina, oprócz tego opłacać musiał miesięcznie po 5 assów. Po śmierci członka wypłacano na koszta pogrzebu 400 sestercyi. Jedno z postanowień statutu orzeka, że właściciel niewolnika i wierzyciel jego nie mają prawa do ubezpieczonéj sumy. Odkryto jeszcze kilka napisów, zawierających ustawy kas pogrzebowych we Włoszech, oraz ślady istnienia kas takich za czasów imperyum rzymskiego w Grecyi, w kopalniach portugalskich, w Budzie i w siedmiogrodzkim Verespataku, miejscu sławnych dackich kopalni złota.

Wędrówki ludów, niszcząc klasyczną cywilizacyą, wstrzymały rozwój wszelkich instytucyi ekonomicznych. Dopiéro w XI-ym stuleciu pojawia się na nowo idea ubezpieczeń na życie, a wskrzeszenie jéj zawdzięczamy gildom. Członkowie gild uważali się za braci, tworzyli niejako jednę rodzinę i zobowiązywali się przysięgą na relikwie patrona do udzielania sobie pomocy we wszelakiéj potrzebie. Za-

słabł członek takiego stowarzyszenia, to bracia czuwali przy nim, — jeśli wskutek wypadku stał się niezdolnym do pracy, to otrzymywał zapomogę, — gdy umarł, brać sprawiała mu pogrzeb. Te same obowiązki spełniają późniéj w swoim zakresie cechy rzemieślnicze i związki czeladników, a z upadkiem organizacyi cechowéj objęły te zadania liczne, samoistne, lokalne lub zawodowe kasy chorych i kasy pogrzebowe, z których wiele dotrwało aż do naszych czasów.

Nie możemy pominąć w historycznym poglądzie wzmianki o odrębnym rodzaju ubezpieczeń, jaki rozwinął się z ubezpieczeń od wypadków w czasie podróży (*casualty assurance*), uprawianych począwszy od XIV-go stulecia przez izby ubezpieczeń morskich. Celem tych ubezpieczeń było początkowo zapewnienie podróżnym i pielgrzymom wykupu na wypadek niewoli tureckiéj lub maurytańskiéj. Późniéj weszło w zwyczaj, że przed rozpoczęciem niebezpiecznéj podróży deponowano pewną sumę. Kto szczęśliwie powrócił, odbiérał 2 lub 3 razy tyle, natomiast przepadały na korzyść depozytaryusza depozyty tych, którzy w czasie podróży zginęli. Wkrótce znika zupełnie pierwotny cel pożyteczny, a w miejsce jego wstępuje namiętność do zakładów. Stawiano sumy pieniężne nietylko na szczęśliwy powrót z podróży, lub na przeżycie pewnego terminu, lecz także na życie cesarza, papieża lub innych znakomitych osób. Zakłady szły nieraz o grube sumy, a namiętność do téj gry hazardowéj ogarnęła tak szerokie warstwy, że zarządy niektórych państw były zmuszone wydać przeciw ubezpieczeniom na życie ludzkie (tak te zakłady wówczas nazywano) surowe zakazy, tak w Niderlandach w r. 1570-ym, w Anglii w r. 1774 (*gambling act*, skierowany wyraźnie tylko przeciw zakładom powyższym).

Na hazardzie opiérają się także tontiny, które powstają na schyłku XVII-go stulecia. Formą swoją zbliżają się ówczesne tontiny do teraźniejszych ubezpieczeń rent dożywotnich, uwzględniają już nawet szanse śmiertelności, ale z celem właściwych ubezpieczeń na życie mijają się zupełnie, bo nie służą interesom ubezpieczonych, ale skarbowi państwa, któremu chciano ułatwić napełnienie wiecznie pustych skrzyń. Wynalazcą tontin jest Włoch Lorenzo Tonti, lekarz neapolitański, który, przedkładając w r. 1653-im swój pomysł kardynałowi Mazariniemu, mniemał, że wynalazł dogodny sposób zaciągania korzystnych pożyczek państwowych. Nieograniczona liczba osób miała złożyć do skarbu państwa jednorazowo pewną sumę, skarb zaś zobowiązywał się wypłacać rentę dopóty, dopóki ostatni z tych, co pieniądze złożyli, nie umrze. Uczestników podzielono na 10 grup podług wieku, przeznaczając dla każdéj grupy $1/10$ część ogólnéj rocz-

néj prowizyi. W miarę jak wymierają uczestnicy, towarzysze, którzy dłużéj pożyją, dziedziczą po nich rentę; a kto wszystkich przeżyje, całą rentę dla grupy przeznaczoną pobiera. Po wymarciu zaś wszystkich skarb państwa nietylko rentę płacić przestaje, ale i kapitał cały odziedzicza po nieboszczykach. Pomysł Tonti'ego Mazanini'emu bardzo się podobał, ale parlament ówczesny odmówił swéj sankcyi temu projektowi, dopiéro 36 lat póżniéj w r. 1689, steroryzowany przez Ludwika XIV, z wielu innemi ustępstwami i zezwolenie na otwarcie pierwszéj tontiny uchwalił. Ostatnia uczestniczka téjże umarła w r. 1726 jako 96 letnia staruszka, pobierając przy końcu życia rentę roczną w kwocie 73,500 liwrów. Tontiny stały się wkrótce ulubioną formą pożyczek państwowych nietylko we Francyi, ale także w Holandyi, Anglii i w Niemczech. Za przykładem państwa poszły przedsiębiorstwa prywatne. Często nie rozdzielano wcale uczestników na grupy, stopę procentową przyrzekano znacznie wyższą od pierwotnéj, a kombinacye tontinowe budowano na najdziwaczniejszych hypotezach. Tak np. urojono sobie we Francyi z końcem XVII wieku, że liczba urodzeń do wypadków śmierci jest w stosunku 7 do 12, wskutek czego, jak zauważył Segoffin, w ciągu lat 822 wymarłaby cała ludzkość. W tych warunkach musiało się oczywiście zdarzać, że niebezpieczeństwo gry zwracało się niejednokrotnie przeciwko wyzyskującemu przedsiębiorcy. Powodzenie swoje zawdzięczały tontiny téj okoliczności, że zaspakajały rozpowszechnioną namiętność do gry hazardowéj i żądzę osiągnięcia wysokich zysków bez trudu i pracy. Zwycięską ich współzawodniczką stała się dopiéro loterya. Podstawa tontin jest z gruntu niemoralna, jest to spekulacya na rychłą śmierć bliźniego przy zupełném podporządkowaniu troski o dobro spadkobierców własnym, egoistycznym interesom.

Kasy pogrzebowe czasów rzymskich i średniowieczne związki gild i cechów mają raczéj charakter dobroczynnych stowarzyszeń, ubezpieczenia na życie, oparte na zakładach zaledwie nazwą, a tontiny tylko formą swą zbliżają się do właściwych ubezpieczeń na życie.

Dopiéro ku schyłkowi XVII wieku wytknęła nauka drogę właściwym ubezpieczeniom na życie.

Fermat i Pascal tworzą pierwsze podstawy rachunku prawdopodobieństwa. Wielki pensyonarz holenderski de Wit gromadzi opisy urodzeń i śmierci z różnych miast holenderskich i ogłasza pierwszą rozprawę o zasadach ubezpieczeń rent. Anglicy William Petty (1662) i John Graunt wydają pierwsze, ale niedokładne jeszcze prace z zakresu statystyki śmiertelności. W r. 1692 wydaje doktor teologii Kaspar Neumann dzieło traktujące o stosunkach śmiertelności w Wro-

cławiu w latach 1687—1691, opracowane już na podstawie dokładnych i pewnych spisów zgonów w parafiach wrocławskich. Dzieło Neumanna obudziło wielkie zajęcie wśród ówczesnych uczonych i posłużyło sławnemu matematykowi Halleyowi do ułożenia pierwszéj tablicy śmiertelności, ogłoszonéj w „*Philosophical transactions*“ (Vol. XVII, Londyn 1693) w rozprawie pod tytułem: „*An estimate of the degrees — of the mortality of mankind*“. Praktycznego zastosowania doczekała się ta praca dopiéro po 50 latach.

Pierwsze towarzystwo ubezpieczeń na życie założył w r. 1698 doktor teologii William Assluton w Londynie. Towarzystwo to istniało tylko krótki czas. Drugiém z kolei towarzystwem było: „*The society of assurances for widows and orphans*“ założone w r. 1699, które rozwiązało się w pierwszéj połowie następnego stulecia. Działalność tych towarzystw była tak krótką i nieznaczną, że jako pierwsze towarzystwo ubezpieczeń na życie wymieniane bywa dopiéro towarzystwo „*Amicable*“ albo „*Perpetual assurance*“, założone w r. 1705, a zatwierdzone aktem parlamentu z 25/7 1706, które prowadziło samoistnie swe czynności do r. 1866. Wkrótce potém w r. 1721, powstały jeszcze dwa towarzystwa „*Royal exchange*“ i „*London assurance corporation*“. Urządzeniom tych towarzystw brakowało z początku wszelkich podstaw racyonalnych. Liczba członków towarzystwa „*Amicable*“ nie mogła przekraczać 2,000. Wszyscy członkowie w wieku 12—45 lat opłacali jednakową premię po 5 f. st. rocznie. Osoby starsze i kobiéty płaciły więcéj. Przy wymiarze premii uwzględniano także rodzaj zatrudnienia. Szynkarze opłacali premię w wysokości 16%.

Około połowy XVIII stulecia ukazały się nowe prace o stosunkach śmiertelności. W latach 1738 i 1742 ogłosił Holender W. Kerseboom trzy rozprawy z tablicami śmiertelności, a w r. 1741 wydał Jan Piotr Süssmilch znane swe dzieło pod tytułem: „*Die göttliche Ordnung in den Veränderungen des menschlichen Geschlechtes*“ — wraz z tablicą śmiertelności, poprawioną następnie przez Baumana, na któréj jeszcze w drugiéj połowie bieżącego stulecia opierały się obliczenia niektórych towarzystw. Wszystkie poprzednie prace przewyższa znakomite dzieło Antoniego Deparcieux: „*Essai sur les probabilités de la durée de la vie humaine*“, wydane w Paryżu w r. 1746, a uzupełnione w r. 1760. Tablice śmiertelności, które opracował Deparcieux, doczekały się dopiéro w naszém stuleciu należytego ocenienia i służą do dziś dnia za podstawę obliczeń wielu towarzystw. Deparcieux jest twórcą teoryi o średniéj długości życia ludzkiego. W r. 1742 przypomniał publiczności Thomas Simpson zapomnianą tablicę Halleya,

a James Dodson obliczył na podstawie metody Halleya pierwszą tablicę premiową z zwrastającą skalą premii. Właściwością téj tablicy premiowéj były wygórowane premie, spowodowane przyjętą na podstawie obliczeń Halleya wielką przeciętną życia, oraz znacznie wyższe premie dla kobiét, aniżeli dla mężczyzn.

Bezpośredniém następstwém tych postępów naukowych było założenie pierwszego, opartego na umiejętnych podstawach towarzystwa ubezpieczeń na życie: „*The equitable society for the assurance of life and survivorships*". Towarzystwo to było oparte na zasadzie wzajemności, co założyciele w podaniu wystosowaném do parlamentu o udzielenie koncesyi (*Marter*) wyraźnie podnoszą, dodając, że „instytucya taka będzie bezstronniejsza (*more equitable*) od wszystkich dotychczasowych, ponieważ obliczoną jest wyłącznie na korzyść ubezpieczonych, co dotychczas się nie zdarzało". Wskutek trudności, wywołanych zabiegami trzech istniejących już towarzystw ubezpieczeń na życie, „*Equitable*" dopiéro r. 1765 zdołało rozpocząć swą działalność. Towarzystwo rozwijało się szybko i pomyślnie, dzięki racyonalnym podstawom, na których oparło swe operacye, wydoskonalonym wkrótce przy pomocy doktora teologii Ryszarda Price, twórcy tablicy śmiertelności, znanéj pod nazwą: „*The Northampton table*".

Pomyślne rezultaty osiągnięte przez „*Equitable*" stały się pobudką do założenia kilku nowych towarzystw angielskich, tak że w r. 1807 operowało ich już 8.

Za przykładem Anglii poszła najprzód Francya. Założono tam już w r. 1787 towarzystwo ubezpieczeń na życie: „*Compagnie royale d'assurance*", ale wybuch rewolucyi nie pozwolił mu się rozwinąć. Wskutek dekretu z 24 sierpnia 1793, który znosi wszystkie towarzystwa asekuracyjne, musiało się i to towarzystwo rozwiązać. Dopiéro w r. 1819 powstało nowe towarzystwo: „*Compagnie d'assurances générales sur la vie*", a już w roku następnym towarzystwo „*Royale*" później „*Nationale*" nazwane.

W Niemczech założył najprzód bankier Benecke w Hamburgu w r. 1806 akcyjne towarzystwo ubezpieczeń na życie, które istniało zaledwie lat kilka. Następném towarzystwem, założoném dopiéro w r. 1827, było towarzystwo wzajemne: „*Lebensversicherungs-Bank für Deutschland in Gotha*".

W Ameryce założono w r. 1812 towarzystwo: „*Pennsylvania*".

W Rosyi w r. 1835: „Rosyjskie towarzystwo ubezpieczeń kapitałów i rent", w Petersburgu.

W Austryi w r. 1840: „*Allgemeine wechselseitige Kapitalien-und Rentenversicherungs-Anstalt in Wien*".

U nas pierwsze towarzystwo ubezpieczeń na życie powstało w Krakowie, przy istniejącém tam już od roku 1860 towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń. Na podstawie projektu, opracowanego przez dyrektora referenta, Henryka Kieszkowskiego, przedłożyła dyrekcya tego towarzystwa w listopadzie 1867 r. radzie nadzorczéj wniosek założenia działu ubezpieczeń na życie, jako odrębnéj instytucyi, pozostającéj jednak z działem ogniowym i gradowym pod tym samym zarządem. Projekt ten przyjęła rada nadzorcza przychylnie i postanowiła go przedstawić zgromadzeniu ogólnemu do zatwierdzenia. W motywach odnośnéj uchwały podniesiono: „że do uzupełnienia dzieła wzajemnych ubezpieczeń tylko najdonioślejszego może ubezpieczenia, bo ubezpieczenia życia dla najmniéj dostatnich brakuje“ i że celem nowéj instytucyi będzie także: „zapobieżenie przenoszeniu się krajowych oszczędności do podobnych zagranicznych instytucyi“. Po zatwierdzeniu statutu i tabel premiowych przez ministeryum, rozpoczął dział życiowy działalność swoją z dniem 1 listopada 1869 r. Niełatwo przyszło młodéj instytucyi spełnić doniosłe swe zadanie. Trzeba było walczyć nietylko z konkurencyą towarzystw zagranicznych, nie przebierających nigdy w środkach konkurencyjnych, ale i z ciężkiém położeniem ekonomiczném społeczeństwa, w któróm niewyrobił się jeszcze zmysł oszczędności i przezorności, oraz z różnemi przesądami. Ale wytrwałą i umiejętną pracą pokonano przeszkody. Rozwój instytucyi jest stale pomyślny i ciągły. Dzięki racyonalnym podstawom, na których to towarzystwo się opiéra, i oszczędnéj gospodarce, wykazują rachunki co roku pozostałości, które pomiędzy członków w stosunku do wniesionych premii rozdzielane bywają, a nagromadzone fundusze gwarancyjne, bezpiecznie ulokowane, przedstawiają obecnie poważną sumę, dającą członkom zupełne bezpieczeństwo dla ich zaoszczędzonego mienia. Zamknięcia rachunkowe za rok 1890 wykazują 11,430 polis, 22,021,573 złr. kapitałów ubezpieczonych i 26,498 złr. rent. Fundusze gwarancyjne wynoszą blisko 5,000,000 złr. Z reszty zaś rozdzielono w ciągu 21-letniéj działalności pomiędzy ubezpieczonych sumę przeszło 375,000 złr. Stan ubezpieczonych kapitałów zwiększył się w roku 1890 o przeszło 1,500,000 złr.

Wkrótce po rozpoczęciu działalności towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w dziale życiowym, zawiązało się (w r. 1870) we Lwowie akcyjne: „Ogólne galicyjskie towarzystwo ubezpieczeń“, które także przez lat kilka przyjmowało ubezpieczenia na życie. Towarzystwo to zlikwidowało w r. 1877 swoje interesa, a zawarte ubezpieczenia przekazało towarzystwu krakowskiemu, które wszelkich zobowiązań

przyjętych przez towarzystwo galicyjskie dopełniło, tak że ubezpieczeni nie ponieśli straty.

W Poznaniu założono w r. 1873 towarzystwo „Westa“, „Bank wzajemnych ubezpieczeń na życie”, które posiadało z końcem roku 1890: 11,844,199 marek ubezpieczonych kapitałów. Przyrost sumy ubezpieczonéj wynosił w r. 1890: 297,583 marek, a stan funduszów 1,273,008 marek.

Uznanie doniosłości celów, które spełniają instytucye ubezpieczeń na życie, szczególnie takie, które przypuszczają ubezpieczonych do udziału w zyskach, oraz pomyślne rezultaty, osiągnięte przez towarzystwo krakowskie, pobudziły już przed 10 laty dyrektora warszawskiego towarzystwa ubezpieczeń od ognia, p. Konstantego Górskiego, do przedsięwzięcia starań, celem rozpowszechnienia ubezpieczeń na życie w zachodnich guberniach Cesarstwa. P. Górski udał się po radę do zarządu towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie, którego sekretarz, Józef Mrazek, skreślił w r. 1883 pierwszy projekt statutu towarzystwa ubezpieczeń na życie, założyć się mającego w Warszawie, z kapitałem akcyjnym, jako gwarancyą dla ubezpieczonych i zasadą udziału w zyskach coraz się zwiększających, jako zachętą dla ubezpieczających się. Projekt ten, poparty planem finansowego rozwoju towarzystwa, wykazującym, że towarzystwo przy miernem powodzeniu prawdopodobnie już po latach cały zysk będzie mogło oddawać ubezpieczonym, znalazł uznanie wśród grona wybitnych osób ze sfer finansowych i obywatelstwa ziemskiego. Wypracowany na podstawie tego projektu statut przedstawiono władzy wyższéj, która przy udzieleniu wskazówek co do ostatecznéj redakcyi poparła wszelkie postanowienia, które mają na względzie zapewnienie ubezpieczonym jak największych korzyści. Dnia 5 kwietnia 1891 r. uzyskała ustawa towarzystwa sankcyę, a w kwietniu b. r. zostały zatwierdzone warunki polisowe. Działalność swoją rozpoczyna nowa instytucya z dniem 1 lipca b. r. Firma opiewa: Towarzystwo ubezpieczeń „Przezorność“ w Warszawie. Kapitał zakładowy wynosi 500,000 rs. Według ustawy towarzystwa, które jest akcyjno-wzajemnem, ubezpieczeni są członkami towarzystwa i uczestniczą w zarządzie i w zyskach.

---

Druga połowa bieżącego stulecia jest okresem ogólnego, wzrastającego z każdym rokiem rozwoju ubezpieczeń na życie i rozpowszechnienia się ich po całéj kuli ziemskiéj. Wszędzie, dokąd dotarła cywilizacya europejska, powstają nietylko reprezentacye wielkich towarzystw europejskich i amerykańskich, ale i krajowe instytucye.

Kraje wyższéj cywilizacyi posiadają obecnie po kilkadziesiąt własnych instytucyi ubezpieczeń na życie, a ubezpieczonych miliony.

W tym czasie ogólnego rozkwitu nie brak jednakże i faktów ujemnych. Te kraje mianowicie, w których ubezpieczenia na życie najbardziéj się rozpowszechniły, miały lata gorączkowéj twórczości, wśród któréj nieraz nie przestrzegano ani racyonalnych zasad w urządzeniach technicznych, ani bezpieczeństwa przy lokacyi funduszów; w zarządzie zaś brakło zbyt często nietylko oszczędności, ale co gorsza — i uczciwości. Następstwem tego braku kardynalnych podstaw zdrowego rozwoju musiały być liczne bankructwa, narażające tysiące ubezpieczonych na utratę zaoszczędzonego grosza.

Między rokiem 1844-ym a 1867-ym upadło w Anglii 230 towarzystw ubezpieczeń na życie. Są to czasy gospodarki tak zwanych „*Bubble companies*“. Zakładanie nowych towarzystw stało się niemal rzemiosłem, do którego garnęły się różne niepewne osobistości. Wśród założycieli ówczesnych nie brak ani zbankrutowanych drobnych przemysłowców i kupców, ani czeladników rzemieślniczych. Dopuszczano się gorszących nadużyć. Pod nazwą amalgamowania, t. j. łączenia różnych towarzystw, prowadzono istny handel ubezpieczonymi. Zdarzały się wypadki, że ubezpieczeni w przeciągu kilku lat dostawali się do 4 towarzystw — ostatecznie spotykali się z bankructwem i zupełną utratą swoich składek.

Niepodobna pominąć doniosłych usług, jakie w tym czasie oddało społeczeństwu angielskiemu dziennikarstwo fachowe. W roku 1840-ym założył p. J. Hooper Hartnoll pierwsze fachowe pismo asekuracyjne „*Post Magazine*“. Był to maleńki tygodniczek sprzedawany po cenie 1 penny. Z niestrudzoną energią wykrywał on podstępne kombinacye, wymyślone na łowienie zbyt łatwowiernéj publiczności i nie ustał w walce, dopóki zarządzenia ustawodawcze nie położyły kresu wyzyskowi i oszustwom.

W Stanach Zjednoczonych pojawiają się pierwsze bankructwa w r. 1847-ym. Z siedmiu towarzystw, założonych w owym roku, istnieje zaledwie jedno, z 5 założonych w roku następnym funkcyonują dotąd dwa. Wprawdzie sejmy niektórych stanów uchwaliły bardzo surowe ustawy co do kontroli towarzystw ubezpieczeń na życie, ale wykonanie tych ustaw pozostawia wiele do życzenia. To téż bankructwa i milionowe malwersacye nie schodzą tam z porządku dziennego,—a co najsmutniejsze, to że wypadki te dotyczą zbliska wszystkich państw europejskich, wszędzie bowiem posiadają amerykańskie towarzystwa swoje reprezentacye i armie sprytnych agentów, którzy z niezrównaną zręcznością umieją łowić ubezpieczonych. Ponętną zachętę do usilnych zabiegów stanowią dla agentów wygórowane pro-

wizye. To też połowa rocznych premii idzie nieraz na prowizye agencyjne i inne koszta administracyjne. Tak np. wykazuje towarzystwo „New-York“ za rok 1890-ty premii, pobranych w Rosyi 1,032,442 rs., a wydatków administracyjnych 465,770 rs., a więc 45,1% całej rocznej premii, kiedy u przeważnej części towarzystw europejskich, stosunek ten przedstawia około 13%.

Skutkiem tych nadużyć jest występujący coraz silniej ogólny prąd do zaprowadzenia surowej, sprężyście wykonywanej kontroli rządowej. Na czele tego ruchu stanęła Szwajcarya, która posiada już urządzenia wzorowe.

Smutne objawy, o których wspomnieliśmy, nikną na szczęście wobec rezultatów dodatnich. Rozpowszechnienie ubezpieczeń na życie wzmaga się z każdym rokiem i ogarnia coraz szersze warstwy społeczeństwa. Prawie każdy rok przynosi nowe ulepszenia techniczne, nowe ustępstwa i udogodnienia dla ubezpieczonych. O olbrzymim rozwoju ubezpieczeń na życie świadczą najwymowniej następujące cyfry: Bilanse 211 towarzystw w 8 państwach wykazują z końcem r. 1890-go: 4,254,839 polis, 32,314,633,700 marek ubezpieczonych kapitałów i 68,000,000 marek ubezpieczonych rent, mianowicie:

| | Towarzystwa | Stan ubezpieczonych z końcem r. 1890. | | Przyrost ubezpieczonych kapitałów w roku | | |
|---|---|---|---|---|---|---|
| | | rent | kapitał. | 1890 | 1889 | 1888 |
| | | milionów marek niemieckich [1]) | | | | |
| 30 | Amerykańskich [2]) . . . . | 7.4 | 15.057.6 | 1.692.8 | 1.628.2 | 1.220.0 |
| 83 | Angielskich . . . . . . . | 15.5 | 8.725.8 | 110.7 | 301.1 | 79.5 |
| 39 | Niemieckich . . . . . . | 6.8 | 3.991.7 | 215.5 | 193.5 | 187.1 |
| 17 | Francuskich . . . . . . | 33.5 | 2.511.2 | 69.7 | 0.9 | 40.8 |
| 16 | Austryackich . . . . . | 2.1 | 1.128.5 | 66.1 | 50.9 | 61.7 |
| 14 | Skandynawskich . . . . | 1.6 | 359.1 | 40.0 | 35.4 | 30.0 |
| 5 | Rosyjskich . . . . . . . | 0.2 | 317.5 | 31.2 | 18.3 | 28.3 |
| 7 | Szwajcarskich . . . . . | 0.9 | 223.3 | 12.0 | 7.0 | 5.7 |
| 211 | | 68.0 | 32.314.7 | 2.238.0 | 2.235.3 | 1.653.1 |

[1]) Poszczególne waluty zamieniono na marki niemieckie, na podstawie wartości targowej. — [2]) Tylko te, które operują w stanie nowojorskim.

Zestawienie powyższe obejmuje tylko tak zwane regularne towarzystwa, nie obejmuje zaś rezultatów osiągniętych przez drobne lokalne stowarzyszenia, ani przez związki robotnicze, szczególnie w Anglii bardzo liczne. Ponieważ znaczna część towarzystw operuje w kilku państwach, nie można więc z powyższego zestawienia sądzić o rozpowszechnieniu ubezpieczeń na życie w pojedyńczych państwach. W téj mierze podaje interesujące daty *Assecuranz-Jahrbuch* Ehrenzweiga za r. 1890-ty. Według obliczeń przytoczonych w tym roczniku przypada na głowę ludności w Anglii 120 złr., w Stanach Zjednoczonych północnéj Ameryki 60 złr., w Kanadzie 40 złr., w Niemczech 30 złr., we Francyi 22 złr., w Austryi 11 złr. ubezpieczonéj sumy. Kiedy w Anglii łącznie ze Szkocyą i Wallią liczba osób ubezpieczonych wynosi przeszło 10 milionów, t. j. około $\frac{1}{3}$ całéj ludności, to w Austryi ubezpiecza się zaledwie 1,5% ludności.

Nadzwyczaj pomyślnym objawem są szybkie postępy ubezpieczeń na życie wśród najuboższych warstw ludności, a więc tam, gdzie te ubezpieczenia najdonioślejsze spełniają zadanie, wyrywając miliony wdów i siérot ze szponów nędzy i moralnéj zagłady. W Anglii, Ameryce północnéj, a w ostatnich czasach także w Niemczech, we Francyi i Austryi powstały specyalne instytucye ubezpieczeń na życie, które, stosując urządzenia swoje do położenia i środków warstw najuboższych, imponujące wykazują rezultaty.

Najświetniéj przedstawia się stan ubezpieczeń robotniczych w Anglii. Na tém polu rozwijają bardzo rozległą działalność stowarzyszenia robotnicze t. zw. „*Friendly societies*“, których było w roku 1890-ym 12,848. Rezultatów jednak osiągniętych przez te stowarzyszenia niepodobna dokładnie ocenić, ponieważ nie ogłaszają bilansów i komplikują ubezpieczenia kapitałów pośmiertnych z ubezpieczeniami na wypadek bezrobocia i t. p. Ale pomijając nawet działalność tych towarzystw, zdumienie wywołać muszą cyfry, do których doszły regularne towarzystwa. Towarzystwa te wykazują bowiem w roku 1890 blisko 5,000,000 funtów szterlingów przychodu z premii od ubezpieczeń robotniczych. Przyrost nowych premii jest w tym dziale nawet daleko większy, aniżeli przy zwykłych ubezpieczeniach na życie, bo kiedy premie od tychże zwiększyły się w r. 1890 o 285,385 f. szt., to premie od ubezpieczeń robotniczych zwiększyły się w tym samym czasie o 493,297 f. szt. Pierwsze miejsce wśród towarzystw, poświęcających się specyalnie ubezpieczeniom robotników, zajmuje towarzystwo „*Prudential*“, które pobrało w r. 1890-ym przeszło 3,500,000 f. szt. premii. Prawie każda większa katastrofa sprowadza obecnie dla tego towarzystwa obowiązek wypłacania sum ubezpieczonych na życie

nieszczęśliwych ofiar. Tak np. pokazało się po wypadku kolejowym pod Taunton, że z 11 zabitych 4 osoby zabezpieczone były w towarzystwie „*Prudential*“, pomimo że pociągiem jechali prawie sami robotnicy, powracający z południowéj Afryki. Gdy 10 listopada 1890 roku zatonął na wybrzeżu hiszpańskiém angielski okręt wojenny „*Serpent*“, to wśród 173 osób, które zginęły przy téj katastrofie, znalazło się 58 (a więc przeszło trzecia część) zabezpieczonych towarzystwa „*Prudential*“. Sumy ubezpieczone wynosiły od 1 f. st. 11 sz. do 105 f. szt. 5 szyl.

Świetne rezultaty, osiągnięte przez towarzystwa ubezpieczeń na życie skromnemi środkami i umiarkowanym kosztem, to wymowne stwierdzenie zdania, które wypowiada Leroy-Beaulieu w znakomitém dziele o państwie nowożytném i jego zadaniach: że inicyatywa prywatna na polu ekonomiczném może być równie skuteczną, jak działalność aparatu państwowego, a tém go przewyższa, że szanuje swobodę jednostki.

*Edmund Ginwiłł-Piotrowski.*





# PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.



Wystawy artystyczne w Warszawie, zarówno jak wszędzie po za granicami kraju, przedstawiają zwykle mozajkę, złożoną z dzieł najróżnorodniejszéj miary, zestawionych ze sobą przypadkowo, o charakterze niezmiernie różnym, zwłaszcza, gdy składają się na to dzieła sztuki, powstałe w różnych jéj ogniskach, a tém samém zabarwione wieloma miejscowemi właściwościami. Nasza sztuka posiadając tych ognisk kilka, gdzie stopniowo coraz inne rozwijają się ideały, wytwarza może silniejsze kontrasty, ujawniające się zarówno w założeniach artystycznych, zasadniczo nieraz odmiennych, jak i w formie, oraz w opracowaniu techniczném. Na pierwszy rzut oka już i dzisiaj rozpoznać można obraz malowany w Krakowie, Warszawie lub Monachium i Paryżu, tak dalece różnią się pomiędzy sobą sfery ich motywów i technicznego ich ujęcia.

Jednakże charakter ogólny wystawy ulega stopniowéj przemianie. Po epoce początkowéj, ubogiéj, gdy z pośród niewielkiegó konwencyonalnego ogółu wystrzela zaledwie kilka szczerszych, rodzimych kwiatów rzeczywistéj i doniosłéj na przyszłość wartości, wystawa „Zachęty“ zaczyna się roić stopniowo utworami, posiadającemi coraz więcéj siły artystycznéj, ogarniającemi coraz większe obszary objawów życia krajowego, więc i wydarte karty z przeszłości i obrazy życia współczesnego, wprowadzające w grę ludzi, akcesorya, zwierzęta, krajobrazy—słowem, cały malowniczy materyał przyrody. To już prawdziwy rozwój malarstwa. Stopniowo jednak siła ciężkości w ogólnym prądzie zmienia się, i przenosi w ostatnich paru latach na obrazy na tle krajobrazu i na sam krajobraz, który ilościowo góruje i nadaje specyalny ton wystawie. Przypuszczam jednak, że ton ten jest chwi-

lowy tylko, gdyż inaczéj, z powodu zacieśnienia się sfery obserwacyi i zmniejszenia zamiłowania ku odtwarzaniu ludzi w nieskończenie rozmaitém bogactwie objawów ich życia, z całemi nieocenionemi dla artysty skarbami ruchu i wyrazu, wypadałoby przypuścić, że zapłodnienie artystyczne słabnie, czego z innych objawów, jak usilne dążenie do szczeréj prawdy, lub pogoń za nowemi zupełnie rysami indywidualnemi, wywnioskować niepodobna, a nawet do wręcz przeciwnego przekonania przyjść należy.

Zauważyć można, że to zamiłowanie do obrazów skąpanych w otwartém powietrzu i do krajobrazów samych w sobie jest dziś w całém malarstwie europejskiém dosyć powszechne, u nas w Warszawie szczególniéj składa się na to obok pochodu naturalnego w rozwoju, obok wpływu zagranicznego *plein-air'u*, potężny wpływ Józefa Chełmońskiego, a nadto w pewnéj mierze i importowany do nas przed paru laty impresyonizm.

Te, a zwłaszcza dwa ostatnie wpływy, nie ogarniają całego ruchu artystycznego, po za którym stoi kilka dzielnych w odosobnieniu wzmagających się talentów, lecz wyciskają na produkcyi artystycznéj warszawskiéj pewną specyalną cechę. Polega ona, obok wybitnego kierunku w sferze zadań malarskich przez wybór odpowiednich motywów, na żywszéj koloryzacyi z jednéj strony, z drugiéj zaś na zbyt może wielkiém uogólnianiu, na szukaniu w ogóle dzieła jedynie wewnętrznego wyrazu i działania przez to na widza efektem obrazu ogólnym.

Józef Chełmoński należy do postaci w naszéj sztuce ogromnych, o potężnéj indywidualności i szerokiéj sferze twórczości artystycznéj. On pierwszy sięgnął ręką wprost do naszego życia współczesnego, czerpiąc z szerokich nad niém obserwacyi treść istotną swych obrazów, odtwarzając je w ruchu i spokoju, burzy i pogodzie, w wielkiéj rozmaitości motywów, oddanych zawsze z siłą, opartą na samodzielném spostrzeganiu i wielkiéj, subtelnéj wrażliwości. W młodzieńczym okresie tworzenia lubował się w obrazach o życiu podnieconém, ruchu doprowadzanym do krańcowéj energii, — w dzisiejszéj epoce zupełnéj dojrzałości zapanował w nim spokój artystyczny, zamiłowanie do motywów nadzwyczaj prostych, chociaż w prostocie swéj pełnych charakteru i szerszéj poezyi.

Technika jego posiada wielką zwięzłość, prostotę i dosadność epicką, dążącą do wyrażania się rysami prostemi, pozbawionemi wszelkiéj technicznéj minoderyi, drobiazgowéj kokieteryi wirtuoza technicznego, rozbijającego obraz na setki drobnych odcieni, będących same

sobie celem. Jego każdy rys dąży wprost do celu i mówi do nas prawdziwym językiem przyrody.

Dosyć przejrzéć prace jego wystawione w roku ubiegłym, niedościgające zresztą wyjątkowéj siły obrazów takich, jak poprzednie „Kaczeńce“, aby spostrzedz, jak bogatą jest u Chełmońskiego obserwacya, pomimo skierowania się ku motywom jaknajprostszym, jaknajspokojniejszym. Co obraz, to inny ton, inny zakątek przyrody, inny motyw oświetlenia, słowem—nic z maniery powtarzającego się rutynisty, lub malarza ubogiego w koncepcyi, a co za tém idzie, powtarzającego któryś ze swych motywów najudatniéj wykonanych.

Każdy obraz Chełmońskiego jest dziełem, odbijającém w sobie bezpośrednie wrażenie z jakiéjś chwili w naturze, z jakiegoś chwilowego objawu jéj życia.

Oto „Kuropatwy“, stadko charakterystyczne zgłodniałego ptastwa, szukającego pożywienia skąpego w mglisty poranek zimowy. Spokojne „Jezioro pod lasem“, „Czapla Bąk“ zapadająca między szeroką smugę moczarów, oto zakątek zarosły trzciną, majaczący się we mgle porannéj, „Księżyc zachodzący“ w noc przesiąkniętą wilgocią, woda szorująca przygodnym nurtem po „Zalanéj łące“, to znów „Sójka“, która siadłszy na gałęzi młodéj choiny, sypie z niéj mimowoli kurzawę opadającego śniegu. Wszystko to są obrazy, należące do jednéj rodziny artystycznéj bezwątpienia, do jednego twórcy widocznie, a jednak wszystkie w wyrazie najzupełniéj rozmaite, chociaż wydobyte jednemi środkami malarskiemi.

Tym, którzy pamiętają czarne, rozhukane rumaki Chełmońskiego, lub sceny wiejskie, tchnące rubaszną zamaszystością i bogactwem typów, dziwnym się nawet wydaje spokój ujęcia przyrody, panujący w jego dziełach, robiono mu nieraz wymówki za zbytnie ograniczenie sfery, za pewną fragmentowość krajobrazu, nie rozwijającego się w szerszą kompozycyę. Właściwie jednak nawet w tém ograniczeniu, wobec przytoczonéj rozmaitości, widać całą obszerność artystycznéj skali Chełmońskiego.

Jak już wspominałem, wywarł Chełmoński wpływ ogromny nietylko na rówieśników, lecz i na młodszych znacznie malarzy i jeżeli można o jakimkolwiek wpływie indywidualnym mówić jako o rzeczy dodatniéj, to ten był takim z pewnością. Nie leżał bowiem wcale w osobistéj manierze, co zwykle jest dla otoczenia zabójcze, lecz w pociągnięciu w pewną sferę motywów do wspólnéj naturalnéj skarbnicy i w przykładzie wypływającym z jego obrazów, że w drobnych napozór zadaniach tkwić może dużo wyrazu artystycznego. To też wszyscy artyści, na których odbiła się ta część wpływu Chełmońskiego,

zachowali pomimo niéj swoją indywidualną fizyognomię malarską daleko wyżéj, niż kilku rówieśników, kopiujących go zbyt powierzchownie.

Jednym z artystów, na których leży czasem jakby refleks od Chełmońskiego, jest Ryszkiewicz, malarz rzeczywiście utalentowany i wogóle samodzielny. Patrząc jednak na jego „Noc księżycową“, mimowoli przychodzi na myśl duchowe z Chełmońskim pokrewieństwo. Nie jest-to jednak świadome naśladownictwo, obraz bowiem posiada wyższą artystyczną miarę i rysy indywidualne autora, lecz sam wybór motywu, pewien rodzaj jego poezyi, a nawet do pewnego stopnia technicznego ujęcia wspólność tę wykazuje. „Noc“ jest obrazem bardzo dobrym z dużém poczuciem poezyi księżycowego światła, autor zaś jego artystą wrażliwym i poszukującym, co się z zestawienia tegorocznych obrazów ujawnia. Widocznėm jest mianowicie silne wahanie się w koloryzacyi. „Noc“ tonowana jest spokojnie w tonach złamanych, „Miasteczko Wilkija“—krzykliwie, na obrazku „w Parku“ tonowanie żywsze umiejętnie złamane przypomina tego rodzaju prace francuskie, w „Kurnéj chacie“ zaś dziwne połączenie surowego podkolorowania tonami pierwotnemi na ciemniejszym podkładzie wywiera wrażenie pewnego dyssonansu. Wahania te jednak, dowodzące wrażliwości, lecz i coraz nowych dążeń, doprowadziły artystę do zupełnéj równowagi, któréj wyrazem jest świeżo wysłany zagranicę „Zjazd“, obraz bardzo dobry, nawskroś oryginalny, subtelnie tonowany, lecz jako dotąd w Warszawie nie wystawiony, wymykający się tutaj z pod szerszego rozbioru, na jaki niewątpliwie zasługuje. Zaznaczę tylko, że w karyerze artystycznéj Ryszkiewicza obraz ten będzie bardzo znaczącym, jako wyraz zupełnéj dojrzałości artystycznéj.

Artystę, z którego pracami często tego roku spotykaliśmy się na wystawie, a który, pomimo naleciałości, o jakich na początku wspomniałem, wykazuje znamiona młodego a dzielnego talentu, jest Józef Rapacki. Prawda, że pogląd na naturę, a zwłaszcza wybór niektórych jéj momentów, zatrąca często Chełmońskim, a koloryzacya nieraz zbyt barwna i przebłękitniona uprzedza odrazu o impresyonistycznėm pochodzeniu; lecz widocznėm jest także, że z Chełmońskiego przejął on tylko upodobanie do motywów prostych i skłonność do wyrażania ich w rysach ogólnych, za pomocą środków bardzo prostych, jak to widać szczególniéj w krajobrazie z księżycem wschodzącym ponad rozlanemi wodami, lub w „Nocy zimowéj“. Téż same obrazy, jak również i duże malowidło „Za miastem“, może służyć za przykład wspomnianéj wyżéj koloryzacyi przesadnéj.

Z tém wszystkiém jednak, z każdego obrazu bije usposobienie

artystyczne, szukające wzruszeń w saméj naturze, szczere w wyrazie, co wszystko znamionuje talent rzeczywisty. Do wyższéj zaś skali artystycznéj przeszkadza mu dotąd nie technika sama, bo poczucie jéj posiada Rapacki w stopniu wysokim, lecz brak liczniejszych i bardziéj opracowanych studyów, pod których wpływem talent ten musiałby zmężniéć niewątpliwie i wyjść z obecnéj fazy raz udatnéj, raz nieudatnéj doraźności.

Sama bowiem wrażliwość i poczucie, które w takim stopniu, jak widać je naprzykład w danym krajobrazie o dzielnym zamachu „Za miastem“, lub w obrazie konkursowym „Pod figurą“, nie wystarcza. Należy technikę przez studya wzmocnić, a nieodłączne od dobrego studyowania pogłębienie obserwacyi niewątpliwie dobre wydałoby owoce, i zrównoważyło surowe nieraz tonowanie, naleciałe od impresyonizmu. Impresyonizm ten, importowany do nas przed paru laty, posiada już swoję historyę, i można dziś dostrzedz tak skutki jego wpływu, jak i fazy, w których sam obecnie się znajduje. Na spokojne tło malarstwa warszawskiego rozrzucił się on w plamach jaskrawych, barwnych, niezrozumiałych, wywołujących jednak zainteresonie tak bezwzględnością swoją, jak i całą odmiennością typu. Zainteresowanie to przeniosło się do prasy, w któréj zakipiało od toczonych koło impresyonizmu sporów. Powiedziano nawet z tego powodu wiele rzeczy dobrych o malarstwie wogóle, samą jednak istotę impresyonizmu teoretycznie zepchnięto do znaczenia tylko technicznego, odmawiając mu prawa nazywania się kierunkiem, jak każdemu ruchowi, którego istota obraca się około środków, nie około celów. I tu właśnie popełniono omyłkę i przyczyniono się do utrwalenia pojęć popularnych, choć nie ścisłych. Jeżeli bowiem pogląd taki można stosować do większości przedstawicieli kierunku tego w Warszawie, to niezawodnie w miejscu pochodzenia i znaczenie jego i geneza jest inną. Impresyonizm bowiem powstał we Francyi jako reakcya przeciwko naturalizmowi, opiérając się głównie na zasadzie subiektywizmu, któréj tamten całą siłą się wypierał. Wyosobnianie więc jaknajsubtelniejsze rysów subiektywnych, jako cecha zasadnicza, zdolne jest w saméj rzeczy podnieść prąd do znaczenia kierunku, gdy jednocześnie traktowanie impresyonizmu, jako techniki, dążącéj za pomocą silnie barwnych kombinacyi do przedstawienia realnego obrazu rzeczy w logicznéj konsekwencyi tylko techniczne znaczenie mu przyznaje.

Do nas w dziełach Pankiewicza i Podkowińskiego impresyonizm zawitał w swojéj rzeczywistéj, dalekiéj od realizmu formie, a nadto w typie prawie jednakowym. Po paru latach działalności różnice uwydatniły się dosyć silnie. Daleko wierniejszym pierwotnemu kie-

runkowi pozostał Pankiewicz, który obrazy swoje oparł przeważnie na kolorze. Jego „Praczki“, „Południe“, „Staw zarosły“, mogą być niezrozumiałe, mogą ulegać surowéj krytyce, zmuszają jednak do zauważenia jednolitości w punkcie wyjścia, jednolitości dążeń. Wszystkie one ujawniają dążenie do pochwycenia drgania przesłoniętego światłem powietrza lub słonecznego światła w tonach rozbitych, bardzo jasnych i lekkich, a nadto odznaczają się téż jednolitością techniczną. Jeżeli nie przekonywają siłą wyjątkowych rysów indywidualnych, to jednakże wykazują silne pokrewieństwo z sobą, stanowiąc rzeczywistą rodzinę o pewnym stałym charakterze. Ostatni obraz, „Stare miasto w nocy,“ przekonywa rzeczywistą siłą, lecz tutaj daje się zauważyć pewne odchylenie ku realizmowi.

Prace Podkowińskiego przedstawiają zupełnie co innego. Od „Kobiét grających w bilard“ i „Portretu Czesława J.“ do portretu damy w czarnéj sukni, przebiegł Podkowiński całą gammę ustępstw na korzyść istotnego wyglądu przedstawianéj rzeczy. Z krajobrazów najlepszym był „Agrest“ najbardziéj do prawdy zbliżony; w portretach zaś damskich, których trzy kolejno wystawił, różną téż przebiegł drogę. Pierwszy, niebieskawy na tle zieleni, wykazywał dążenie przeważnie kolorowe, drugi, w kolorze słaby, posiadał wysokie zalety w rysunku głowy i wyrazie całéj postaci, trzeci zaś, pod względem natężenia barw oddzielnych mocno umiarkowany, dał całość dobrą, w któréj strona kolorowa z plastyczną nie czyni rozdźwięku, owszem harmonizuje dobrze; ale to jest już ogromném ustępstwem na rzecz sztuki realistycznéj. Wogóle zauważyć należy w Podkowińskim prawdziwie dzielną zdolność do rysunku i plastyki, w które wiele wkłada życia, wyższą daleko od zdolności kolorystycznéj, dotychczas świetniéj nie wykazanéj; charakter zaś prac jego ostatnich nie jest natury wyłącznie impresyonistycznéj, lecz pozwala właśnie na określenie go jako technikę dosyć barwną, skierowaną do zadań realnych.

Dodać tu należy, że Podkowiński w ciągu ostatniego roku wystawił prac dużo, żadna z nich jednak nie nosi oznak zmęczenia, przeciwnie wszystkie tchną pewną świeżością. Dowodzi to żywotności talentu i jest zadatkiem szybkiego rozwoju.

Impresyonizm, jako kierunek, od czasu pojawienia się nie zagarnął licznego grona adeptów, prócz bowiem Pankiewicza i Podkowińskiego do impresyonistycznych obrazów i to z powodów technicznych jedynie, zaliczyć można „W słońcu“ Bielskiego i parę krajobrazów Szpądrowskiego, (Wyczółkowski stoi samodzielnie po za tym ruchem). Jednak wpływ podniesionéj skali w koloryzacyi i dążeniu do jasności tonu, wpływ z punktu malarskiego bardzo korzystny, odezwał się w dziełach

wielu artystów, jak: u Pawliszaka, zabarwiającego mocniéj swoje sceny wschodnie, w wykazujących zdolność krajobrazach Popowskiego, w obrazach Kędzierskiego „Z Polesia“ i „W porębie,“ u Masłowskiego, w specyalnie na silny efekt koloru obliczonym obrazie „Przed poborem“ a nawet „W ogrodzie“ Maszyńskiego, który jednak koloryzując żywiéj i jaśniéj nie zatracił swéj typowéj ścisłości rysunkowéj.

Z grupą tą, z racyi zabarwiania obrazów tonami o silném natężeniu, ściśle związany jest Leon Wyczółkowski, talent pierwszorzędny, niezwykle śmiały i samodzielny. Jest to kolorysta urodzony, w barwności posuwający zamiłowanie do wysokich granic, do prawdziwéj namiętności niemal. W sferze zjawisk obchodzi go to tylko, co polega na zabarwieniu silném, kontrastach mocnych, oświetleniu efektowném dającém możność posunięcia przeciwieństw do ostateczności. Więc téż obrazy jego, jeżeli to są sceny we wnętrzach, jak „Zwierzenia,“ muszą posiadać przepych kolorowych akcesoryi, jeżeli zaś na powietrzu, to jak „Rybacy“ grać kontrastem tonów gorących i chłodnych nadwieczornego oświetlenia, jak „Kopanie buraków“ uderzać siłą oświetlenia sceny wziętéj pod światło, lub jak „Wesołe pacholęta“ mienić się zarówno kontrastami oświetlenia słonecznego jak i grą różnobarwnego ukostiumowania układającego się w silne barwne plamy. Lecz zaciekłość kolorystyczna unosi go nieraz aż do pominięcia tonów pośrednich, wskutek czego efekt ogólny pomimo wielkiéj siły jest czasem krzykliwy, jak np. na „Rybakach“ gdzie brawura w podniesieniu skali tonowania dochodzi do *maximum*; efekt ogólny atoli niedosyć harmonijny. Traktowanie tych obrazów jest niezwykle dzielne i wykazuje przymioty wysokie, do których w pierwszém miejscu zaliczyć należy ogromny temperament malarski i zupełną samodzielność, dla któréj trudno byłoby odnaleźć pierwowzorów.

Młodsze przeważnie siły stanęły do turnieju na konkursie w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych, który właśnie w trzyletniéj kolei wypadł na styczeń roku bieżącego. Z przeszło trzydziestu jednak obrazów jak w każdym plonie konkursowym, kilka tylko wybiło się na wierzch już to z powodu indywidualności autorów już przez wyższe wyrobienie techniczne.

To ostatnie zapewniło pierwszą nagrodę Zdzisławowi Jasińskiemu za „Nabożeństwo w kościele,“ obraz dużych rozmiarów, malowany z wielką wprawą techniczną, niższy jednak znacznie pod względem zalet malarskich od znanéj tegoż artysty „Choréj matki.“ „Nabożeństwo“ przedstawia grupę ludu śpiewającego suplikacye przed wyruszeniem procesyi, wśród dymu kadzideł, przed stopniami ołtarza, którego już jednak na obrazie nie widać.

Zaletę obrazu, jak już nadmieniłem, stanowi umiejętność obchodzenia się z dużym obrazem i śmiałość traktowania. Śmiałość ta jednak nie polega na wyjątkowym temperamencie malarza, lecz obok istotnego wyrobienia na komunalności pojęcia tak pod względem charakteru jak koloru obrazu.

Jeżeli bowiem charakter ogólny sceny dobrze jest utrzymany, to typom brak zupełnie rozmaitości, co silnie uderza zwłaszcza w postaciach kobiécych modelowanych widocznie z jednego oryginału. W kolorze zaś zbyteczne przesycenie asfaltem nadaje wprawdzie tonowi pewną jednolitość, pozbawia go jednocześnie prawdy i wywołuje monotonię.

O odznaczonym drugą nagrodą portrecie Podkowińskiego wspomniałem już, mówiąc o tym artyście. Jest to portret bardzo dobrze skomponowany i przedstawiający pod względem koloru szczęśliwą i scharmonizowaną całość. Połączenie ciała, czarnéj sukni i żółtego tła jest motywem kolorystycznie bardzo wdzięcznym w założeniu i dobrém wykonaniu. Plastyka, jakkolwiek pełna życia, nie jednostajnie równa, zyskałaby również na subtelniejszym rysunku rąk, w kolorze razi również pewne przeróżowienie twarzy. Całość jednak, powtarzam, jest artystyczna, tchnąca życiem i stanowi w karyerze artystycznéj Podkowińskiego dobrą kartę.

Panu Pawłowi Rozenowi robiono zarzuty, że obraz jego przedstawia tylko kury. Tak jest, są to tylko zwyczajne kury, chodzące na małym zakątku ocienionéj ziemi. Pomimo to obraz to bardzo dobry, lepszy od wielu obrazów z ludźmi konwencyonalnie malowanymi. „Kury“ pana Rozena ruszają się rzeczywiście w przezroczystym i lekkim cieniu, a zadanie czysto malarskie obrazu, o jasnéj powietrznéj dali osiągnięte w zupełności. Najwyższą jednak zaletą obrazu tego jest prawdziwie malowniczy i dobrze scharmonizowany ton ogólny wykazujący i odczucie tonu i dobre malarskie intencye.

Innym zupełnie tonem, wynikającym z innego założenia, odznacza się Kędzierskiego „Astronom wiejski“. Na obrazie panuje noc pogodna, wśród któréj pastuszek wiejski zapatruje się w usiane gwiazdami niebo. Jest w tym obrazie, pomimo surowych tonów u dołu, dużo poezyi, polegającéj na swojego rodzaju spokojnym nastroju. „Kury“ i „Astronom“ otrzymały nagrody trzecie.

Kilka jeszcze obrazów z tego plonu konkursowego wyróżnić trzeba. Do takich należą bezwątpienia „Słoneczny krajobraz“ panny Stankiewiczówny, niezwykle zdolnéj i dzielnéj artystki. „Świt“ Popowskiego, krajobraz rzucony w rysach ogólnych, szerokich, lecz poetycznych. Pawliszaka „U wrót Mingli Girej Hanaj,“ obrazek

wschodni efektownie oświetlony, nareszcie „Morskie Oko“ Mroczkowskiego, krajobraz bardzo skończony i w dalszych planach prawdziwy, popsuty jednak konwencyonalnością pierwszego planu.

Drugi konkurs, z nagrodą z zapisu Kurjerowa, rozstrzygnięty 19 marca, powołał do współubiegania się daleko mniejszą liczbę artystów i zgromadził mniéj dzieł wybitniejszych. Były i tu jednak rzeczy znacznie wyróżniające się od innych wyższą artystyczną wartością. Do takich zaliczyć wypada „Przed poborem“ Masłowskiego, obraz nie mogący zadowolnić jako całość, szczególniéj ze względów rysunkowych, wyglądający jednak na objaw rzeczywistego talentu przez silny i śmiały, ogólny efekt koloru, ku czemu widocznie skierowały się wszystkie intencye artysty.

Radziejowskiego „Sierota“ posiada dużo wyrazu i odznacza się dobrze rysowaną postacią niewieścią i tonem ogólnym, mdławym lecz harmonijnym. Maszyńskiego „Ofiarowanie“ jest osnute na tle rodzinnego życia naszego z wieków minionych, należy więc do ulubionych przez tego artystę motywów. W obrazie tym o doskonale malowanym wnętrzu zarzucić można małą ruchowość postaci i zbyt jednostajne wykończenie, rozpraszające całość.

Wreszcie Podkowińskiego „W miasteczku“ jest obrazem bardzo dobrze skomponowanym i rysowanym, jako utwór jednak, zaczęty przed kilku laty a skończony obecnie, po zupełnym w poglądach na malarstwo przełomie w pojęciach artysty, posiada ten właśnie wyraz jakichś koncesyi dla obu kierunków, na czém wartość artystyczna mocno szwankuje.

Na konkursie, o którym mowa, odznaczono nagrodą Popiersie w marmurze, wykonane przez Olesińskiego starannie, ale w szczupłych granicach, nieprzekraczających powszedniości.

Z młodszych artystów, silnie krokiem naprzód postąpił Badowski, którego portret męski wystawiony ostatnio obudził ogólne zainteresowanie, zarówno dobrą plastyką i charakterem, jak kompozycyą swobodną, nie cofającą się przed trudnościami światłocienia w oświetleniu specyalném. Nadto w traktowaniu, znać większą męskość, zgodną szczególniéj tutaj z naturą osoby portretowanéj. Jeżeli dodamy jeszcze Jasińskiego Zdzisława „W ogrodzie,“ obraz o przesadnéj brawurze i skromniejsze lecz znacznie lepsze „Rozdawanie zupy,“ „Zamawianie“ Zarembskiego, odznaczające się właściwą temu malarzowi prostotą, parę polowań Wejcherta, nie dosyć jeszcze samodzielnych lecz zapowiadających talent prawdziwy, kilka krajobrazów Owidzkiego, wreszcie „Chłopca na łące“ Lentza, i szereg pasteli Loevy'ego, to zamkniemy tém zarys ruchu jaki się przedstawił w młod-

széj tutejszéj generacyi. W ruchu tym trudno byłoby znaleźć utwory bardzo wybitne, lub téż nowe wytyczne, jednak w prowadzeniu daléj określonych bliżéj kierunków czuć wybitnie, że skupia się tutaj ruch świeży, który na charakterze produkcyi malarskiéj Warszawy, kładzie znamienne piętno. Do téj również gruppy, z powodu artystycznego pokrewieństwa dołączyć należałoby widok z Paryża, de Laveau, trzymany w powietrznym jasnym tonie.

* * *

Nazwisko Kazimierza Pochwalskiego rozbrzmiéwa dziś po Niemczech, zwłaszcza po ostatnich wielkich wystawach w Berlinie i Wiedniu, gdzie odznaczony złotemi medalami, jednozgodnie okrzyknięty został za jednego z najlepszych portrecistów współczesnych. Reputacya to w zupełności zasłużona. Portrety męzkie Pochwalskiego, pomimo pewnéj twardości i średnich kolorystycznych zalet, posiadają siłę wysoką, plastykę ogromną, charakterystykę dobrą.

Tchnie z nich rzeczywista siła męzka, daleka wprawdzie od wszelkiéj miękkiéj wytworności, lecz uderzająca pewnością i zdrowiem.

Portret, wystawiony tego roku w Warszawie, posiada wszystkie te cechy, zbliżające Pochwalskiego do słynnego francuskiego Bonnata, z którym ma istotnie dużo pokrewieństwa. Wybitnym téż, pod względem plastyki i ogólnéj harmonii obrazu, jest portret damy w futrze krytém zielonym aksamitem, malowany przez pannę Bilińską, wielce wytrawną artystkę, któréj poważna karyera artystyczna może być wzorem dla poświęcających się malarstwu kobiét, w têm zupełném owładnięciu techniką malarską, nadto w portrecie, czyli najtrudniejszym rodzaju sztuki. W dzisiejszym portrecie jest wysoki smak skończonego artyzmu, daleki od owych nieśmiałych i surowych prób z przed lat dziesięciu, od których artystka przebyła olbrzymią drogę. Portret, o którym mowa, na zeszłoroczném wystawie powszechnéj w Berlinie otrzymał medal złoty.

Wysoko podniesiono u nas trzy obrazki Siemiradzkiego, zaczerpnięte jak zwykle ze świata starożytnego. Zagranicą wystawione téż same obrazy zupełnie nie miały powodzenia, co jest słuszniejszém, u nas bowiem zbyt się ulega powadze raz wyrobionéj reputacyi. W obrazkach tych widnieje wprawdzie cała biegłość wirtuoza, cała błyskotliwość środków, używanych z wytrawną zręcznością, — pomiędzy obrazami jednak Siemiradzkiego są to obrazy należące do najsłabszych, nie zapłodnionych świeższą intuicyą. Można je traktować

tylko jako bardzo zręczną przeróbkę tych samych motywów dokonaną bardzo na chłodno. Rysunek i typy figur coraz bardziéj ujawniają rutynę a jednostajny ton wszystkich obrazów, pomimo różnicy chwil w przyrodzie, dowodzi w kolorystycznym punkcie wyjścia pewnéj konwencyonalności. Wystawiony przez tegoż artystę duży obraz „Apoteoza Kopernika“ należy w tym rodzaju kompozycyi, najwłaściwszym może dla talentu Siemiradzkiego, do kompozycyi mniéj udatnych, nie uderzających żadnym świetniejszym pomysłem malarskim, oprócz zwykłéj gry tonów przyjemnych i wielkiéj biegłości w malowaniu.

Niesłusznie również przeszła krytyka po porządku dziennego nad obrazem Gierymskiego „Baba czuwająca przy trupie.“ Mógł się ten obraz nie podobać z niezbyt ponętnego motywu, z tonu ciemnego, majaczącego wnętrza, z ogólnego wyglądu obrazu oddalającego się od typu doby ostatniéj, posiada on jednak tak wysokie zalety malarskie, że niepodobna wysoko ich nie podnieść. Przedewszystkiém ów ton ciemny, majaczący, przeprowadzony jest z taką subtelnością i mistrzostem, że samo to, a co właściwie stanowiło główne zadanie malarskie, wystarcza, aby obraz ten uznać za dzieło wybitniejsze.

Zgodzić się także trzeba na to, że akwarella Fałata „Przed obławą“ należy do dzieł niepospolitych. Wyborny układ obrazu, wykazujący bezpośrednią obserwacyą, został poparty szeregiem postaci typowych, pełnych wyrazu, na tle zimowém śniegu i lasu w oświetleniu słoneczném. W niczém może dotąd Fałat nie stworzył tak harmonijnéj, jasnéj całości, w żadnym do tego stopnia prawdy nie dotarł, nie mówiąc już o dobrém wywiązaniu się z tylu na raz postaci i dzielnym, pełnym ekspresyi ich rysunku.

Ekspresyą wyrazu odznacza się również Szymanowskiego „Z kościoła,“ zwłaszcza zaś szczerym uśmiechem, który Szymanowski podpatrzył z natury i tajemnicę jego zbadał. Postaci góralek i górali w tym obrazie śmieją się śmiechem rzeczywistym, nie pozują. Całość, zamierzona jako *plain-air*, lecz niedostatecznie w nim utrzymana, szwankuje również w przesadnym ruchu i niesmacznych proporcyach grupy drugoplanowéj.

Stachiewicz utalentowany i pomysłowy rysownik, którego prace odznaczają się specyalnym powabem, nie ma szczęścia do obrazów olejnych. Przyczyną tego jest zapewne inny punkt wyjścia, konieczny do zręcznego szkicu jednym kolorem a do obrazu, wymagającego wielostronniejszego pogłębienia.

Widać to doskonale w obrazie jego ostatnim żebrak z kozą, w którym kompozycya, sama doskonale pomyślana, wyszła by bardzo dobrze z reprodukcyi czarnéj lub poważniejszém opracowaniu kolorowém. W tym stanie jak go wystawiono, jest to obraz chybiony pod względem malarskim. Ton wieczorny konwencyonalny, konwencyonalny téż krajobraz mało przypominający naturę, a już najbardziéj nieudany jest teren złożony z plamek kładzionych szykownie, lecz niczem nie usprawiedliwionych.

Do prac bardzo udatnych, wykonanych przez artystów, po za granicami Warszawy przebywających, należy téż pastel Pruszkowskiego, przedstawiający efekt zachodu w śnieżnym krajobrazie, zabarwiony subiektywnym tego malarza sentymentem.

Jeżeli do obrazów, o których mówiłem, dodamy tęgi krajobraz górski Gersona, kilka krajobrazów Brochockiego, posiadających zalety kompozycyjne, „Świętą rodzinę“ Piątkowskiego, kilka krajobrazów i jedną większą postać Alchimowicza, obrazki Wolskiego, Oknińskiego, Andrychiewicza, Wywiórskiego, Szwojnickiego, Piotrowicza, Kaniegowskiéj, to otrzymamy zarys sił, których produkcye przesunęły się ubiegłego roku przez warszawskie wystawy. Do zapowiadających się talentów należy także zaliczyć Lanczkę, młodego rzeźbiarza, zwłaszcza bacząc na jego terrakotę p. t. „Czarna dusza.“

Z zarysu niniejszego widać, iż rok ubiegły nie był bogaty w dzieła pierwszorzędnéj doniosłości, jakkolwiek dał nam widzieć rzeczy wybitne. Zauważyć natomiast można pewien daleki od zastoju ruch, poszukiwania bądź to osobiste bądź to wspólne, wytwarzające pewien prąd. A już na największy dorobek zapisać należy zmężnienie kilku młodszych talentów, jak: Ryszkiewicza, Podkowińskiego, Rapackiego i Badowskiego.

* * *

Wypada mi jeszcze wspomniéć o sprowadzonych do nas obrazach malarzy zagranicznych. Oba wielkie płótna, wystawione kolejno „Aleksander Macedoński“ Simoniego i „Przerwany pojedynek“ Parlade'go nie dorastają zupełnie ostatniego z wybitniejszych sprowadzanych obrazów, „Biczowników“ Marr'a. Aleksander W. to uplastycznione podanie o spaleniu Persepolis na żądanie ulubienicy, odtworzone po akademicku, z dużą rutyną, już w obecnéj chwili archaiczną. „Przerwany pojedynek“ zaś, przypominający bardzo w układzie wy-

stawiony przed paru laty téjże treści obraz Owidzkiego, wygląda na dużych rozmiarów ilustracyę do czegoś w stylu „Właściciela Kuźnic,“ nie pozbawioną zalet malarskich w akcesoryach, wykazującą jednak pracowniane pochodzenie sceny odbywającéj się na powietrzu, a co za tém idzie, pełną pod względem oświetlenia niekonsekwencyi. Obraz ten żadną miarą do wybitnych zaliczony być nie może.

O obrazach E. Van-Hove'go „Czary“ i kilku innych zagranicznych nic bardzo pochlebnego powiedziéć się nie da.

*Ołówek.*





# Stanisław Grochowski.

(Ks. Stanisława Grochowskiego Żywot i pisma. Napisał Adam Bełcikowski Studyum literackie, uwieńczone nagrodą na konkursie Bredkrajcza przez Towarzystwo przyjaciół nauk poznańskie. Lwów-Warszawa. T. Paprocki. 1892, str. 251).

Zygmuntowski okres literatury naszéj, uchodzący w mniemaniu ogółu za najlepiéj ze wszystkich dawnych znany i opracowany, nie jest bynajmniéj w tém szczęśliwém położeniu, żeby już o nim nic dziś nowego powiedzieć się nie dało. Jak każdy ustęp dziejów ulegał i ulega różnorodnym poglądom, wynikającym czy to z całkiem jednostkowego punktu widzenia, czy téż z nastroju chwili, w któréj badacz pracuje; tak i złota doba naszego piśmiennictwa w ostatnich dwudziestu kilku latach z tak odmiennych stron przedstawioną nam została przez wielu krytyków, iż wyobrażenie o niéj inne jest obecnie, aniżeli było niedawno jeszcze temu. Prace Chlebowskiego, Finkla, Löwenfelda, Morawskiego, Nehringa, Szujskiego, Tarnowskiego, Wisłockiego i innych, tyle wskazały nam rzeczy lub widoków świeżych, poprzednio nieuwzględnianych i pomijanych, że ktoby chciał dzisiaj wystawiać sobie tę epokę według Wiszniewskiego czy Maciejowskiego, popełniłby myślowy anachronizm.

Zapewne, przesadą byłoby twierdzenie, że nawet główne, zasadnicze zarysy téj epoki zostały zmienione przez nowsze badania; lecz to nie ulega wątpliwości, że zarysy te inaczéj są obecnie cieniowane. a w szczegółach zachodzą bardzo ważne i znamienne różnice. I ogólnie powiedzieć można, iż nie wszystkie na korzyść téj doby literackiéj. Dawniéj wielbiono ją bezwzględnie i ryczałtowo; teraz przy do-

kładniejszém krytycznêm wyświetleniu nietylko jéj zakątków, ale i miejsc najwidoczniejszych, uwydatniono słabe jéj strony i lubo wcale nie zaprzeczono jéj stosunkowéj świetności, to przecież ochłonięto znacznie z pierwiastkowego podziwu.

Z jednym przyczynkiem więcéj do wyrobienia sobie lepszego pojęcia o owych czasach pod względem literackim wystąpił i p. Adam Bełcikowski, uprawiający naprzemian lub równocześnie niwę dramaturgiczną i krytyczną. Badacz to sumienny i gruntowny; przed laty 25-u docent historyi literatury polskiéj w Szkole Głównéj wykładający o pisarzach wieku XVII, miał stale zwróconą uwagę na autorów naszych dawniejszych i nowszych; co się wyraziło szeregiem studyów i szkiców, zebranych pod ogólnym napisem: „Z dziejów literatury polskiéj“. Obecnie mamy obszerną jego rozprawę o Stanisławie Grochowskim, która do ustalenia pojęć o tym poecie przyczynić się może w wysokim stopniu.

I.

Zmienne było szczęście Grochowskiego w dziejach piśmiennictwa naszego; stawiano go wysoko, to zapominano go tak mocno, że go z całkiem inną osobistością, arcybiskupem lwowskim, mieszano. Założyciel naszéj historyi literatury, Szymon Starowolski, piszący za świeżéj jeszcze pamięci zmarłego w r. 1612 poety, wystawił mu bardzo chlubne świadectwo, mówiąc, iż był „w wierszu polskim bardzo sławny i po Kochanowskim pierwszy zapewne“. Ale w sto lat potém Niesiecki już go robi arcybiskupem, a Krasicki w dziele „O rymotwórstwie i rymotwórcach“, przyjmując tę kwalifikacyą, mieści Grochowskiego pomiędzy słabemi wierszopisarzami wieku XVII (Ustrzyckim, Bardzińskim) i poprzestaje na suchém wyliczeniu kilku tytułów pism jego, żadnego zgoła sądu o nim nie wydając; prawdopodobnie wcale go nie czytał. Dopiéro znów Juszyński w swoim „Dykcyonarzu poetów polskich“ sprostował pomyłkę Niesieckiego i tych, co za nim poszli, podał dokładniejsze, lubo niezawsze prawdziwe, szczegóły z życia Grochowskiego, wymienił znaczną liczbę jego utworów, zamieścił o nich zdań kilka, które następnie albo dosłownie powtarzane, albo frazeologicznie tylko zmieniane, długo się przechowywały w podręcznikach dziejów piśmiennictwa naszego i do dziś dnia po nich się jeszcze tułają. On to zwrócił uwagę na to, że rzadko który poeta polski tyle ośmiozgłoskowym wierszem napisał, co Grochowski. On to pierwszy dojrzał we wszystkich tegoż dziełach „niezmierną łatwość“ i osądził, że „rozrzucone dosyć gęsto piękne i wysokie myśli, szczęśliwe i prawdziwie poetyczne obrazy dosyć częste, dokładne

i pracowite tłómaczenia słusznie mu między lirycznemi poetami jednają miejsce; gdzie zaś nie jest poetą i wiersz niedbały, tam zaleca go czystość mowy“. On-to pierwszy zachwycał się tłómaczeniami hymnów kościelnych, dokonanemi przez Grochowskiego, powiadając: „To dzieło dowodzi, jak bogatym jest nasz język, kiedy wielu hymnów prawdziwie pindaryczna wysokość doskonale oddana, z równą mocą i podobnemi wdziękami... W przekładzie tych hymnów i pieśni kościelnych pokazał się Grochowski pracowitym i prawdziwym poetą, bo w wielu innych widać tylko łatwość i mało pracy“. On-to o zawartości „Wirydarza“, obejmującego tłómaczone z łaciny rymy o dziecińswie Chrystusa, wyraził się w sposób częściowo tylko pochwalny, a dla niego charakterystyczny: „Obok prostych, ale miłych wierszy, są dziwaczne i prawie nierozsądne, np. Pokłony osła z wołem, Uśmiechania się dziecięce i tym podobne“. On-to wreszcie dostrzegł, iż w „Nocach Toruńskich“, pisanych w ostatnich latach życia, „z wiekiem osłabła moc geniuszu, który dosyć się pięknie wydawał w innych dziełach“.

Od Juszyńskiego (1820) do Maciejowskiego (1851) przerabiano tylko te sądy, bardzo niewiele do nich dodając nowych spostrzeżeń.

Brodziński w wykładach swoich, mianych w uniwersytecie warszawskim, powtórzył je w znacznéj części; zaprotestował tylko milcząco przeciwko zdaniu o wartości pieśni, zawartych w „Wirydarzu“. Jego łagodna, uczuciowa, miękka natura podobała sobie w tych obrazkach, w których Bóg-człowiek przedstawiał się „pod ujmującą, dziecięcia postacią kosztującego z nami téj najwyższéj śmiertelnych słodyczy, to jest niewinności dziecięcéj“. Pieśni te „dziwnie piękne w swoim rodzaju“, napełniają go „miłém uczuciem” i wywołują uwagę bardzo trafną, świadczącą o zdolności krytyka do spółczucia psychologicznego: „Kto zna ducha pobożności chrześciańskiéj średnich wieków, owę trudną do wyrażenia miłość ku Chrystusowi i Maryi, około których życia i cudów ciągle imaginacya krążyła: ten pojmie ducha tego rodzaju poezyi i potrafi Grochowskiego ocenić“. W drobniejszych poematach treści świeckiéj mało widział wartości prócz gładkiego wiersza i czystego języka. Za najznamienitszy z nich uważa obszerną elegię na śmierć Jana Zamojskiego, szczególniéj zaś głos zmarłego do syna Tomasza o obowiązkach obywatelskich. Nie rozwodził się zresztą o tym poecie; w sposób bardzo oględny, ale przecież jasny wyraził zdanie, że o licznych jego poezyach „pod względem smaku“ nie ma nic do powiedzenia. Szczerze natomiast chwalił jego wiersze, mówiąc: „Nigdzie nie nadarzy się w Grochowskim wiersz twardy,

przymuszony i zbieg spółgłosek trudny do wymówienia: włoskim być się zdaje nasz język pod jego piórem".

Jan Majorkiewicz wielbił talent satyryczny Grochowskiego („Babie koło"), w poezyach religijnych dozwalał „smakować", okolicznościowym wierszom odmawiał wogóle wszelkiego znaczenia w literaturze, widząc w nich „zniedołężnienie myśli i brak mocy, obok pieszczotliwości wyrażenia". Ale natomiast paru ustępom w entuzyazmie swoim nie znajduje nic równego w dawnéj literaturze naszéj. Bywa to tam, „gdzie się prawdziwy głos duszy odzywa, gdzie uczucie się wznosi do przedmiotów poważnych, osób historycznych, np. w pieśni o Hołubku albo w niewypowiedzianie piękném przypisaniu poezyi swoich Mikołajowi Zebrzydowskiemu". W utworach tych, zdaniem Majorkiewicza, „jest rzewności tyle i tyle powagi, uroczystości, majestatu, że najpiękniejsze tego rodzaju ustępy w Kochanowskim ledwie się porównać dadzą z pełném prostoty odezwaniem się Grochowskiego". Ocena przesadna wartości estetycznéj Hołubka i dedykacyi Zebrzydowskiemu nie utrzymała się w literaturze krytycznéj, ale myśl zestawienia z Kochanowskim, choć z innego względu, nie przebrzmiała, jak zobaczymy, bez odgłosu.

Dziwném się wydać może, iż w tym wykazie nie wspominam najgłośniejszego dziejopisa literatury naszéj, Michała Wiszniewskiego; stało się to jednak z konieczności; autor ten bowiem, który w innych częściach dzieła swego złożył dowody krytycyzmu, ustęp o Grochowskim nakreślił pobieżnie, raczéj bibliograficznie, niż krytycznie, a prócz powtórzenia sądów Juszyńskiego, nawet dziwacznych, dodał od siebie tyle tylko, że w dłuższych poematach Grochowski „zaniedbuje się i w nudną wpada jednostajność", i że poeta ten pierwszy (?) przypomina sobie, że należy do narodu słowiańskiego, jakgdyby już u Kochanowskiego nie było wyraźnych w téj mierze wzmianek.

Dopiéro Maciejowski, lubo także wpływowi zdań Juszyńskiego w niektórych wypadkach ulegał (np. w ocenie „Wirydarza"), dał przecie pogląd nowy, własny, oryginalny. Przedewszystkiém zaliczył on Grochowskiego do pocztu pisarzy, obdarzonych „małém natchnieniem i sztuką", gładkich i czułych, ale „bez nauki i myśli", którzy stawszy się nieszczęśliwym rzeczy zbiegiem okolicznościowymi rymotwórcami „nie śpiewali tego, co chcieli, lecz co im podsunięto, a nawet kazano". Uzasadniając to twierdzenie, autor kładzie wielki nacisk na to, iż z zachęty rodziny Maciejowskich i poduszczenia jezuitów, tłómaczył na polski pienia religijne. „W owym wieku — powiada— starano się u nas usilnie o to, ażeby religijną poezyą jaknajwięcéj upowszechnić w Polsce; zwrócono więc uwagę na księdza Grochowskiego, który

bardzo wiele posiadał zdolności do robienia tłomaczeń wyborną polszczyzną. To było powodem jezuitom, że go uczynili przyjacielem swoim, którym on odpłacając się za doznane względy, pisywał pochwałę na celniejsze dzieła przez nich wydawane." Ta zależność poety od względów postronnych miała, zdaniem Maciejowskiego, zwichnąć talent jego, który był silnym w satyrze, a słabym w wyższéj liryce. Nie mogąc swobodnie pójść drogą sobie właściwą, Grochowski „z twórcy stał się naśladowcą, z wieszcza wierszopisem, równie płodnym jak Rej, lecz nie tyle co ten oryginalnym, aczkolwiek więcéj ogładzonym." Wytykając mu naśladownictwo to Kochanowskiego, to elegików rzymskich, to nawet wierszopisów polskich niższego rzędu, widzi w kilku poematach niejednę myśl piękną, niejeden obraz uderzający, ale „prawdziwie lirycznego ducha" dostrzegł tylko w dwu zwrotkach przypisania hymnów kościelnych „wielkiemu Bogu i Zbawicielowi." O przekładach samych hymnów i wogóle pieśni religijnych utrzymuje, że Grochowski jest w nich „gładki, czuły, tkliwy, niekiedy rzewliwy; ale pełza po ziemi, ani wznieść się, ani boskim zapalić ogniem nie umiejąc." Natomiast wysoko podnosi go jako „żartobliwego" satyryka w „Babiém kole." Ostatecznie formułując swe zdanie o tym poecie, wcale nie jest entuzyastyczny: „Gdyby nie język—powiada — którym władnie dzielnie, pisząc wdzięcznie i z mocą, nie stanąłby Grochowski w rzędzie pisarzów wzorowych i nie zasłużyłby na to, bym przynajmniéj niektóre pisma jego zalecał do przedruku. Uznaję być tego godnemi przekłady, z których Hymny i Prozy kościelne, tudzież Wirydarz i pisemko od nas po raz pierwszy ogłoszone drukiem (t. j. „Babie koło"), najwyżéj kładę. W nich albowiem pokazał się Grochowski rozognionym bogomyślcem (ascetą), w nich przedmioty świeckie umiał natchnąć religijnym duchem i nowe wlać w nie życie, w nich myślom płochym, marnościami tego świata uwiedzionym, zręcznie odejmował pokusę i wiedział, jak je zapalić na ołtarzu, w miejsce wonnego kadzidła. Jego satyra ma swą wartość i w filologicznym względzie. Jest bowiem napisana w mowie ludu, własnemi słowy przywodząc rozmawiające baby i dziady, jak radzą nad wyborem przyszłego biskupa, przedrzeźniając posłów ziemskich, którzy się długiemi i od rzeczy zbaczającemi mowami na sejmach popisywać lubili."

Pomimo tak surowego sądu o twórczości Grochowskiego, gdyż prócz tłómaczeń wyróżnione zostało tylko „Babie koło" z pomiędzy licznych poematów oryginalnych, samo pomieszczenie tego poety pomiędzy 18 wybranymi przez Maciejowskiego ze złotéj epoki pisarzami wpłynęło na wszystkich późniejszych pisarzy, iż stale mieścili go wśród grona wyborowych autorów. W ocenie estetycznéj nic się odtąd nie

zmieniło, gdyż autorowie podręczników nie zadawali sobie trudu w formułowaniu zdań swoich, lecz parafrazowali tylko rzecz gotową, a źródłowi badacze, albo się głównie zakrzątnęli około bibliografii, jak ks. Jan Drozdziewicz, albo też jak Julian Bartoszewicz i Sobieszczański, nie tyle się zajmowali kwestyami artystycznemi, ile życiorysowemi. Oni to wydobyli z archiwów wiadomości, rzucające cień na charakter Grochowskiego, jako księdza zaniedbującego swe obowiązki, goniącego za prebendami, procesującego się zawzięcie. Krańcowy w orzeczeniach swoich Bartoszewicz namiętnie wypowiedział swą ku niemu niechęć. „Dotąd — powiada — żałowali Grochowskiego nasi historycy, że zmarnował czas i zdolności i że się na nim ludzie nie poznali; ale wyrzut ten niesprawiedliwy. Była-to zdolność walająca się w błocie, skażona pochlebstwem, goniła za stanowiskiem. Zdolność miał; ale nie było w Grochowskim charakteru; nie zasługiwał wcale na spółczucie ludzi rozumnych i zacnych.“

Taki był stan opinii o Grochowskim, wyrażonych przez naszych badaczów i krytyków. Jakże się wobec niego zachował p. Bełcikowski? i do jakich doszedł rezultatów?

## II.

Ponieważ działalność pisarska Grochowskiego przypada prawie wyłącznie na czasy Zygmunta III, daje przeto p. Bełcikowski w rozdziale wstępnym zarys najważniejszych wypadków politycznych z téj doby, które posłużyły nieraz poecie za temat do utworów, przedstawia znamienne cechy reakcyi katolickiéj przeciwko protestantyzmowi a więc i wzrost wpływu jezuitów, określa zmiany, jakie w skutek surowo religijnego kierunku zaszły w sposobie korzystania z wzorów klasycznych, wylicza wreszcie i króciutko charakteryzuje pisarzów, którzy spółcześnie z Grochowskim żyli i utwory swe ogłaszali.

Na takiém tle dopiéro roztacza autor szczegółowy obraz życia księdza-poety. Nie udało mu się wprawdzie odnaleść nowych, nieznanych dokumentów, któreby rozstrzygnąć mogły wątpliwe daty lub przydać jakiś ważny fakt do szczupłych wiadomości, jakie dotychczas o Grochowskim zebrano; ale przez umiejętne zestawienie tego wszystkiego, co wiadomém już było, rzucił na kilka spraw światło nowe, a wmyśliwszy się w zdarzenia życia i utwory Grochowskiego, dał nam przypuszczalny tylko, lecz barwny zarys jego charakteru.

Za rozświetlone przez p. B. szczegóły uważam głównie stosunki Grochowskiego z jezuitami oraz sprawę „Babiego koła.“

Wiadomo, jak dawniejsi nasi historycy i krytycy dopatrywali się

wpływu jezuitów na późniejsze dopiéro pisma kapłana-poety i w tym wpływie widzieli przyczynę zwichnięcia i zmarnowania jego talentu, dlatego jakoby, iż nie pisał, co chciał, lecz co mu kazano. P. Bełcikowski słusznie zwrócił uwagę na to, że od chwili, z któréj mamy pewniejsze wiadomości o naszym pisarzu, to jest od czasu jego nauki w dojrzałym już wieku w Pułtusku, widzimy go w ciągłych stosunkach z jezuitami. Wielbionym jego „preceptorem“ był ks. Jakób Wujek, na którego Postyllę pierwszy swój drukowany wiersz napisał (1573). W Pułtusku téż zapoznał się pewnie i z ks. Skargą, z którym późniéj szczera łączyła go przyjaźń; ile razy w pismach swoich wspomina znakomitego kaznodzieję, to „zawsze wyraża się o nim nie tylko z uwielbieniem, winném jego wielkiemu talentowi, ale i z tém ciepłem serdeczném, jakie się dla starych i dobrych przyjaciół uczuwa.“ Późniejsze zatém stosunki Grochowskiego z jezuitami, tłómaczenie poezyi łacińskich pisanych przez jezuitów („Wirydarz,“ „Codzienne ćwiczenia chrześciańskiéj duszy“ Pontana 1542—1626), ofiarowanie karty wtóréj „Toruńskich Nocy“ ks. Fabrycemu (Kowalskiemu) prowincyałowi zakonu, należenie do bractwa Wniebowzięcia N. M. Panny [1]) i tym podobne objawy nie są dowodem jakiejś zmiany zaszłéj w usposobieniu Grochowskiego, lecz tylko dalszym ciągiem, rozwinięciem tych stosunków, które zawarł jeszcze na ławie szkolnéj.

Co więcéj p. B. rzuca bardzo prawdopodobne przypuszczenie, że owo głośne „Babie koło,“ które zdaniem dawniejszych historyków literatury pociągnąwszy za sobą niemiłe dla autora skutki, rzuciło go dopiéro w objęcia jezuitów, było przeciwnie wynikiem dłuższych już z niemi przyjaznych stosunków. W „Babiém kole“ poeta popierał kandydaturę Bernarda Maciejowskiego na biskupstwo krakowskie, który był wielkim przyjacielem i zwolennikiem zakonu. Było oczywiście w interesie jezuitów, ażeby on a nie kto inny, niechętny im, zasiadł na stolicy biskupiéj w Krakowie. Grochowski, jako zostający

---

[1]) P. Bełcikowski nie umié sobie objaśnić (str. 85) wyrażenia Grochowskiego, iż za staraniem Fabrycego został „uczestnikiem“ towarzystwa Jezusowego. Sam przecież na następnéj stronicy podaje fakta, które objaśnienie to czynią łatwém. Bractwo Wniebowzięcia założone było z pobudki i staraniem Mikołaja Zebrzydowskiego i należało do tych stowarzyszeń religijnych, które wyrastały pod opieką jezuitów. Na mocy ogólnego pozwolenia papieża, jenerał jezuitów, Klaudyusz Aquaviva, potwierdził i to krakowskie bractwo dyplomem z d. 30 listopada 1603. A że Grochowski był członkiem tego bractwa, mógł więc dziękować Fabrycemu, iż za jego staraniem Aquaviva sprawił, iż co jeno jezuici dobrego gdzie czynią, to i jemu „grzesznemu“ to robią. Jak tercyarze, tak i członkowie bractwa uczestnikami byli łask duchownych, wyjednywanych przez zakon.

od lat najmniéj trzydziestu w blizkich stosunkach z jezuitami, chętnie zapewne sprawę ich przyjął za swoją i po swojemu, w sposób bardzo popularny, wyraził ich życzenia w têm przekonaniu, że kandydat jezuitów musi być najlepszym i najgodniejszym.

Przebieg procesu, wywołanego rozpowszechnieniem „Babiego koła,“ przedstawił już przed laty Józef Łukaszewicz w opisie kościołów dyecezyi poznańskiéj (t. III, r. 1863); ale do téj pory, o ile mi wiadomo, nie był uwzględniony przez żadnego z historyków literatury i dlatego w książce p. Bełcikowskiego sprawia wrażenie nowości. Przedstawia on wiele szczegółów ciekawych, co do okoliczności napisania, przepisywania i rozrzucania pamfletu. Wyrok nie jest znany; domyślać się można, że proces był umorzony. Nominacya królewska nastąpiła 12 kwietnia 1600; biskupem został właśnie Bernard Maciejowski. Zdaje się, że jedyną karą, jaka spotkała Grochowskiego wówczas, było odjęcie mu probostwa czerskiego, zostającego pod władzą biskupa poznańskiego, Tarnowskiego, najdotkliwiéj w „Babiém kole“ wyszydzonego. Trwałą jednak niechęć poety nawet do Tarnowskiego nie była. Już w r. 1605 w „Łzach smutnych po zejściu Jana Zamojskiego“ wspomniał bardzo życzliwie i o zmarłym 1603 r. Tarnowskim.

O rzekomym wpływie tego zdarzenia na dalszy kierunek prac Grochowskiego, o zaniechaniu satyry a zwróceniu się do liryki duchownéj i panegiryków, bardzo trafne i przekonywające robi p. B. spostrzeżenia. Zapominano najprzód o têm, że Grochowski miał w owéj dobie lat 60: „jest to wiek, w którym nowa jakaś ewolucya talentu byłaby nadzwyczajném chyba zjawiskiem i poecie, który do téj pory życia byłby satyrykiem, trudno, niepodobieństwem byłoby przerzucić się na drogę wprost przeciwną.“ Prócz tego zapominano o całym szeregu pism Grochowskiego dawniejszych, wyprzedzających utworzenie „Babiego koła,“ a należących do zakresu liryki niekiedy epicznie zabarwionéj, czasami w Hymnach kościelnych do liryki podniosłéj; a zaledwie w dwu wierszach („Na Postyllę Wujka“ i „Skarga snu nocnego“) można znaléźć pewną satyryczną domieszkę. „Gdzie zatém — pyta słusznie p. B. — te dowody satyrycznego talentu poety, który jak potém tak i przedtém przedewszystkiém był lirykiem? Skąd się wzięło to przekonanie, że się na satyryka urodził, a okoliczności kazały mu za inne uchwycić pióro? Wistocie, rzecz się ma całkiem przeciwnie. Babie koło było tylko wyjątkiem między dotychczasowemi utworami Grochowskiego, a w przyszłości podobne wiersze także tylko rzadko i wyjątkowo u niego spotykać się będą. Był to wiersz w całém tego słowa znaczeniu okolicznościowy, podyktowany przez po-

trzebę chwili, natchniony może przez kogoś z boku, ale nie typowy okaz zdolności i kierunku poety“ (str. 59, 60).

Na charakter Grochowskiego patrzy p. B. pobłażliwie i dalekim jest od wyroku potępienia, jaki nań rzucił Bartoszewicz. Usprawiedliwia swój pogląd ogólną uwagą o usposobieniach poetycznych. Do bujniejszéj fantazyi, gorętszych uczuć i wrażliwszych zmysłów poety „świat zawsze prędzéj niż do innych znajdzie sobie drogę.“ Poeta „lubi pełnię życia, lubi użycie a nawet nadużycie, jeżeli ono estetyczną szatą rażące swoje ułomności osłoni.“ W Grochowskim widzi autor temperament choleryczno-sangwiniczny, nie dopatrując nigdzie skłonności melancholicznéj. „Obdarzony, jak wszyscy prawie z owych czasów ludzie zdrowym i trzeźwo rzeczy biorącym rozsądkiem, nie lubiący zatapiać się w abstrakcyjne i idealistyczne sfery, popychany przez swą naturę do ciągłego umysłowego a niezawodnie i fizycznego ruchu, nie należał on do liczby cichych i oddanych swéj idei myślicieli, ani do bogomodlców, którzy duszę swą utopili w niebie i żyją na ziemi o tyle, o ile im przyjdzie spełniać swe duchowe posłannictwo. W czasach, w których surowa moralność i dawna świątobliwość chrześciańska całym blaskiem jaśniała w osobach wielu pogromców protestantyzmu a wskrzesicieli katolickiéj prawowierności... nasz poeta nie sięgał wcale duchem tak wysoko jak oni i chętnie, ulegając wrodzonym swym skłonnościom, mieścił się w szeregu pospolitych duchów, ludzi przeciętnéj miary, dla których wystarczało, jeśli się nie dopuszczali nieprzyzwoitości i zgorszenia bliźnim nie dawali. Zresztą co było można mieć z przyjemności życia, z tego całém sercem korzystał. Był on pewnie zabawnym gościem i dobrym towarzyszem przy biesiadzie, lubił żarty i wesołość i sam je pierwszy podniecał; w gwarnych zebraniach szlacheckich obecność jego bywała chętnie bezwątpienia witaną, a on ze swéj strony nigdy się od nich nie uchylał; panom świeckim, dygnitarzom kościelnym umiał się spodobać swojém taktowném zachowaniem się, nielękliwém, ale téż pozwalającém widzieć, że czuje ich wyższość i dba o ich względy. O chléb powszedni ubiegał się także skrzętnie, wcale się nie stosując do zasady ewangelicznego ubóstwa. W młodszych zwłaszcza swoich latach, nie był kapłanem z powołania, rządził nim nie ewangeliczny duch miłości i poświęcenia, ale jakiś duch niespokojny i zanadto, na jego stan, światowy, a przytém także pewna chęć zysku i chciwość, które kazały mu razporaz ubiegać się o różne prebendy, facyendować niémi i zaniedbywać się w obowiązkach; a z drugiéj strony, korzystając może ze swoich stosunków i łatwości pióra, wszczynać spory i procesy, kłócić się z ludźmi

i nie dać im spokoju dla przysporzenia sobie miłego grosza" (str. 38—40).

Nie osiągnął jednakże ani wysokich dostojeństw w kościele, ani zebrał majątku. Choć żył na stopie przyjaznéj z najznakomitszymi mężami swego czasu, zarówno świeckimi jak duchownymi, ceniony był widocznie raczéj jako gładki wierszopis, któremu wypłacano się pochwałą i uznaniem, niż jako człowiek mogący w życiu czynném zająć miejsce wybitniejsze. Starość miał pogodną i względnie przynajmniéj pomyślną. Zawsze skłonny do wesołego żartu, w latach podeszłych okrasił go swobodną ironią z samego siebie, ze swego skromnego otoczenia, ze swoich zajęć i zabaw. Starzec „świegotliwy" — jak sam siebie nazywa — wychwala żartobliwie swoje Małe Piecki nad Gopłem, gdzie mu nieraz wicher poszycie z dachu zdzierał a nawet niekiedy do izb zaglądał, gdzie sobie piec słomą zagrzewał, gdzie wszyscy jego poddani, „wszyscy trzéj," za każdém słowem powtarzają mu: „miłościwy panie;" więc się uważa za wyższego nad „perskiego króla," bo ten się „z Turki ustawicznie goni," a on mieszka sobie spokojnie, nie doznając nawet krzywdy od zwierząt, „co gęsi drażnią a owce łapają," dlatego, że ani gęsi ani owiec nie trzyma. Jako poeta porównywa się z Orfeuszem i Amfionem, gdyż „do ich stron słodkich szły dzikie zwierzęta," a do jego — „kury i płoche kurczęta." Gości w Pieckach bywało nie wiele, ale gdy się „skąd dobry kompan zerwie:"

Jest kur dla niego i gęś się ozywa
W kojcu przy owsie, ledwie że nie rzecze:
Niechaj i mnie kto przed gościa upiecze...
Jeśliby też chciał bawić się wierszami,
Tym go ja uczczę prędzéj niż rybami.

Najczęściéj jednak przebywał w Pieckach samotnie, pisząc trochę, przeglądając dawniejsze swe karty i „psując" je często ogniem, jeśli gdzie „nazbyt z prawdą wylatują, o którą ludzie bardzo się gniewają." A gdy nad rymem głowy sobie „nadfrasował," rzucał pióro, i pieścił ucho koncertem wiejskim:

Mam tuż, gdy zechcę, przed oczyma swemi,
Płochą muzykę z głosy rozlicznemi;
By jeszcze wodne dusze głos swój miały,
Byłby krotofil tych poczet niemały.
Tam wodopławnych kaczek mnóstwo bywa;
Tam słowik, tam wróbl w trzcinie się ozywa,
Lato witając; tam bąk basem swoim
Zwykł się sprzeciwiać prostym strónom moim:

Tam ptastwo drugie, które, gdy czas niesie,
Krzyczy w méj trzcinie jako w jednym lesie...

A „ciesząc“ słuch swój „pieniem ptaków,“ cieszył również i wzrok widokiem krajobrazu okolicy nadgoplańskiéj, „bo wpośród brodów patrzał na równiny dziwnie wesołe tamecznéj krainy.“ Czasami tylko myśl o „strasznym grodzie,“ o owéj wieży, w któréj „kaźń boża skarmila króla myszami,“ przejmowała go lękiem (naturalnie udanym), wywołując sarkastyczną uwagę o ubóstwie kościoła tamecznego, o ubóstwie, datującém jakoby z czasów owéj przygody króla Popiela, kiedy to „prałaci“ katedry swéj odbiegli, „bojąc się, by ich myszy nie pojedli...“

Nie musiał wszelako Grochowski zbyt często przesiadywać w tych Pieckach, gdzie mu to niby tak było dobrze, że chyba „tylko lepiéj w niebie;“ widzimy go bowiem długo przebywającego to w Toruniu, to w Krakowie, to w Miechowie. „W tym czasie — mówi p. B. — żyje on w ustawicznéj styczności z kwiatem ówczesnego społeczeństwa, przebywa stale w kołach rodowéj i umysłowéj arystokracyi. Ma znajomości z kilku możnowładczemi rodami, ma kilku biskupów protektorów, którzy mu płacą pensyę; do liczby jego przyjaciół należą i najznakomitsi między prałatami i członkowie zamożnych, starych szlacheckich rodzin. Bawiąc w Krakowie, prowadzi rozmowy o literaturze i religii z Maciejowskim, Dobrocieskim i z wielu zapewne innymi, o których nam tego nie powiedział. Czasami robi z Krakowa wycieczki: do Klasztoru Ś-Krzyskiego do opata Maliszewskiego, do Miechowa, gdzie mu rad znowu biskup Pstrokoński, i tu znów doznaje najuprzejmiejszéj gościnności, a umysł swój rozrywa i podnieca do dalszéj pracy dysputami z ludźmi wykształconymi, lubiącymi książki i naukę. Po dworach szlacheckich, gdzie częstym również jest gościem, inne spotykają go przyjemności: staropolska serdeczność, niewymuszona wesołość, nieraz bezwątpienia i żywa uciecha przy kieliszku starego węgrzyna, a wreszcie i ten szacunek, jaki mieszkańcy wsi okazują wyższemu od nich (od siebie) umysłowo i szeroko znanemu ze swego talentu sędziwemu poecie“ (str. 77).

Ostatnie chwile życia Grochowskiego i śmierć jego (30 stycznia 1612 r.) w Krakowie mamy dość szczegółowo opisane w historyi Bractwa Wniębowzięcia N. Panny Maryi, którego jak wiemy, był członkiem. Bogobojnie i przykładnie kończył dni swe kapłan-poeta, okazując skruchę z powodu dawniejszych swych błędów. Nie należy brać świadectwa tego za prosty komunał. Grochowski, zabierając się do tłómaczenia książki Tomasza a Kempis na schyłku życia, wyrażał w druku swój żal, iż dawniéj o północy nieraz wstawał „rymom gwoli,

a często bardzo lekkim," a wypowiadając trwogę na myśl o śmierci i stawieniu się przed trybunałem Najwyższego, pytał z boleścią: „Gdzie się wtenczas podzieję, albo gdzie się skryję, który i dziś nie według ustaw twoich żyję?.." Znał więc swe ułomności poeta i rad był ich się pozbyć. Szczupłe swe mienie przeznaczył częścią na ubogich, częścią na kościoły, a szczególniéj na kościół N. Panny na Piasku w Krakowie, gdzie sobie także i grób obrał w kaplicy, wsławionéj obrazem Matki Boskiéj. Sam téż prawdopodobnie ułożył dla siebie nagrobek, gdzie między innemi powiedziano:

Jako ten grób pokrywa próżne ducha kości,
Tak miłosierdziem pokryj, Boże, jego złości.
Rym podczas miał dotkliwy, sam tęsknił w chudobie,
Dziś nic nie potrzebuje, zamkniony w tym grobie;
Lecz kto więcéj nauki, ten mniéj szczęścia tyka,
Nauka w sobie wszystek dostatek zamyka.

Ileż smutnéj prawdy w ostatnim dwuwierszu zwłaszcza w zastosowaniu do naszych stosunków!

## III.

Rozbiór utworów Grochowskiego, jakiego p. B. dokonał (str. 91—231), jest pierwszą szczegółową, dokładną analizą prawie wszystkiego, co ten autor ogłosił, i jako taka stanowi rzetelny nabytek naszéj krytycznéj literatury. Napisany został ze spokojem i umiarkowaniem, bez uprzedzeń zgóry powziętych, a z subtelném poczuciem estetyczném, z rozległym sądem porównawczym, z wniknięciem głębokiém w przedmiot, z należytą rozwagą krytyczną, nie dozwalającą na uleganie chwilowym nastrojom, przemijającym upodobaniom. Oczywiście nie wszystkie zdania krytyka znajdą u wszystkich znawców pism Grochowskiego jednakowe uznanie; różnice w opiniach są rzeczą nieuniknioną, ale tego p. Bełcikowskiemu nikt chyba wytknąć nie może, iżby nieuważnie, stronniczo lub z ciasnego punktu widzenia sądy swe wygłaszał. Téj najobszerniejszéj części pracy jego streszczać atoli niepodobna; potrzebaby bowiem o wiele więcéj na to poświęcić miejsca, niż tu sobie zamierzyłem, a zresztą lepiéj jest takie szczegółowe oceny odczytać w samém dziele w całéj rozciągłości, aniżeli w najudatniejszém nawet streszczeniu, które z konieczności suchém-by wydać się musiało.

Poprzestając tedy na zaznaczeniu wartości i doniosłości tego

rozbioru, przejdę do rozejrzenia się w ogólnych wnioskach, do jakich doszedł krytyk, oceniając talent poety.

Nie jest Grochowski poetą pierwszorzędnym nawet w tym szczupłym zakresie, jaki przedstawia nam literatura nasza wieku XVI-go. Fantazya jego „nie rozbuja się nigdy w nieskończoność, ani nie ma na tyle siły, aby rzeczywistość do olbrzymich podnieść rozmiarów; poprzestaje na odtworzeniu tego, co ją w życiu powszedniém w zwyczajnych stosunkach otacza; odtwarza zaś to w rysach nie zbyt wybitnych i silnych, na większe i szersze obrazy się nie zdobywa, nie ma w sobie dość plastyki, ani nie rozporządza świetnym, w oczy bijącym kolorytem; nie jest ognistą ani bogatą, prześlizguje się więcéj po powierzchni; ale jest przytém ruchliwą i skrzętną, umié zbiérać drobne rysy i szczegóły i niemi wcale hojnie szafuje“. Myślą ani uczuciem nie sięga Grochowski wysoko, do wyżyn filozoficznych się nie wznosi, nie zna głębin serca. Najpodnioślejszy ton liryczny znajdujemy jedynie w jego przekładach hymnów i proz kościelnych, a więc kiedy nie własnym, lecz obcym natchniony był duchem. To, co z siebie sam wydobył, odznacza się zapewne szczerością, kiedyniekiedy mignie gorętszém słowem; ale na ogół rzecz biorąc, znamionuje naszego poetę „uczucie spokojne i łagodne, pogląd na świat trzeźwy i rozsądny, ton równy i umiarkowany“. Wówczas nawet, gdy cios jakiś ciężki, a rzeczywisty go dotknie, nie wybucha skargą namiętną, lecz daje poznać swą boleść „łagodnym smutkiem i poważną żałością“, jak to widzimy z trenów na śmierć dwu przyjaciół: Dobrocieskiego i Maciejowskiego. Przytém słuszną wprawdzie robi uwagę p. B., że znane nam wiersze „kapłana-poety“ pochodzą po większéj części z tego okresu życia, kiedy już starość „mogła odjąć lotność jego fantazyi“ a uczucia w nim „złagodzić i osłabić“. Z wyjątkiem kilku drobnych wierszy i tych pieśni, któremi wysławiał wstąpienie na tron Zygmunta III-go i zwycięstwo pod Byczyną, reszta pochodzi z okresu pomiędzy 60-ym a 70-ym rokiem jego życia. Biorąc jednakże pod rozbiór najdawniejsze nawet pisma Grochowskiego, kiedy był w sile męskiego wieku, nie znajdziemy w nich śladu potężnéj namiętności lub bujnéj a lotnéj fantazyi. Niesłusznie, zdaje się, utożsamia p. B. usposobienie Grochowskiego z nastrojem Kochanowskiego, powiadając o nim, że jest-to „umysł i duch dążący do harmonii i umiarkowania“; raczéj należało chyba w temperamencie „kapłana-poety“ szukać wyjaśnienia jego niskiego lotu i niegłębokiego uczucia; Grochowski bowiem, jak to krytyk sam przyznaje, nie był bynajmniéj naturą artystyczną, któraby świadomie do osiągnięcia harmonii dążyła.

W sprawie artyzmu Grochowskiego, robi p. B. najprzód porów-

nanie humanizmu jego czasów z humanizmem doby poprzedniéj. To, co mówi o wpływie reakcyi katolickiéj na sposób traktowania autorów pogańskich, z których dobywano tylko formę, ducha ich przesłaniając, zupełnie jest trafném w zastosowaniu do wieku XVII-go; ale nie całkiem jeszcze odpowiada charakterowi schyłku XVI-go stulecia. Wtedy nie wszyscy jeszcze pisarze ulegają wpływowi teologicznemu; dość przytoczyć tak wymowny przykład, jaki mamy w „Sielankach“ Szymonowicza, tchnących takim samym klasycyzmem, jak pieśni Kochanowskiego. Nie należało więc chyba uogólniać oddziaływania reakcyi religijnéj na poezyę, tym bardziéj, że i sam p. B. widzi wielką różnicę między pokrewnemi sobie skądinąd poetami: Miaskowskim i Grochowskim; lecz lepiéj może byłoby znowu się odwołać do usposobienia „kapłana-poety“ i do wczesnego poddania się wpływom jezuickim, ażeby charakter artyzmu Grochowskiego wyjaśnić.

Samo określenie stosunku naszego poety do wzorów klasycznych jest dobrze umotywowane. „Dla tych starożytnych, a zarazem pogańskich pisarzy — powiada p. B. — nie miał już téj bezwzględnéj miłości, któraby, jak to się u zapalonych humanistów zdarzało, wszystko dobre i piękne w nich, a nic po za niemi nie widziała. Jeżeli ta poezya klasyczna stawała przed nim w całym uroku swéj artystycznéj piękności, to on miał pod ręką inny ideał duchowéj, chrześciańskiéj piękności, który obok niéj i naprzeciw niéj mógł postawić. Przez to, że był księdzem, teologicznie wykształconym, i pisarzem, który poznał po części z obowiązku, po części z zamiłowania, nowych autorów głównie religijnych i w prozie i w poezyi, sfera jego pojęć i wyobrażeń rozszerzyła się także i w nowe idee wzbogaciła. Jeżeli znajdował dobre i piękne rzeczy w klasycyzmie, to musiał sobie także z wewnętrzną pociechą przyznać, że i w tych katolickich pisarzach są nieraz rzeczy równie dobre i piękne, chociaż całkiem od nich odmienne, a z wyobrażeniami i uczuciami chrześciańskiemi więcéj harmonizujące. Umysł jego ulegał przeto tym obu wpływom, z których ostatni bodaj czy nie więcéj na niego oddziaływał“ (str. 237).

Z tego stosunku do klasycyzmu wysnuwa p. B. zaniedbanie się Grochowskiego w formie artystycznéj. Związek ten nie bardzo jasno się nam przedstawia. Dla nowéj treści, nowych uczuć, można wytworzyć nową formę; ale żeby nowe czynniki duchowe miały wpływać na zaniedbanie, trudno przypuścić. Zapewne, wyrazić nowe myśli i uczucia nie jest tak łatwo, jak znane i już w formuły ujęte; lecz to może jedynie wywołać łamanie się z formą, szorstkość, niepoprawność, jak to widzimy w poezyach Mikołaja Szarzyńskiego. W Grochowskim atoli zgoła tego nie widać; wiersz mu płynie łatwo i gładko.

Przytém o nowéj formie mowy tu nawet być nie może. Ci pisarze katoliccy, piszący po łacinie, których Grochowski tłómaczył, posługiwali się przecież formą klasyczną, bo innéj nie znali; oni więc nie mogli się przyczynić do osłabienia w naszym poecie poczucia artyzmu. Hymny i prozy kościelne, leoniny wreszcie mają wprawdzie odrębną od klasycznéj formę, ale odrębność ta polega na odmiennéj rytmice i budowie zwrotek. Otóż Grochowski jedynie w budowie zwrotek starał się tę formę naśladować, zbliżając je zresztą zazwyczaj do znanych przedtém, uprawianych przez Kochanowskiego. A nie na tém przecie sam p. B. gruntuje swoje zdanie o zaniedbaniu artystyczném Grochowskiego.

Szczegółowe te uwagi są trafne. A najprzód co do układu. W większych utworach Grochowskiego kompozycya jest albo bezładna, albo ciężka, albo nieproporcyonalna. „Widać, że poeta nie ułożył sobie należytego planu i nie miał delikatniejszego poczucia artystycznéj jedności. Do głównego pomysłu dodaje on mniéj ważne, dosztukowuje i dostawia, co mu jeszcze na myśl przyjdzie, nie bacząc, czy to jest na swojém miejscu i w swoim czasie. Pojedyncze części jego poematów robią też często wrażenie nie różnych członków do jednego organizmu ściśle należących i wewnętrzną jednością ze sobą spojonych, ale kilku odrębnych organizmów, które dowolnie, bez logicznéj konieczności i sposobem zewnętrznym ze sobą zostały połączone“ (str. 239). Tu się nastręczało zestawienie z kompozycyą Reja, z którą maniera Grochowskiego ma tyle wspólnego, ale p. B. zaniedbał tego dokonać.

Następnie co do dykcyi. Nie ma ona zwykle „téj precyzyi, plastyki, a wreszcie wytworności, któremi poezya klasyczna dotychczas celuje i których niedościgłym jest wzorem. Poeta nasz posiadał wrodzoną łatwość pisania wierszem, płynął on mu swobodnie i bez wysilenia, i ten dar natury zapewne przyczynił się do tego, że w pomysłach swoich nie brakował, o dobór wyrażeń i wyrazów dość pilnie się nie starał i szedł jedynie za pierwszém natchnieniem. Stąd także powstały bezwątpienia u niego te częste powtarzania się, te plagiaty na sobie samym robione, czy to w pojedyńczych zwrotach, czy całych nawet wierszach“. I to jest znowuż cecha, która zbliża Grochowskiego do Reja.

Jako dodatni wynik nie krępowania się wzorami klasycznemi wymienia p. B. przymiot naturalności, który utworom Grochowskiego „dodaje bardzo wiele powabu i wynagradza brak niektórych innych zalet“. Zdaniem p. B., Grochowski „jest zawsze samym sobą, natchnienia swego nie zmusza do Ikarowego lotu w ślad za temi, co

wyżéj daleko, niż on wznieść się zdołali, i lubo mniéj poprawny i wygładzony od innych, ma tę ujmującą swobodę, która na jego wierszach pewne piętno swojskiéj oryginalności wyciska". Ale chyba nie jest ta dykcya bardziéj swojską, ani ta swoboda i oryginalność większą, niż u Reja. Natomiast to, co p. B. mówi o humorze Grochowskiego, zasługuje na zupełne uznanie. Jestto humor nie cierpki, owszem „jowialny, dobroduszny i słodki". Przebija się w nim mianowicie „lekka ironia, z jaką poeta często i innych i siebie samego, a czasem i najpoważniejsze rzeczy tego świata traktuje... Ilekroć zdarzy mu się sposobność, umié być dowcipnym, a zaletą jego niemałą i to także, że téj sposobności naumyślnie nie wywołuje. Dowcip jego jest ostry i zręczny, uderza nim na przeciwnika szybko i znienacka i znów się cofa, udając, że złośliwym być nie chce i szkodzić nie ma zamiaru". —

O budowie wiersza i rymach Grochowskiego p. B. prawie nic nie pisze, a przecież to do charakterystyki jego artyzmu ściśle należy. Wzmiankuje krytyk, że poeta nasz posługiwał się bardzo różnorodnemi wierszami od cztero- do szesnastozgłoskowych, mógłby dodać, że spotykają się czasami i 21-zgłoskowe. W budowie saméj często brak nietylko ścisłéj rytmiczności, któréj owcześni poeci w języku polskim nie zachowywali, ale nawet tych już w jego dobie za konieczne uznanych przymiotów, żeby w wierszach, odpowiadających sobie, znajdowała się jednakowa liczba akcentów. W rymowaniu nie poszedł Grochowski za przykładem Kochanowskiego i Szymonowicza, lecz się cofnął do czasów Reja. Aż zanadto często używano zbyt łatwe rymy z jednakowych form gramatycznych, mazurzenie dla rymu (*oczy — nocy* i t. p.), asonancye zamiast rymów zupełnych (*krzywdy — nigdy* i t. p.), forsowne naciąganie akcentu dla zyskania lichéj końcówki (*Bolesław—niepraw* i t. p.) są-to stałe cechy sztuki wierszopisarskiéj Grochowskiego, świadczące o nagannêm już w jego epoce niedbalstwie.

P. B. kładzie wielki nacisk, zbyt wielki mojém zdaniem, na piękność języka Grochowskiego, w którym miał dorównać swemu mistrzowi Kochanowskiemu, a w pewnéj mierze nawet go przewyższyć. Autor wié i wypowiada to wyraźnie, że Grochowski bardzo często popełniał plagiaty na Janie z Czarnolesia; a przecież utrzymuje, że „kapłan-poeta" nie nabył swego języka poetyckiego przez proste naśladownictwo, lecz że w jego organizacyi umysłowéj, w naturze jego talentu musiało być coś takiego, co to podobieństwo z Kochanowskim wywołało. P. B. rozumuje tak: „gdyby Gr. swego języka był się tylko wyuczył na Kochanowskim, gdyby chciał go był zawsze i wszędzie naśladować; język ten bezwątpienia byłby się zrobił su-

chym, nienaturalnym i sztywnym. Tymczasem dykcya Grochowskiego posiada wprost przeciwne temu przymioty. Jest naturalną i prostą, pełną życia i kolorytu, ma w sobie pewną jędrność i soczystość, która o jéj wrodzoném zdrowiu i sile tak dobrze świadczy" (str. 248). Rozumowanie takie byłoby przekonywające, gdyby chodziło o wyuczenie się jakiegoś języka umarłego, łaciny np.; ale tam, gdzie mowa o ojczystym, nie może się nazwać trafném. Grochowski nauczył się języka swojego, zanim czytać umiał, a témbardziéj zanim do pism Kochanowskiego zajrzał; język ten był wspólny obu poetom; jeżeli się więc mówi o zależności jednego od drugiego, to dotyczyć może pewnych zwrotów, pewnych właściwości, a posługiwanie się niemi dowodzi przejęcia się wpływem tego, który je pierwszy wytworzył. Grochowski władał dobrze językiem, to nie ulega wątpliwości, ale żeby miał „często natchnione prawdziwie wyrażenia", jak chce autor, tego potwierdzić nie mogę. Szkoda, że p. B. nie przytoczył ich, poprzestając na gołosłownem twierdzeniu. Przewyższać Kochanowskiego ma tłomacz „Wirydarza" i twórca „Babiego koła" większą rozmaitością i malarskiemi właściwościami swego języka. Mianowicie ma brakować w lutni Jana z Czarnolesia słodkiéj i wdzięcznéj struny, która tak pieszczotliwe tony w „Wirydarzu" wydała, i tego ciętego, ludowego dowcipu, z jakim Grochowski „flamandzkie figury" Babiego koła nakreślił. Chociaż może przy tém porównaniu p. B. zamało uwzględnił pieszczotliwość wyrażeń w niektórych trenach Kochanowskiego, przyznać jednak trzeba, że istotnie, o ile mi wiadomo, na taką skalę, jak w tłomaczonym „Wirydarzu", właściwość ta języka nie wyszła była wówczas na jaw, ale zastrzedz się téż potrzeba, iż za wielką zaletę poczytywać jéj u Grochowskiego niepodobna, gdyż przechodzi w przesadę i ckliwą się staje. A co do ciętego ludowego dowcipu, to był on istotnie obcy Kochanowskiemu, ale miał za to przedstawiciela w Reju i z tym raczéj pisarzem należało Grochowskiego porównać. Zresztą jak nie podzielam uwielbienia dla wzniosłéj jakoby dykcyi w tłomaczeniach Hymnów i Proz, ani dla pieszczotliwości w przekładzie „Wirydarza"; tak téż nie zachwycam się zbytecznie „flamandzkiemi figurami" Babiego koła, a raczéj sposobem, w jaki tym figurom odzywać się Grochowski kazał. Z tego téż powodu nie mogę podpisać ostatecznego orzeczenia, jakiém piękną swą pracę zamknął nasz autor, że Grochowski, „ten drugorzędny poeta złotego okresu jest rzeczywiście pierwszorzędnym pisarzem i jednym z najdzielniejszych mistrzów słowa". Mnie się zdaje, że jak jest drugorzędnym poetą, tak musi być i drugorzędnym pisarzem, mającym swoje właściwości, wyróżniające go od Klonowicza, Miaskowskiego i Zbylitowskich, ale nie

stawiające go wyżéj nad nich. Kto nie umié zapanować nad kompozycyą utworu; kto nie ma dość plastyki i nie rozporządza świetnym kolorytem; kto nie zastanawia się nad wyborem wyrazów, ale posługuje się pierwszym lepszym, jaki mu się na pamięć nawinie; kto grzeszy niedbalstwem w stylu, budowie wiersza i rymu: ten pierwszorzędnym pisarzem nazwać się nie może i musi poprzestać na miejscu pośledniejszém.

Sformułowanie ostateczne w krótkiém zdaniu sądu o pisarzu, chociażby w szczegółach bardzo dobrze zbadanym, jest rzeczą najtrudniejszą; wyłonić się ono może dopiéro z dyskusyi, z rozpatrzenia pewnego autora z wielu odmiennych stanowisk. P. Bełcikowski tyle dostarczył krytycznie obrobionego materyału do dyskusyi, tyle bystrych i trafnych porobił spostrzeżeń w rozbiorze pojedyńczych utworów Grochowskiego, że chociaż na ostateczny jego wniosek z całego szeregu poszukiwań zgodzić się nie mogę; uważam jego pracę za jedno z najlepszych studyów, jakie się u nas w ostatnich czasach ukazały z dziedziny historyi literatury naszéj; pragnęlibyśmy tylko więcéj takich posiadać i niemi się chlubić.

*P. Chmielowski.*





# Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.

## III.

Praca, znużenie i wypoczynek organów. — Trudności w badaniach fizyologicznych. —Sprawność nerwu i jego nużenie się. — Czém jest sen? — Ciała nużące, czyli ponogeny. — Teorya Preyera. — Woda ponogenem, nowa teorya Rosenbauma. — Jéj dowody fizyologiczne i wnioski. — Mózg i inteligencya. — Ciężar mózgu i półkul mózgowych. — Współczynnik psychiczny.

W trzech rozmaitych stadyach badać musimy organy żywych tworów: w okresie pracy, znużenia i wypoczynku. Wówczas dopiéro rzeczywiście poznaliśmy organ, gdy trzy te okresy w najdrobniejszych szczegółach uprzystępniliśmy naszemu umysłowi. Lecz fizyologia współczesna wiele ma jeszcze przeszkód do zwalczenia, zanim poszczycić się będzie w stanie choćby względném zwycięstwem na całéj linii. Niektóre, co prawda, organy zostały zbadane w swych czynnościach tak wszechstronnie, iż mało co dalsze prace w tym względzie dorzucą. Tych organów wszakże bardzo jest mało. Znacznie większą natomiast jest liczba narządów, których fizyolog nie zrozumiał jeszcze całkowicie. Kto nigdy nie zastanawiał się nad tém, w jaki właściwie sposób badania fizyologiczne powstają, jakiemi to mozolnemi drogami kroczyć trzeba, aby dotrzéć do najdrobniejszego szczegółu, do najniklejszego napozór celu, ten dziwić się niewątpliwie będzie, iż dzisiaj jeszcze ciemnemi są dla nas w wysokim stopniu elementarne czynności układu nerwowego, ba, że nawet o niektórych narządach ciała naszego (np. gruczoł tarczykowy, po części także śledziona), co do ich czynności nic stanowczego wypowiedziéć nie umiemy.

Zwłaszcza fizyologia nerwów i ośrodków nerwowych (mózgu i mlecza pacierzowego), która w ostatnich lat dziesiątkach tak silnie nęci całe legiony badaczów, jest dotąd jeszcze polem w dużéj części nieuprawném, gdzie swobodnie panować muszą hypotezy, czekające potwierdzenia lub upadku. Znamy tu nieprzebrane mnóstwo faktów, codziennie niemal wykonywamy nowe, cenne doświadczenia, lecz brak nam wciąż jeszcze uogólnień, owéj syntezy, która pozwalałaby wykryć zasadnicze prawa, rządzące zjawiskami w komórkach nerwowych. Znamy zmiany mechaniczne w czynności nerwów pod wpływem rozmaitych bodźców zewnętrznych; wiemy, ile nerw pracować może aż do znużenia, zarówno jak wiele potrzeba mu czasu na spoczynek i powrócenie do pierwotnéj sprawności; potrafimy także ocenić stopień zużycia się nerwu, przewidzieć ostatnią fazę jego życia, obumieranie—a mimo to wszystko tajemniczemi są dla nas te elementarne zjawiska, odbywające się w przyrządzie nerwowym, które pozwoliłyby wszystko, co w nim zachodzi, sprowadzić do ogólnych, zasadniczych przyczyn. Rozmaitemi drogami doszliśmy do dzisiejszéj wiedzy, a jeżeli zdala od nauki stojący zbyt często, niestety, skłonni są do powątpienia o istotnéj korzyści metod, któremi się badacz współczesny posługuje, to dość w odpowiedzi na to wskazać tylko te zapory, które często sama przyroda nam stawia. Spostrzeżenia, czynione na zwierzętach, nie zawsze dają się przenieść na człowieka; to, co dostrzegamy w zwierzęciu lub organie martwym, bezwątpienia odmien ne jest od tego, co się dzieje w ciele żywém; zjawiska, wywoływane przez środki sztuczne, zapewne różnią się od tych, które zachodzą pod wpływem bodźców naturalnych. Wreszcie, jakże trudno z objawów całego organizmu za życia wysuwać wnioski o udziale każdego organu poszczególnie, a z drugiéj strony ze zjawisk organów izolowanych zsumować życie całego organizmu!

Jeżeli żywy nerw przez dłuższy czas wielokrotnie do pracy pobudzamy, pobudliwość jego i zdolność przenoszenia bodźców stopniowo się zmniejsza i dochodzimy wreszcie do takiego stadyum, w którém możemy go jeszcze do reakcyi powoływać, stosując bodźce znacznie silniejsze, aniżeli pierwotnie. Gdy mimo to nerw pracy swéj nie zawiesi i oddziaływać będzie na coraz silniejsze podrażnienia, to wreszcie pobudliwość jego zupełnie zostanie wyczerpaną. Lecz nerw taki, jeśli pozostał w nim choćby najmniejszy zapas sił napięcia, po spoczynku znów może powrócić do dawnego stanu, znów może pracować. Dotyczy to nietylko nerwów, lecz i ośrodków nerwowych: mózgu i rdzenia kręgowego. Znamy doskonale wszyscy pewien stan całego układu nerwowego, kiedy jest on tak znużony pracą, że pobudza-

nie czuciowego nerwu, albo zupełnie nie dochodzi do świadomości, albo też w bardzo słabym stopniu, kiedy i bodźce ruchowe żadnéj nie sprawiają reakcyi, kiedy znacznego dopiéro wzmożenia impulsu potrzeba na to, ażeby z obwodu ciała wrażenia doszły do mózgu i rdzenia, lub żeby z ośrodków nerwowych znaki życia przez odpowiednie poruszenia przeniosły się na obwód ciała (na mięśnie). W tym stanie organizm nasz śpi, a stan to fizyologiczny, powtarzający się peryodycznie, to stan względnego spoczynku wszystkich prawie organów, lecz przedewszystkiém układu nerwowego. Nowsze badania przekonywują, że i znużenie mięśni po pracy fizycznéj ostatecznie jest tylko znużeniem układu nerwowego. Mięśnie po należytéj pracy ustają w swéj czynności, ponieważ i mózg i mlécz pacierzowy wyczerpały się, i nie mogą już odpowiednio kierować dalszemi ich ruchami. Toż wiemy doskonale, że nietylko te czynności, które spełniamy przy współudziale woli, podlegają bezpośrednio rozkazom ośrodków nerwowych. Wszelkiemi czynnościami organizmu rządzi zawiły aparat nerwowy. Czynności zatém żadnego organu nie można właściwie oddzielać od czynności nerwów, które go zaopatrują. Ścisła np. zależność pracy mechanicznéj od znużenia umysłowego występuje nader jasno z olbrzymiego szeregu doświadczeń turyńskiego profesora A. Mosso, które dowodnie przekonywują, że po wysiłku umysłowym siła fizyczna człowieka opada, i odwrotnie, wiadomo dobrze, że po nużącéj pracy mięśniowéj nie jesteśmy zdolni do wysiłków mózgowych. To, że tak powiem, naczelne stanowisko układu nerwowego już samo na pierwszy plan wysuwa badania nad jego stanem w okresach pracy i spoczynku. Tym razem przeważnie stanem spoczynku się zajmiemy, i mianowicie nie oddzielnych części, lecz całego układu nerwowego, stanem snu.

Zjawisko snu było przedmiotem badań najdawniejszych mędrców starożytności i do dziś dnia stanowi nierozwiązaną zagadkę. W dość ciemnych dla nas nieraz zdaniach starożytnych filozofów widać zawsze, że wszyscy wiedzieli dobrze, iż głównie spoczywa w czasie snu układ nerwowy; lecz, jakkolwiek dla historyka wiedzy nader są zajmującemi owe poglądy [1]), przytaczać ich tu nie będę już choćby dlatego, że obecne nasze badania nie mogą być wprost do ówczesnych domniemań nawiązane. Dopiéro na schyłku ubiegłego i w początkach naszego stulecia spotykamy się z poglądami, opartemi na spostrzeżeniach i dociekaniach, nie pozbawionych podstawy faktycznéj, a do-

---

[1]) Ob. Dr. E. Rosenbaum, „Warum müssen wir schlafen? Eine neue Theorie des Schlafes". Berlin, 1892.

tąd jeszcze wciąż peryodycznie wynurzają się twierdzenia, wedle których bądź przekrwienie (silniejszy przypływ krwi), bądź niedokrewność (odpływ krwi) mózgu mają być istotną, ostatnią przyczyną snu. Jednakże ogólnie nie przyjęto tych teoryi, gdyż nie można było ich pogodzić z wielu faktami. Natomiast od niedawna przyjmuje się w fizyologii coraz bardziéj inna hypoteza, co prawda nie wypracowana w szczegółach, lecz wysoce prawdopodobna i nie pozostająca w sprzeczności z żadném spostrzeżeniem, a nawet przez liczne analogie bardzo zyskująca na powadze.

Wiadomo już oddawna, że pracujący mięsień ulega zmianom chemicznym, że niszczy w sobie pewne ciała, wytwarzając natomiast inne, które dalszéj jego czynności podtrzymać nie są w stanie. W ogólnym obiegu krwi owe substancye, powstałe przez znużenie mięśnia, roznoszą się po całém ciele i, oczywiście, w miarę tworzenia się muszą być przez organizm niszczone lub nazewnątrz wydalone. Gdy wszakże ilość ich przejdzie po za pewną granicę i ani wydalić ich, ani zniszczyć szybko organizm nie może, następuje wówczas okres niezdolności do pracy, okres znużenia. Trzeba zwierzęciu wypoczynku, podczas którego te żuzle jego czynności życiowéj zostaną usunięte. Gdy wszakże zapytamy, czém są te ciała tworzące się podczas pracy, trudno nam obecnie jeszcze kategorycznie na to odpowiedzieć. Ranke, który dokładniéj zajmował się tym przedmiotem, zalicza tu przedewszystkiém kwas mleczny i kreatynę, które istotnie w każdym mięśniu po pracy wykazać można. Te i tym podobne ciała nazywają autorowie niemieccy „*Ermüdungsstoffe*“, ogólnie przyjętą jest także nazwa grecka „ponogeny“. Owóż ponogeny działają niewątpliwie (doświadczenia Roebera) w ten sposób, że przedewszystkiém zmniejszają siłę elektrowzbudzającą mięśnia; lecz nie koniec na tém. Ponogeny najpewniéj ulegają łatwiéj procesowi spalania, utleniania się, aniżeli ciała składające normalne tkanki organizmu; stąd téż wdychany tlen przez nie przedewszystkiém zostaje używany, co pociąga za sobą, iż normalne pierwiastki tkankowe (ciałka białkowe) cierpią brak tego istotnego bodźca życiowego, a czynność ich przerywa się.

Znakomity współczesny fizyolog, Preyer, tym właśnie ponogenom przypisuje znaczenie bezpośrednich przyczyn, sprowadzających sen. Według teoryi jego, ponogeny, skupiające się w organizmie skutkiem pracy, chciwie pochłaniają tlen związany z hemoglobiną czerwonych ciałek krwi. Tlenu przeto tego nie starczy już dla tych zadań, które spełnia on podczas normalnych czynności: dla przemiany sił napięcia, mieszczących się w tkankach ciała, na siłę żywą pracującego organizmu. Czynność mózgu ustać musi i oto mamy stan spokoju

fizyologicznego, sen. Podczas naturalnego snu owe ciała „nużące“, ponogeny całkowicie zostają utlenione, a gdy to nastąpiło, organizm budzi się. Lecz sam Preyer powiada: „Dotychczas mało jeszcze są poznane ciała „nużące“, co do mózgu prawie zupełnie ich nie znamy, a co do mięśni z pewnością w małéj zaledwie części. Należą tu kwas mleczny i zapewne także kreatyna“. Wykonywano doświadczenia z zamiarem przekonania się o prawdziwości téj teoryi, lecz nie wypadły one, ogólnie biorąc, tak pomyślnie, aby na ich podstawie można było bronić teoryi Preyera w całéj jéj rozciągłości. Pomimo to wszakże myśl zasadnicza nie napotyka zarzutów i trzeźwa wiedza ma prawo tylko żądać wykrycia owych ponogenów, dowiedzenia, że spełniają one istotnie tę rolę, jaką im przypisujemy.

W cytowanéj już wyżéj, niedawno wydanéj pracy dr. E. Rosenbaum przywodzi na świadectwo całą masę faktów fizyologicznych, które zdają się przemawiać za tém, że ponogenem *par excellence* jest woda. Spróbujmy główne myśli téj nader zajmującéj teoryi snu w niewielu słowach streścić.

Gdy nerw wskutek jakichkolwiek powodów znajdzie się w ośrodku, zawierającym więcéj wody, niż odpowiada to normalnemu jego składowi, czynność jego w wysokim stopniu zostaje upośledzona. Ranke dowiódł, że w nerwie, podobnie jak w mięśniu, podczas pracy tworzy się woda; mamy przeto prawo wodę także do ponogenów zaliczać. Udało się Rankemu dowieść, że produkty rozkładowe mięśni i nerwów, powstające podczas pracy tych organów, przyciągają wprost wodę z otaczającéj je krwi. Krew żab podczas spoczynku tych zwierząt zawiera 88,3% wody, zaś po pracy tylko około 87%. Prócz tego wszakże proces utleniania jest jeszcze wydatniejszém źródłem, z którego woda podczas pracy organizmu się tworzy. Lecz, skoro nadmiar wody (odpowiadający nadmiarowi pracy) niepomyślnie wpływa na czynność mięśni i nerwów, musi zatém organizm rozporządzać środkami, pozwalającemi na wydalenie takiego nadmiaru. Trzeba więc z kolei odpowiedzieć na następujące pytania: czy możemy orzec, jaką drogą głównie woda, podczas pracy wytwarzana, opuszcza organizm; następnie, w jaki sposób czynność ta odbywa się, i wreszcie, o jakiéj porze dzieje się to głównie (podczas czuwania, czy snu).

Wydalamy wodę na zewnątrz przez nérki, skórę i płuca. Rozważania wszakże fizyologiczne, których szczegółowo przytaczać tu nie będę, dowodzą, że wydychaną przez płuca parę wodną uważać należy za produkt rozkładów chemicznych i utleniania, zachodzących skutkiem pracy. Okazuje się bowiem z doświadczeń ilościowych, że wydychana para wody nie jest w żadnym stosunku do ilości bezpo-

średnio przez organizm przyjmowanéj wody, lecz że jest proporcyonalna do ilości pracy mechanicznéj. Ilościowe téż rozbiory tkanki nerwowéj mózgu i mlecza, porównywane z rozbiorami krwi co do zawartości wody, prowadzą do wniosku, że organy nerwowe pobierają wodę ze krwi według praw dyffuzyi. Co się tyczy pór doby, podczas których największe ilości wody przez organizm wydalane zostają w porównaniu z przyjmowanemi zzewnątrz, to w tym względzie szereg dawnych doświadczeń fizyologów monachijskich, Pettenkofera i Voita, pozwala dać odpowiedź zupełnie niedwuznaczną. Badacze ci, którzy zasłużyli się nauce długoletniemi, sumiennemi badaniami nad przemianą materyi u zwierząt i ludzi, gorliwie téż zestawili spostrzeżenia, dotyczące ilości wydzielanéj w rozmaitych formach wody o różnych porach doby i w najrozmaitszych warunkach (spoczynek i praca i t. d.). Otóż wynika z tych rozbiorów fizyologiczno-chemicznych, że, w porównaniu z ilością przyjmowanéj wody, podczas snu zawsze ilość wydalanéj przez płuca pary wodnéj większa jest, niż podczas czuwania. Organizm nie jest zdolny wody, wytworzonéj przez pracę podczas czuwania, w tym samym czasie na zewnątrz wydalić; potrzebny mu jest przeto spoczynek. „Gdy zaś funkcye psychiczne polegają na tych samych siłach, co i fizyczne, zatém to, co ogólnie nazywamy spoczynkiem, dla czynności psychicznych snem być musi."

Dr. E. Rosenbaum nie poprzestaje na dowodach czerpanych z fizyologii. Bada on także sen i senność, jako objawy charakterystyczne pewnych chorób (prócz chorób mózgu także np. szkarlatyna, tyfus brzuszny i in.), i stara się wyśledzić anatomiczne warunki, w jakich objawy te występują. O ile mi wiadomo, jest-to pierwsza próba zużytkowania podobnych danych w celu stworzenia teoryi snu i jako taka pozostawia jeszcze wiele do życzenia. Lecz mamy prawo przypuszczać, iż dalsze badania w tym kierunku oddadzą w téj sprawie wielkie usługi. Zwłaszcza w chorobach mózgu, tak mało dotąd przystępnych i zrozumiałych, pacyenci są doskonałém polem, na którém w najprostszy sposób doświadczenia fizyologiczne wykonywać można.

Według teoryi powyższéj należy się spodziéwać, że wszystkie momenty, sprzyjające powstawaniu wody w organizmie (skutkiem utleniania), lub stające na przeszkodzie wydalaniu téj wody, powinny sprowadzać senność lub sen przedłużać; natomiast wszystko, co wpływa w kierunku odwrotnym, powinien sen skracać. Istotnie, atmosfera nasycona parą wodną (wilgocią) jest bezpośrednią przeszkodą do wydalania wody przez płuca, również jak np. gorąca kąpiel. Stąd łatwo zrozumiéć, dlaczego w parne dni więcéj, niż kiedykolwiek uspo-

bieni jesteśmy do snu. Skoro zaś uwzględnimy tę przyczynę atmosferyczną, to zrozumiemy także wpływ zimna podczas zimy, a bardziéj upału w lecie. Gdy bowiem z jednéj strony powietrze zimą jest wilgotniejsze, z drugiéj natomiast powietrze letnie zawiera absolutnie większą ilość pary wodnéj. Co się zaś tyczy snu zimowego, zapewne jeden jeszcze punkt uwzględnićby należało; mianowicie, że zwierzęta, zapadające w sen zimowy, mają posiadać stosunkowo obfitszy układ żylny w ośrodkach nerwowych, aniżeli inne zwierzęta i dlatego większy przechowują zapas wody. Ta zaś niewielka ilość wody, którą wydalićby mogły, latem zmniejsza się jeszcze tém silniéj, im powietrze jest wilgotniejsze.

Najważniejsze konkluzye nowéj téj teoryi snu można streścić w następujących zdaniach:

Sen jest tym stanem świadomości, w którym zarówno fizyczne, jak i psychiczne siły opadły poniżéj zwykłéj normy zachowywanéj podczas czuwania.

Ten upadek sił jest skutkiem uprzedniego znużenia układu nerwowego przez pracę podczas czuwania lub przez samo czuwanie.

Właściwa istota znużenia polega na pęcznieniu komórek nerwowych, na wzroście wody w ich zawartości. Ilość wody, zawartéj w tkance nerwowéj, pozostaje w stosunku odwrotnym do pracy, do jakiéj tkanka ta jest uzdolniona: im wody więcéj, tém mniejszą jest pobudliwość, która wreszcie nawet zupełnie zaniknąć może.

Przyrost w ilości wody powstaje skutkiem chemicznych przemian w substancyi nerwowéj, zachodzących podczas pracy nerwów i ośrodków nerwowych.

Woda ta, tworząca się podczas pracy, zostaje wydychaną jedynie przez płuca w postaci pary; w małéj cześci podczas dnia, w przeważnéj wszakże ilości w nocy, podczas snu.

Skutkiem tego, że nie wszystkie części ośrodków nerwowych w jednakowy sposób pracują, wytwarzana w nich woda nie znajduje się też we wszystkich w jednakowéj ilości. Ośrodki, które wykonały mniejszą sumę pracy, wcześniéj się budzą; stąd współcześnie może organizm pozostawać w częściowym śnie i częściowém czuwaniu. Taki niezupełny sen, podczas którego pewne części mózgu pracować mogą, prowadzi do marzeń sennych.

Wnioski powyższe póty pozostaną domysłami, zresztą prawdopodobnemi, póki nie zgromadzi się dostateczna liczba faktów, na których się one opiérać będą mogły. A przyznać trzeba, że teorya p. R. ma to za sobą, że pośrednio wskazuje, jakich nowych potrzeba badań na jéj poparcie lub odparcie. Znaczy to bardzo wiele, bo nie wszyst-

kie teorye, jakie wygłaszane bywają, dają podobny materyał do dalszego myślenia, do nowéj pracy i do świeżych pomysłów.

Nie chciałbym pominąć jeszcze jednego wniosku, z jakim twórca omawianéj teoryi występuje. Powiada on: Inteligencya, u dziecka przynajmniéj, pozostaje w odwrotnym stosunku do procentowéj zawartości wody w mózgu i powinna być mierzona właśnie tą ilością wody.

Mówiono już tyle o związku bezpośrednim inteligencyi z fizycznym (anatomicznym) i chemicznym składem mózgu i otrzymano tak niepewne rezultaty, że wszelkie przedwczesne wnioski z największą powinny być przyjmowane ostrożnością. A wniosek pana R. za taki uważać należy. Toż, pomimo tylu żmudnych prac, strawionych wprost tylko na ważeniu mózgów (mówię tu o wszystkich zwierzętach), dotychczas zupełnie wszystkich wątpliwości jeszcze nie usunięto. Nie ulega wątpliwości, że zwierzę inteligentniejsze wogóle ma mózg cięższy. Że wszakże nie sama inteligencya jest tu czynnikiem rozstrzygającym, lecz że prócz tego wpływ wywierają i takie momenty, jak wielkość, siła zwierzęcia i t. p., to wynika choćby wprost z tego, że np. mózg wieloryba waży przeszło 5 funtów, a mózg człowieka zaledwie 3. Zdolności więc umysłowe nie mogą być wprost proporcyone do absolutnych ciężarów mózgu. Starano się oddawna wynaleść inne jakieś stosunki, bardziéj zbliżone do prawdy, inne zależności pomiędzy inteligencyą a jakąś liczbową wielkością, właściwą mózgowi. Myślano o względnym ciężarze mózgu, t. j. o stosunku ciężaru mózgu do ciężaru całego ciała. Lecz oto okazuje się, że u kretomyszy (*Sorex vulgaris*) i u łasicy mózg wynosi 23-cią część całkowitego ciężaru ciała, jest zatém stosunkowo znacznie większy, niż u człowieka, u którego ciężar mózgu ma się do ciężaru ciała, jak 1 : 35. Z kolei porównywano masy poszczególnych części mózgu. Według wiedzy dzisiejszéj nie ulega wątpliwości, że siedliskiem zdolności umysłowych jest szara substancya wielkich półkul mózgowych, zwłaszcza przednie jéj części. Meynert porównywał ciężary półkul z ciężarami całych mózgów ludzkich; obecnie zaś dr. O. Snell (na jedném z ostatnich posiedzeń towarzystwa morfologicznego w Monachium) podaje rezultaty podobnych pomiarów, dokonanych na rozmaitych mózgach zwierzęcych.

Jeśli oznaczymy jednostką (1) ciężar całego mózgu, to wypada, iż ciężar półkul mózgowych u człowieka wynosi 0,78, u lisa 0,686, u zająca 0,567, u kreta 0,56, u królika 0,538, u łasicy 0,522, u szczura 0,518, u myszy polnéj 0,512, u wiewiórki 0,41. I te liczby mogą jeszcze nie zupełnie jasne dać pojęcie, choć względnie zapewne dość

bliskie są prawdy. Dr. Snell przeto obrał drogę jeszcze zawilszą, która pozwala mu przy pomocy skomplikowanego rachunku matematycznego dojść do oznaczenia liczbą t. zw. „współczynnika psychicznego“. Otrzymuje zaś ten współczynnik, uwzględniając zarówno pomiary mózgu, jak i ciała zwierząt. I istotnie dochodzi tym sposobem do takiego szeregu, w jakim rzeczywiście najlepiéj dają się pomieścić zwierzęta co do swych zdolności duchowych. Na czele więc stoi człowiek, a następnie idą (że wymienię tu tylko niektóre zwierzęta): małpy, słoń, półmałpy (lemur), wiewiórka, kretomysz, zając, szczur, kret, jeż, mysz polna, wieloryb.

*Maksymiliam Flaum.*





# DWIE ETYMOLOGIE.

## Co znaczy Wisła?

Z pomiędzy wszystkich Słowian, powiedzieć nawet można: z pomiędzy wszystkich narodów europejskich my, Polacy, najmniéj etymologizujemy. Nie jakoby i u nas nie było etymologów, którychby zgadującymi nazwać można, ale właśnie te zgadywane etymologie, na powierzchownem podobieństwie brzmień oparte, najczęściéj wskutek tego błędne i do fantastycznych używane wniosków, wzbudziły nieufność do słoworodu i słoworodowania wogóle, przytłumiły w nas potrzebę szukania historyi i pierwotnego znaczenia wyrazów.

Szkoda, jaka stąd dla nas płynie, jest bardzo wielka. Nie rozumiemy należycie języka naszego, mówimy i piszemy stylem konwencyonalnym, a więc frazesowym, bez precyzyi, nie dobiérając właściwych wyrazów na wyrażenie naszych myśli i odcieni naszych myśli.

Ten stan rzeczy pogarsza się z każdym dniem pod wpływem obcych języków, których uczyć się jesteśmy zniewoleni. Nietylko obce wyrazy, ale zwroty całe i sposoby mówienia niemieckie, francuskie wciskają do naszego języka, który wobec tego nacisku staje się coraz bezsilniejszym i traci znamię rodzime. Obowiązany zajmować się językami obcemi, których znajomość dla nas bardzo jest potrzebna i pożyteczna, czułem niebezpieczeństwo zagrażające stąd czystości naszéj mowy, a oglądając się za skutecznem przeciwko temu lekarstwem, nie powiem jedyne, ale jedno z najlepszych znalazłem w etymologii.

Słoworodowanie jest jedną z gałęzi językoznawstwa, wymaga

więc dobréj znajomości zasad i prawideł téj nauki, która dzisiaj oparta jest na podstawach bardzo bezpiecznych, kto zaś te posiada, znajdzie dany słoworód z taką pewnością i bezpieczeństwem, jakie nauka wogóle dać może.

Nie słusznie tedy, zdaniem mojém, prof. Kalina wypowiedział najzupełniejsze zwątpienie, mówiąc: „Kto mi może wytłómaczyć, dlaczego Bug Bugiem, a Wisła Wisłą się nazywa?“ [1]). Prawda, że na téj drodze, na któréj prof. Kalina przed kilku laty Zelmana i Konika Zwierzynieckiego wywodził z Syryusza i Selene (przez *sal*, *sur*, *sar*, *ser*, *sel*, *sfer*, *sfel;* zobacz Warta r. 1884) do wyników naukowych nie dojdziemy, że jednak nawet tak oporne wyrazy, za jakie prof. K. Wisłę i Bug uważa, rozjaśnić się dadzą, to właśnie w krótkości przedstawić się pokuszę.

Zaczynając od wyrazu W i s ł a, przypomnijmy, że z dawnych naszych pisarzy, którzy mieli więcéj zamiłowania w słoworodowaniu, niż my, już Długosz (Hist. I, 9) i Klonowicz (Flis, przedmowa) próbowali nazwę tę wytłómaczyć. Niestety, jeden i drugi wywodzili ją od niemieckiego wyrazu *weiss* i tłómaczyli jako b i a ł ą w o d ę, w czém się mylili, uwiedzeni wielkiém podobieństwem brzmienia. Ale już Schleicher powiedział, że gdy dwa wyrazy, z różnych pochodzące języków, są w brzmieniu bardzo do siebie zbliżone, wtedy właśnie największa ostrożność jest najpotrzebniejszą, a omyłka najłatwiejszą. Linde, który powyższą etymologią przytacza, chociaż jéj nie podziela, wywodzi nazwę Wisły od celtyckiego pierwiastku *vis*, woda. Ostatnim zaś, który to pytanie rozbiérał, był za wcześnie zgasły Hanusz. Poszedł on za Lindem, sam uwydatniając trafnie kilka momentów. Tak np. odparł wywodzenie téj nazwy od niemieckiego *weiss*, wykazując, że wyraz ów, w owym czasie, kiedy Strabo i Ptolemeusz pierwsi nazwę Wisły nam podali, brzmiał nie *weiss*, lecz *hveit*, z czego późniéj *weit* i *weiss*. Trzeba bowiem wiedziéć, że liczne wyrazy niemieckie straciły nagłosowe *h*, w którém to miejscu języki litewsko-słowiańskie powinny podług praw językoznawczych posiadać brzmienie *k*, posiadać aż do dziś. Tak np. niemiecki wyraz *Weitzen*, pszenica, brzmiał także *Hveits*, czemu odpowiada litewsko-polski wyraz k w i e t y s z, zaś z wyrazem *weiss* (*hveit*) możnaby chyba porównać nasz k w i a t.

Wynik swego roztrząsania streścił Hanusz w sposób następny: „Formy *Vistula*, *Vistla*, *Viscla* (tak najdawniejsze kodeksy greckie i łacińskie piszą tę nazwę) przedstawiają brzmienie najstarszéj formy

[1]) Zobacz drugi tom „Pamiętnika drugiego zjazdu historyków polskich.

słowiańskiéj *Vis-tła.* Wyraz ten oznacza wodę w ruchu, jako „coś, co moczy, rozléwa, rozpływa się.“

Zapytajmy się poczucia naszego językowego i duchowego, czy nas to wytłómaczenie zadawala? O ile mnie tyczy, wyznaję, że wcale nie. Wynik powyższy uważam jako błędny i to w całości, a powody zaraz podam.

Autor bez żadnéj podstawy przyjął przyrostek *tła*, idąc za pisarzami grecko-łacińskimi, ale dlaczegóż tedy nie przyjął przyrostku *kła*, który oni także podają? Ani jednego, ani drugiego przyrostku tu nie ma, tylko przyrostek *ła,* u nas tak żywy w imiesłowach i przymiotnikach. Gdyby bowiem nazwa ta miała u nas kiedykolwiek przyrostek *tła*, to byłaby ją dotąd zachowała albo niezmienioną, albo téż asymilowaną w postaci W i z d ł a, jak mówi się n o z d r z a od n o s, albo ź d ź b ł o od *stipulus.*

Przyrostek ten jest niemożliwym jeszcze z innego powodu. Mamy go w naszym języku w postaci *ciel* (przyjaciel, nauczyciel), albo w czeskiéj *tel* (obywatel), w jednym zaś i drugim razie, jak i zawsze tworzy *nomina agentis*, imiona osób czynnych, nazwa Wisły zaś ma znamię przymiotnikowe, a więc przyrostka *tła* nigdy miéć nie mogła. Grekołacinnicy nie lubili zbiegu brzmień *sl*, któremu zapobiegli w ten sposób, że wsuwali w środek *k* lub *t*. Nazwę *Slavi* przemienili w ten sposób w *Sclavi* i *Stlavi*, nazwę *Visla* na *Vistla*, *Viscla*, *Vistula.*

Zbyt łatwo téż usunął sobie Hanusz trudność największą, przyjmując pierwiastek *vis*, milczkiem z keltyckiego zamieniając go na słowiański i dając mu dowolne znaczenie. U nas *wis* daje *wisiéć*, a nic takiego „co moczy, rozléwa się“, o keltyckiéj zaś nazwie na obszarze Wisły mowy być nie może.

Stajemy tedy wobec trudności, że Wisłę można jedynie odnieść do *wisiéć*, co oczywiście żadnego nie daje sensu. A jednak do innego źródłosłowu należéć nie może, jeżeli ma być słowiańską.

Wiemy, że w matematyce zamiast niewygodnego jakiego wyrazu w zrównaniu możemy podstawić inny, byle mu był równoważny. Czy czegoś podobnego i tutaj wykonać nie można? Zamiast *w* moglibyśmy podstawić *u*, zamiast *i* jat', ale to nie przyda się na nic. Jednakże zamiast *s* możemy wstawić *ch*, jak to widzimy w wyrazie m i c h a obok m i s a, w ł o c h a t y zamiast w ł o s a t y. W ten sposób zamiast źródłosłowu *wis* otrzymamy *wich.* Brzmienie *s* bowiem ma i w innych językach aryjskich skłonność do przemieniania się w danych warunkach w inne, z niém spokrewnione; w łacinie przechodzi w *r*, np. *vis, viris;* w germańskiém także w *r*, np. *lesjan—lehren.* U nas, jak to widzieliśmy, przechodzi w *ch.*

Cóż z tego? Przyda nam się to na co? Być może, chodzi tylko o to, aby znaleść historyczne stwierdzenie téj przemiany, odnośnie do nazwy Wisła. Rozpatrzmy się, a znajdziemy nazwę Zawichost, która chyba może tylko oznaczać miejscowość za Wich-łą leżącą. Jedno z drugiém daje nam punkt wyjścia dostatecznie silny.

Ta cenna nam nazwa Zawichostu prowadzi nas do ruskiéj nazwy Wihor, rzeki, którą my Wiarem nazywamy. Mają jeszcze ruskie kroniki nazwę Struwihor, po naszemu Strwiąż. Okazuje się z tego, że źródłosłów *wich* (zmienna pisownia *ch*, *h* nic tu nie znaczy) powtarza się kilkakrotnie w słowiańskich nazwach rzek, nazwa zaś Zawichostu świadczy, że i Wisła jest w pokrewieństwie z tym źródłosłowem. Że zaś źródłosłów *wich* daje nazwę wicher (wihor), przeto Wisła znaczy rzekę wichrowatą, rwiącą, z wirami i prądami, która to nazwa Wiśle na średnim i dolnym biegu bardzo przystoi.

Celem dalszego poparcia przytoczmy jeszcze pokrewny litewski wyraz *vėsulas*, już przez Miklosicha przy nazwie Wisła podany. W naszéj fonetyce wyraz ten brzmiałby *visulo*, wreszcie *vislo*, a dziwna rzecz, że właśnie ten wyraz znaczy wicher, orkan, wir. Formę ma naszą, znaczenie ruskie, wiążąc tym sposobem jedno z drugiém i stwierdzając, że naszym przodkom Wisła przedstawiała się jako rzeka burzliwa, wichrom otwarta, groźna i od téj właściwości dali jéj znamienną nazwę.

Zróbmy jeszcze krok daléj. Od czego może pochodzić wiecha? Najprędzéj od wisiéć, boć ją się wiesza zwyczajnie. Albo czy téż nie od wiać (wějati), ponieważ powiewa. Od czegoż tedy? Nam się zdaje, że od jednego i drugiego zarazem. Cóż bowiem znaczy wisiéć? Znaczy tak być utwierdzoném, że się powiewa. Jeżeli teraz zważymy, że wyraz wisiéć nie ma pokrewnego sobie w językach germańskich, ani téż w innych aryjskich, uznać w nim należy utwór słowiański, pierwiastek drugorzędny, urobiony od pierwszorzędnego wiejati—wiać. W takim razie Wisła jednak należałaby do wisiéć, tylko trzeba było bardzo okrążać, aby rozpoznać powinowactwo ich znaczenia. W bliższe uzasadnienie wywodu wisiéć od wiać tutaj wchodzić nie mogę.

Jednę jeszcze okoliczność poruszyć i wyjaśnić należy. Na północ od Lwowa, nad rzeczką Jaryczówką leży wieś Wisłoboki, nazwa zaś jéj wyraźnie mówi, że to wieś na boku rzeki leżąca. Gdzieś na Podolu nad Seretem leży wieś Uwiśle, a nazwa jéj jest analogiczna do Urycze, czyli Urzecze. Więc czyby jednak źródłosłów *wis* miał znaczyć u nas wodę? Nic takiego przypuszczenia nie

stwierdza. Nam się zdaje, że z koloniami mazurskiemi przyszła na wschód nazwa Wisły na każdą wodę płynącą, na każdą rzekę i rzeczkę. Z imienia własnego stała się gatunkowém, podobnie jak w pieśniach ruskiego ludu nazwa sławnego Dunaju przeszła na każdą większą rzekę wogóle.

## Co znaczy Bug?

Pisarze starożytni, którzy nam podali nazwę Wisły, o Bugu milczą. Z pomiędzy licznych nazw u Ptolemeusza być może, że się która odnosi do Bugu, ale nie można rozpoznać dokładnie która, żadna téż na dzisiejszą naszą nazwę nie wskazuje. Z późniejszych historyków Jornandes, z wieku VI-go po Chr. przytacza dwie nazwy rzek: Vagus i Vagosola, dające się odnieść niejako do Bugu i Bohu, dwu rzek podobnéj na pozór nazwy. Tworzy to trudność niemałą, ponieważ przejście z Bugu do Vagus jest niemożliwe, choćbyśmy je przez germańską gębę przeprowadzili, chcę powiedzieć, przez germańskie właściwości fonetyczne.

Jestże Bug nazwą czysto słowiańską? Siedziby Daków nie sięgałyż aż na obszar téj rzeki? Zdaniem naszém, nazwa Bugu jest jedynie słowiańską, czego dowiedziemy, jeżeli zdołamy wyjaśnić ją ze źródłosłowu słowiańskiego.

Przedewszystkiém oddzielmy nazwy Bugu od Bohu, jako nic wspólnego ze sobą, mimo pozoru, nie mających i trzymajmy się jedynie Bugu, nazwy, którą już Nestor podaje. Po rusku brzmi ona Buh. Identyczny z nią źródłosłów *buh* żyje w wyrazach buchać, buchnąć, mających w ruskiém to samo, co w polskiém znaczeniu. O ile wiemy jednak, Bug ani przy źródle, ani przy ujściu nie bucha, silnie nie uderza, nie wybucha gwałtownie w górę, więc znaczenie to na nic się nam nie przyda i przynależność nazwy Bugu do źródłosłowu *buh* wątpliwém czyni.

Nie traćmy jednak otuchy. Bo oto słowieński wyraz buchnoti znaczy nabrzmiéć, wzbierać, coby dało się tłómaczyć jako rzekę wzbierającą. Jednakże przenosić znaczenie od Triglavu aż na Wołyń, byłoby postępowaniem zbyt swobodném.

Idźmy daléj. Wyraz rosyjski bugor, od tego samego etymonu pochodzący, znaczy wzgórze, od czego bugritj ryć, wzgórza tworzyć. To znaczenie wiąże się niejako ze słowieńskiém nabrzmiewać, czémże są bowiem wzgórza, jeżeli nie nabrzmiałościami lądu? Ale czy Bug tworzy wzgórza?

W rzeczy samej, dolina Kołtowska, z której wypływa, otoczona jest wysokiemi ścianami, także i w całym dalszym biegu towarzyszą Bugowi wzgórza, które w płaskowyżynie odrył. Trafnie byłby więc nazwany rzeką, która wzgórza odpłukuje, której wzgórza towarzyszą. Ale czy to pewne? Jakiż związek pomiędzy buchaniem a wzgórzem, jak wywieść jedno z drugiego?

Podług słownika geograficznego bardzo są liczne wsi w Królestwie, Poznańskiém i w Galicyi, noszące nazwę Bugaj. Słownik dodaje, że zwyczajnie położone są nad wodą, co należy rozumiéć: nad rzeką. Trzeba bowiem wiedziéć, że w naszym płaskim kraju ściany dolin rzecznych zawsze są wzgórzami, gdy na nie od wody patrzymy, nazwa tych wsi pochodzi jednakże od położenia na wzgórzach, nie zaś od wody.

To nas naprowadza na domysł, że zasadniczém znaczeniem naszego pierwiastku *bug* jest wzgórze, domysł stwierdzony taką nazwą miejscowości, jak Podbuż, która leży w Samborskiém nad Bystrzycą. Miejscowość ta nie leży nad Bugiem, nie może téż leżéć pod żadną wodą, ale leży rzeczywiście pod górą, czyli u jéj stóp. Dopiéro więc od bugu, jako góry, poszło znaczenie buchać, czyli w górę bić. Od tego wybuchnąć w górę, jak płomień, w dalszym zaś biegu buchnąć, silnie uderzyć choćby w dół, albo w bok. Z tego to znaczenia poszła téż nazwa buhaja, czyli bugaja po staropolsku, jako tego, który silnie uderza.

Skąd jednakże *bug* może znaczyć wzgórze? Moglibyśmy pytanie to zbyć odpowiedzią, że takie było doń przywiązane znaczenie najpierwsze, w tym razie jednakże znajdujemy w germańskiém wątek dalszego jeszcze rozwoju. Wyraz *bug* zostaje w słoworodném powinowactwie z wyrazem *biegen*, *Bogen*, po starogermansku: *biugen*, *bang*, *bugum* (*biegen*, *bog*, *ge-bogen*). Nasz Bug odpowiada fonetycznéj formie *bang*, od któréj *Bogen*. Otóż tak jak od łączyć mamy łąka, łuk, nawet łęg, tak od *biegen* giąć, mamy Bogen, ale i Bug wzgórze, czyli inaczéj: czasownik łączyć dał nam nazwy na wklęsłość, zaginiony zaś u nas czasownik pierwotny *bug-ti bužti*, dał nazwę na wypukłość. Czasownik, który u nas zuikł, dochował się w germańskiém, ale nie dał nazwy na górę, tylko właśnie na łuk, *Bogen*. Ostatecznie bowiem i *biegen* i łączyć mają znaczenie podobne.

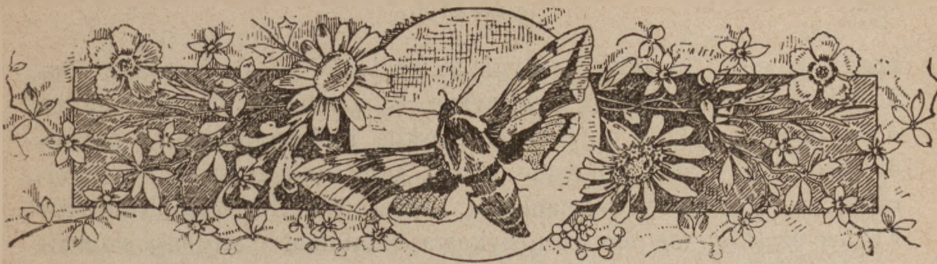
Z tego, cośmy powiedzieli, wynikałoby, że nazwa rzeki Bug, przedstawiająca prawie nagi pierwiastek, zawiera jakoby w ziarnie wszystkie te znaczenia, które się później z niego rozwinąć miały,

a więc tworzenia wzgórz, ale także wzbierania, silnego parcia. Określmy więc Bug jako rzekę, która wzgórza tworzy, pagórkowate okolice przepływa, ale i jako tę, która wzbiera, silnie napiera. Pierwsze jednakże znaczenie wydaje się nam zasadniczém.

W każdym razie, czy nie przyznamy, że etymologizowanie odsłania nam sposób myślenia, tajemnice umysłowości naszych najdawniejszych ojców i że ono dopiero wyjaśnia nam właściwe znaczenie wyrazów? Czy nie pokrzepi języka? Niezliczone dałyby się na to przytoczyć przykłady.

*Dr. Maksymilian Kawczyński.*





# AKADEMIA CZESKA

## NAUK I SZTUK PIĘKNYCH W PRADZE.



W Belwederze, prześlicznym pałacyku letnim, który w XVI-ym wieku zbudował Ferdynand, król czeski, z domu Habsburgów, dla ukochanéj małżonki swéj Anny Jagiellonki, w opustoszałéj dziś sali rozwieszono długi szereg obrazów, charakteryzujących najważniejsze momenty z dziejów narodu czeskiego. Ostatnim z nich jest obraz malarza wiedeńskiego, Jana Tilla, przedstawiający uroczyste posiedzenie towarzystwa naukowego czeskiego z r. 1790, które zaszczycił swą obecnością cesarz Leopold II-gi. Aczkolwiek, jak się zdaje, tak malarzowi, jak i organizatorom owéj galeryi, szło głównie o manifestowanie swéj lojalności względem domu panującego, jednakże szczęśliwém zdarzeniem pochwycono chwilę, charakteryzującą dość wyraźnie trudny do ujęcia w obrazie ruch początków odrodzenia narodowego. Istotnie, w dobie, gdy już zabiérano się do ostatecznéj germanizacyi narodu czeskiego, który w klasach inteligentnych zdawał się już dobrowolnie abdykować ze swéj odrębności językowéj i narodowéj, ruch wypłynął z dążności naukowych, mających na celu zachowanie dla wiedzy ginących szczątków czeszczyzny ze stanowiska filologicznego i historycznego. Mężowie tacy, jak historycy Pelzl, Dobner, oraz znakomity lingwista Dobrowsky, pracowali nie tyle z wiarą, że kładą podwaliny dla podniesienia głęboko upadłego narodu, co w najoptymistyczniejszych swych nadziejach ledwo przypuszczali nieśmiało — ile w chęci zachowania pamiątek narodowych dla skarbnicy ogólno-ludzkiéj wiedzy. Ogniskiem owych dążeń było założone r. 1769 „królewskie towarzystwo nauk czeskie“,

nazywające się „czeskiém“ jedynie ze względów geograficznych. Panowała w niém pierwotnie niemczyzna, po niemiecku pisywano dzieła o przeszłości czeskiéj, o językach czeskim i słowiańskich; z czasem dopiéro Czesi wywalczyli sobie prawo zabiérania głosu w języku ojczystym. „Towarzystwo naukowe“ oddało wielkie usługi literaturze i nauce czeskiéj, ale jego dwujęzykowa działalność i stosunkowo małe znaczenie bynajmniéj obecnych Czechów zadawalniać nie może.

Wiele także usług literaturze i nauce czeskiéj oddało założone już w początkach naszego wieku „Muzeum czeskie“, którego „Czasopis“ był długo jedynym składem dla uczonych artykułów, daléj bardzo cenna pod względem wydawniczym „Matice“, oraz towarzystwo dla popierania dążeń naukowych, zwłaszcza podróży, „Swatobor“. Po roku 1860-ym Czesi z nastaniem nowéj ery konstytucyjnéj zrobili nader rozległy użytek z prawa o stowarzyszeniach i pokryli kraj cały siecią najróżnorodniejszych „s p o l k ó w“, towarzyskich (jak np. tak zwane „besedy“), śpiewackich, muzycznych, handlowych, przemysłowych, gimnastycznych („sokołów“), straży ogniowych i t. d.

Pozostawało tylko jeszcze osiągnąć to, co byłoby ukoronowaniem wszelkich stowarzyszeń naukowych, co już posiadły były Wiedeń, Peszt, Zagrzeb i Kraków, mianowicie — akademię. O tém marzyli oddawna uczeni, a nawet przed trzydziestu mniéj więcéj laty słynny przyrodnik, Jan Ewaryst Purkynie, puścił był w świat popularną rozprawkę p. t. „Akademie“. Osiągnięciu owego celu marzeń stał zawsze na przeszkodzie brak funduszów, zbyt znacznych, aby można je było zebrać na drodze drobiazgowéj ofiarności publicznéj, wyczerpywanéj zresztą na najrozmaitsze inne cele. Stąd sądzono, że idea akademii czeskiéj nie wyjdzie nigdy po za obręb jałowych pragnień, gdy nagle r. 1888 rozeszła się wieść, że jakiś nieznajomy dobroczyńca w Wiedniu, celem uczczenia jubileuszu 40-letniego panowania Franciszka Józefa, ofiarował sumę 200,000 złotych reńskich na założenie w Czechach najwyższéj instytucyi naukowéj. Wieść owa zbudziła w kraju szalony zapał i wdzięczność dla osłoniętego mgłą niewiadomości dobroczyńcy, a zarazem chęć zdjęcia z jego imienia zasłony tajemniczości. Wkrótce wykryło się, że owym tajemniczym był radca budowniczy Józef Hlavka, głośny już i przedtém ze swéj hojności dla celów narodowych i filantropijnych. Znaną była jego piecza o dobro sztuki narodowéj, pomoc, okazywana młodemu pokoleniu artystów, nakoniec poparcie finansowe w dziele zreformowania akademii malarskiéj. Dar Hlavki zwiększyły składki dobrowolne, które posypały się obficie, i wkrótce przeszły sumę 50,000 złr.

Projekt, opracowany przez wydział krajowy i uchwalony przez

sejm, przedstawiono na zatwierdzenie cesarzowi i dnia 23 stycznia 1890 r. Franciszek Józef udzielił sankcyi statutowi akademii. Statut ów różnił się od ustaw innych akademii austryackich, trzymał się więcéj wzoru „Instytutu francuskiego“ i ustanawiał osobny wydział „literatury nadobnéj i sztuk pięknych.“ Członków honorowych *maximum* ustanowiono na 16, zwyczajnych na 57, z tych pierwszych członków w stosunku trzeciéj części mianował sam cesarz na przedstawienie wydziału krajowego. Protektorem akademii został arcyksiążę Karol Ludwik, brat cesarski, który już przedtem przyjął był protekcyę akademii krakowskiéj.

Pierwszych akademików cesarz mianował 22 kwietnia 1890 w liczbie 19. Z tych, w oddziale filozofii, nauk prawnych i politycznych, historyi i archeologii, krzesła akademickie zajęli: Wacław Władywój Tomek, Józef Emler, Józef Kalousek, Antoni Randa i Emil Ott.

Tomek (ur. 1818), b. profesor historyi austryackiéj w uniwersytecie praskim, zasłużył się wielce dziejopisarstwu krajowemu. Z jego nader poważnych dzieł na szczególniejszą uwagę zasługują „Dzieje miasta Pragi,“ doprowadzone do tomu VII, w którym jeszcze nie wybrnął z epoki wieków średnich. Daléj znane są i cenione „Dzieje uniwersytetu praskiego,“ „Jan Żiżka,“ mnóstwo monografii, oraz książka podręczna „Dzieje królestwa czeskiego.“

Dr. Emler (ur. 1835 r.) piastuje godność archiwisty miasta Pragi i wykłada w uniwersytecie nauki historyczne pomocnicze, przytém zyskał sobie imię staranném wydawaniem źródeł dziejowych.

Dr. Kalousek (ur. 1838), docent historyi czeskiéj w uniwersytecie, znany jest z wielu monografii dziejowych, między innémi z „Obrony Wacława świętego.“ Ważném także dziełem jest jego „Prawo polityczne czeskie.“

Dr. Randa (ur. 1834) wykłada w uniwersytecie prawo cywilne, handlowe i wekslowe i uchodzi słusznie za założyciela nowoczesnéj szkoły prawniczéj czeskiéj. Mnóstwo jego prac prawnych, napisanych po czesku i po niemiecku, cieszy się wielką wziętością w świecie naukowym.

Dr. Ott (ur. 1845) wykłada w uniwersytecie procedurę sądową i zajmuje się badaniami historycznemi w dziedzinie prawa krajowego.

W oddziale II matematyki, nauk przyrodniczych, geografii i fizyki otrzymali godność akademików, dr. Emil Weyr (ur. 1844), dr. Franciszek Studniczka (ur. r. 1836), Wacław K. Zenger (ur. 1830 r.), dr. Karol Korzistka (ur. 1825 r.) i dr. Władysław Czelakovsky (ur.

1834). Z tych dwaj pierwsi są profesorami uniwersytetu, dwaj drudzy wykładają w technice czeskiéj w Pradze; wszyscy czteréj uchodzą za niepowszednich matematyków. Co się tyczy Władysława Czelakowskiego, syna głośnego w literaturze poety, to ten wykłada w uniwersytecie botanikę i zyskał sobie imię pierwszorzędnego botanika w Europie.

W oddziale III filozofii, języka czeskiego i literatury mianowano akademikami dr. Jana Kviczalę, dra. Jana Gebauera, Wincentego Brandla i Franciszka Bartosza. Kviczala (ur. 1834 r.) zajmuje stanowisko profesora filologii klasycznéj. Gebauer (ur. 1838 r.) wykłada w uniwersytecie język czeski i znany jest dobrze jako autor gramatyki staroczeskiéj i wydawca pomników starodawnéj literatury, a nadto ze swych prac krytycznych, obalających autentyczność rękopisów Zielonogórskiego i Królodworskiego. Brandl (ur. r. 1834) jest archiwistą krajowym w Morawii i ogłosił wiele pomników dziejowych morawskich, oraz nie mało artykułów o przeszłości krajowéj. W przeciwieństwie do Gebauera bronił autentyczności „Sądu Lubuszy.“ — Nakoniec Bartosz (ur. 1837 r.), dyrektor gimnazyum w Bernie, należy do pierwszorzędnych folklorystów słowiańskich. Nauce dał piękne prace o ludzie morawskim oraz zbiór pieśni ludowych.

Oddział IV literatury nadobnéj i sztuk pięknych otrzymał pięciu akademików w osobie Jarosława Vrchlickiego (ur. 1853 r.), znakomitego poety, Antoniego Dworzaka (ur. 1841 r.), sławnego muzyka, Józefa Wacława Myslbeka (ur. 1842), głośnego rzeźbiarza, Wacława Brozika (ur. 1852 r.), wielkiego malarza. Piątym akademikiem w tym oddziale został Józef Hlavka, wspomniony już radca budowniczy (ur. 1841 r.), właściwy założyciel akademii.

Mianowani od korony akademicy zeszli się 3 Lipca r. 1890 i pod przewodnictwem ks. Jerzego Lobkowica, marszałka krajowego dopełnili wyboru nowych członków. Do sekcyi I weszli: Dr. Józef Durdik (ur. r. 1837), profesor filozofii, filozof ze szkoły Herbarta i autor wielu rozpraw; daléj dr. Antoni Gindely (ur. r. 1829), historyk Braci czeskich oraz doby wojny Trzydziestoletniéj, dr. Hermenegild Jireczek (ur. 1827 r.), słynny dziejopis prawa słowiańskiego w Czechach, dr. Jerzy Prażak (ur. 1846 r.), profesor prawa państwowego, dr Franciszek Laurin, kapelan nadworny oraz profesor prawa kościelnego w Wiedniu, nakoniec dr. Jaromir Czelakovsky (ur. r. 1845), profesor dziejów prawa w Czechach, dobrze znany z prac naukowych na tém polu.

W sekcyi II pozyskali godność akademików: Józef Szolin (ur. 1841 r.), profesor techniki w Pradze, matematyk, dr. Otokar Feistmantel (ur. r. 1848), profesor mineralogii i geologii w politechnice,

słynny jako podróżnik po Indyach Wschodnich, dr. August Seydler, asystent obserwatoryum w Pradze, autor wielu rozpraw astronomicznych i fizycznych, a głównie trzechtomowéj fizyki, napisanéj po czesku, dr. Edward Albert (ur. r. 1841), znakomity chirurg i profesor w Wiedniu, dr. Bogumił Eiselt (ur. r. 1831) i dr. Włodzimierz Tomsa (ur. r. 1830). Ci dwaj ostatni, profesorowie fakultetu medycznego w Pradze, znani są dobrze w nauce, pierwszy w dziedzinie, chorób wewnętrznych, drugi jako znakomity fizyolog.

Sekcya III pozyskała sobie Karola Tieftrunka, historyka dziejów literatury, prof. Antoniego Truhlarza (ur. r. 1849), również znanego z prac w tymże kierunku, Marcina Hattalę (ur. 1821 r.), profesora uniwersytetu i głośnego lingwistę, słowaka rodem, Antoniego Rybiczkę (ur. r. 1812), uprawiającego historyę, genealogię, heraldykę, dyplomatykę i archeologię, oraz Franciszka Kotta, emeryta, b. profesora gimnazyum, znanego leksykografa i lingwistę.

W sekcyi IV znaleźli się: Świętopełk Czech, poeta (ur. r. 1846), autor wielu poematów, nowel i opowiadań satyrycznych, piewca partyi słowiano-filskiéj, nie wolny od doktrynerstwa owego stronnictwa. Daléj Alojzy Jirasek (ur. r. 1851), profesor gimnazyum, autor wielu powieści i nowel, głównie historycznych, który w ostatnich czasach wystąpił pomyślnie na polu dramatyczném, Franciszek Jerzabek (ur. r. 1836), autor kilku dramatów, trwałe miejsce w repertuarze czeskim zajmujących („Sługa swego pana," „Syn człowieka"), badacz „staréj doby poezyi romantycznéj." Jako architekt wszedł tutaj Józef Mocker (ur. 1885 r.), jako malarz dobrze znany w kraju i zagranicą Juliusz Marzak (ur. r. 1835), nakoniec jako muzyk Karol Bendl (ur. r. 1838), twórca oper „Lejla," „Brzetysława i Judyty," „Czarnogórców," „Dziecię taboru" i innych.

Wybór prezesa i sekretarza akademii nastąpił w kilka dni potém, mianowicie 12 lipca. Jak słusznie należało oczekiwać, przewodnictwo przyznano wspaniałomyślnemu twórcy saméj akademii, Józefowi Hlavce, na sekretarza generalnego zaś wybrano słynnego matematyka d-ra. Fr. Studniczkę, po którym obecnie sekretarstwo sprawuje Józef Szolin.

Aby przedstawić w pełnym obrazie cały obecny skład akademii, wyliczamy pozostałych członków, których wybór nastąpił na rozmaitych posiedzeniach wyborczych. Okrom już przytoczonych wyżéj, członkami zwyczajnymi w oddziale I są jeszcze: dr. Jerzy Prażak, profesor prawa publicznego, dr. Klemens Borovy, kanonik i prałat u św. Wita na zamku praskim, znakomity teolog i historyk kościoła, dr. Antoni Pavliczek, adwokat z Karlina, wyborny znawca prawa,

nakoniec syn b. ministra i historyka Józefa Jireczka, sam niegdyś minister oświecenia w księstwie bulgarskiém, prof. dr. Konstanty Jireczek, autor dobrze znanéj książki „Dzieje bulgarskie.“

W oddziale II poczet członków zwyczajnych zwiększyli: dr. Edward Weyr, prof. matematyki, prof. dr. Antoni Fricz, znakomity zoolog, dr. J. Schöbl, prof. okulistyki, dr. A. Spina, profesor patologii, oraz dr. B. Rayman, profesor chemii.

Oddział III, któremu ustawa przeznaczyła najmniejszą ilość członków, pozyskał nowego członka zwyczajnego w osobie d-ra W. E. Mourka, prof. literatury niemieckiéj w uniwersytecie czeskim, piszącego o literaturze angielskiéj.

Do oddziału IV jako członkowie zwyczajni przybyli: poeta w duchu narodowym prof. Adolf Heyduk, architekt Józef Schulz, znany dobrze z pełnych wdzięku obrazów malarz Franciszek Żeniszek, oraz kompozytor Zdeniek Fibich, którego opery, oraz muzyka do melodramatu Vrchlickiego „Hippodamia“ stawiają wysoko w świecie muzycznym.

Do szeregu członków nadzwyczajnych należą — w oddziale I dr. Alojzy Zucker, profesor prawa kryminalnego, dr. Zygmunt Winter, wyborny znawca dziejów kultury czeskiéj, Franciszek Storch, prof. procedury karnéj, dr. Albin Braf, prawnik, znany działacz polityczny w partyi staroczeskiéj, zięć Riegra, nakoniec prof. dr. Antoni Rezek, znakomity historyk, ciągnący daléj prace Palackiego i Gindelego.

W oddziale II członkami nadzwyczajnymi obrani zostali: dr. Chodounsky, docent balneoterapii, znany u nas dobrze ze zjazdów lekarskich, dr. Strouhal, profesor fizyki doświadczalnéj, dr. Otomar Novak, profesor geologii, dr. Hlava, profesor patologii, dr. B. Brauner, profesor chemii w uniwersytecie, dr. J. Janoszik, profesor histologii i embryologii, dr. Franciszek Maresz, profesor fizyologii, nakoniec dr. Velenowsky, docent fytopalaeontologii.

W oddziale III członkami nadzwyczajnymi zostali: Antoni Matzenauer, zajmujący się badaniem porównawczém języków słowiańskich, Adolf Patera, kustosz Muzeum czeskiego, wydawca pomników literatury staroczeskiéj, Józef Truchlarz, skryptor biblioteki uniwersyteckiéj, redaktor „Czasopisu Muzeum czeskiego,“ dr. Robert Novak, profesor filologii klasycznéj w uniwersytecie, J. Kosina, inspektor szkół, autor głośnych „Gawęd na Olimpie,“ wyborny znawca języka czeskiego, Franciszek Leparz, radca szkolny, znakomity peda-

gog, dr. J. Jarnik, profesor filologii romańskiéj w uniwersytecie, specyalista w rzeczach rumuńskich.

Członkami nadzwyczajnymi oddziału IV są: rzeźbiarz A. P. Wagner, Franciszek Sequens, rektor akademii malarskiéj, Maksymilian Pirner, profesor tejże akademii, Józef Mauder, rzeźbiarz, W. Hynais, malarz, oraz Franciszek Herites, nowelista, znany zaszczytnie ze swych obrazków życia na prowincyi.

Członkami korespondentami zostali obrani w I oddziale V. Royt, inspektor szkół w Morawii, autor wielu artykułów historycznych, dr. K. Jiczinsky, autor studyów o historyi prawa czeskiego, monsignore Ferdynand Lehner, pracownik w dziedzinie archeologii chrześciańskiéj i historyi muzyki, August Sedlaczek, archeolog, wydawca znakomitego dzieła o miastach, grodach i zamkach czeskich, dr. J. Pospiszil, profesor dogmatyki w Bernie morawskiém, Fr. A. Slavik, pracujący nad dziejami oświaty w Czechach, dr. J. Heller, Fr. Maresz, archiwista w Wiedniu, autor wielu wybornych artykułów z historyi kultury, Józef Strnad, profesor gimnazyum w Pilźnie, pracujący nad starożytnościami miasta i okolicy,

Członkami korespondentami w oddziale II są: August Panek, profesor techniki, matematyk, K. Domalip, także profesor techniki, elektrotechnik, dr. Em. Meixner, medyk, prof. uniw., dr. K. Pavlik, prof. akuszeryi i gynaekologii, K. Maszka, badacz palaeontologii jaskiniowéj, dr. K. Maydl, profesor chirurgii, dr. Thomayer, medyk, prof. uniw., Władysław Duda, przyrodnik, dr. Franciszek Bayer, przyrodnik, dr. A. Hausgirg, docent uniwersytetu, wykładający fizyologię roślin, Fr. Machovec, matematyk, Józef Klvaňa, mineralog, dr. G. Kabrhel, profesor patologii doświadczalnéj, Mat. Lerch, docent matematyki na technice w Pradze, K. Pelc, profesor geometryi opisującéj na technice w Hradcu, K. Kruis, docent, wykładający naukę o barwnikach organicznych.

W oddziale III członkami korespondentami zostali: Antoni Vrtiatko, dyrektor Muzeum czeskiego, Józef Korzinek, etnograf słowiański, Ignacy Maszek, filolog, dr. T. Jedliczka, W. Steinmann, klasyk, Fryderyk Spiess, autor wielu artykułów literackich, W. Prasek, dyrektor gimnazyum w Opawie na Szląsku, historyk i filolog, Edward Kastner dyrektor gimnazyum, dr. Józef Novak, Fr. Bily, krytyk literacki, dr. Zubaty, docent gramatyki porównawczéj, Rudolf Dvorzak, oryentalista, oficyał Prymus Sobotka, autor cennych prac folklorystycznych, prof. Józef Szmaha, pracujący nad Komeńskim, dr. Cumpfe, dr. Machal, autor niedawno wydanéj „Mitologii słowiańskiéj,“ dr. Jerzy Polivka, docent uniwersytetu, autor gruntownych artykułów

z dziedziny badań nad literaturą podaniową, dr. Ignacy Vysoky, docent uniwersytetu, wykładający filologię klasyczną.

W oddziale IV pozyskali godność członków korespondentów: malarze B. Havranek, A. Barvitius, B. Knüpfer, architekt Fr. Schmoranz, z literatów zaś Jakób Arbes, powieściopisarz, autor powszechnie czytanych powiastek fantastycznych i socyalnych, dr. Józef Sztolba, notaryusz w Pardubicach, autor świetnych opisów podróży i komedyi, cieszących się powodzeniem na scenie praskiéj, nakoniec dr. Serwacy Heller, dziennikarz i powieściopisarz.

Takim sposobem mianowano i wybrano 54 członków zwyczajnych, 26 nadzwyczajnych, oraz 50 korespondentów. Śmierć w krótkim czasie wydarła akademii dwóch członków zwyczajnych, d-ra Otokara Feistmantla i d-ra Augusta Seydlera, oraz członka korespondenta Fr. Schmoranza. Wybór członków. jak się tego można było spodziewać, wydał się niejednemu niezbyt trafnym, ztąd odzywały się głosy niezadowolenia, a opozycya przeciwko akademii ujawniła się w nieprzyjmowaniu wyboru. O ile wiemy, tytułu akademików nie przyjęli: Wacław Vlczek, redaktor „Osviety,“ Ferdynand Szulc, redaktor ilustracyi „Zlatá Praha,“ Juliusz Zeyer, po Vrchlickim najznakomitszy poeta czeski, Józef Sladek, także poeta, F. A. Szubert, dyrektor „Teatru narodowego,“ Władysław Stroupeżnicky, dramaturg. t. j. kierownik repertoaru tegoż teatru, prof. Zitek, architekt, prof. Kolaczek z Berna, P. Prawda, literat.

Fundusze akademii składają się z kopitału żelaznego 260,229 złr. 6 kr., do którego weszły dar założyciela Józefa Hlavki i fundusz, powstały ze składek. Powiększą go zapewne niezadługo pieniądze składkowe, przyobiecane, ale dotąd nie wniesione jeszcze. Fundusz przeznaczony na różne wyraźnie określone cele wynosi 77,697 złr. 14 kr. Dochód roczny w r. 1891 wynosił 47,402 złr. 48 kr., źródłem jego były procenty z funduszu rezerwowego, oraz dwie subwencye roczne, krajowa 20,000 złr. i rządowa 16,000 złr. Z tego odłożono na zwiększenie kapitału 1421 złr. 17 kr., przeznaczono na wydatki ogólne 8290 złr., każdy zaś oddział miał do rozporządzenia 9,422 złr. 82 kr.

Z posiedzeń akademii przedewszystkiém godném jest uwagi uroczyste zagajenie, a zarazem otwarcie nowéj budowy Muzeum królestwa czeskiego. Odbyło się ono 18 maja roku zeszłego w dobie pamiętnéj wystawy w Pradze, a widownią uroczystości był wspaniały gmach Muzeum, wzniesiony ze składek narodowych ze zdumiewającym przepychem. Chwilę obrano wskutek tego, że przybył do Pragi dla obejrzenia wystawy protektor akademii, arcyksiążę Karol Ludwik.

Arcyksiążę przemówił po czesku do zgromadzonych, na co mu odpowiedział prezydent Hlavka. Dr. Studniczka jako sekretarz krótko wyłożył historyę powstania akademii. W końcu przemawiał dr. Józef Durdik „o jedności wykształcenia,“ przedstawiając wyższość nauki nad wszelkiemi jednostronnościami i wyłącznościami stronniczemi i narodowemi. Po Durdiku zabrał głos dr. Albert i wypowiedział odczyt „o dwóch światach,“ materyalnym i duchowym; w odczycie tym przebiegł główniejsze fazy rozwoju wiedzy nowoczesnéj. Na uczczenie tego dnia ogłoszono szereg premiów za najlepsze prace w każdym oddziale, którym przeznaczono po 2,000 złr. dla odpowiedniego podzielenia na pojedyncze premia. Między innemi oddział III wyznaczył 1,000 złr. na najlepszą pracę o zasługach Komeńskiego względem języka i literatury czeskiéj, albo téż względem szkolnictwa w ogóle. Niespodzianką dla obecnych był list Banku krajowego, donoszący, że zapewnioną jest w nim suma 15,000 złr. na postawienie przed gmachem Muzeum posągu św. Wacława, księcia czeskiego, co, rozumié się, winno dać podnietę do czynności rzeźbiarzy narodowych.

Uroczyste posiedzenie akademii odbyło się 2 grudnia tegoż roku w obec wielu przedstawicieli władz rządowych, oraz stowarzyszeń narodowych. Posiedzenie zagaił marszałek krajowy ks. Jerzy Lobkowic, kładąc w mowie swéj nacisk na to, że dotychczas praca naukowa narodu nie była dostatecznie oceniana, albowiem o wielu mężach nie wiedziano wcale, że należą do narodowości czeskiéj, jednakże jest nadzieja, że owemu „bezprawiu“ położy kres akademia, która „jako ognisko dążeń idealnych“ w ojczyźnie posłuży do tego, „aby siła duchowa, spoczywająca w narodzie czeskim, była dla niego zachowaną i dostąpiła ogólnego zasłużonego uznania.“ Po mowie księcia Lobkowica nowy sekretarz generalny Józef Szolin odczytał sprawozdanie o czynności akademii, poczem prof. Władysław Czelakowsky miał odczyt „o znaczeniu w nauce Jana Świętopełka Presla,“ przyrodnika, jednego z budzicieli narodowych, którego urodzin setna rocznica właśnie w tym czasie przypadła. Odczyt prof. Raymana „o chemii w biologii“ zakończył posiedzenie.

Rozumié się, że jubileusz Jana Amosa Komeńskiego musiał być uczczony w akademii w odpowiedni sposób. 26 marca r. b. zebrali się członkowie w Panteonie Muzeum na uroczyste posiedzenie, na którém prof. Józef Durdik miał zwięzły odczyt „o pansofii Komeńskiego,“ po nim zaś prof. Tieftrunk przemawiał „o zasługach J. A. Komeńskiego w literaturze czeskiéj.“

Zważywszy niedawne rozpoczęcie działalności akademii, nie możemy wymagać zbyt rozległéj czynności wydawniczéj, pomimo to musimy przyznać, że dotąd akademia wydała szereg cennych prac i rozpraw naukowych. Pominąwszy rozprawy oddziału I i II, jako zajmujące jedynie specyalistów, zwracamy uwagę na działalność oddziału III, mianowicie na rozprawę prof. Kviczali „Nowe przyczynki krytyczne i egzegetyczne do Enejdy Wirgiliusza,“ wydanie „Kroniki Dalemila według rękopismu w Cambridge,“ staraniem prof. d-ra. W. Mourka, oraz „Korespondencyę Komeńskiego“ zebraną i wydaną przez Adolfa Paterę. Ta ostatnia będzie zajmującą i dla naszych uczonych, albowiem listy owe rzucą nie jedno pasmo światła na stosunki nasze w skutek pobytu Komeńskiego w Lesznie, udziału w *Colloquium charitativum* w Toruniu i t. d. Między niemi znajduje się kilka listów, pisanych przez wielkiego pedagoga po polsku do rozmaitych magnatów owoczesnych.

Oddział IV rozpraw nie wydaje, za to udziela premia doroczne za najlepsze utwory z dziedziny poezyi i sztuk pięknych. Roku zeszłego otrzymali nagrody po 1,000 złr. Jarosław Vrchlicky za trylogię „Hippodamia,“ Ant. Dvorzak za „Requiem“ i W. Hynais za obraz „Prawda.“

Okrom tego przy pomocy subwencyi bezimiennego mecenasa oddział IV wydaje „Zbornik poezyi światowéj,“ w którym wyszły już „Orland szalony“ Ariosta przekładania Jarosława Vrchlickiego „Konrad Wallenrod“ przekładu Jozefa Sladka (z przedmową Ed. Jelinka); do tego wydawnictwa dr. J. Krsek przekłada Byrona, Fr. Taborsky Lermontowa, El. Krasnohorska Puszkina, Franc. Kvapil Asnyka. Najświeższym objawem czynności owego oddziału było ogłoszenie konkursu na libretta operowe z premiami 300 i 200 złr. Nagrodzone libretta staną się własnością akademii, która według swego uznania odda je do rozporządzenia kompozytorom.

Jako organ akademii wychodzi co miesiąc „Wiestnik“ oraz doroczny „Almanach.“ W pierwszym oprócz wiadomości administracyjnych akademii znajdujemy przeglądy z literatur zagranicznych. Do wypełniania rubryki polskiéj zaproszono Edwarda Jelinka.

Znaczna jest ilość subwencyi, udzielonych przez akademię na rozmaite przedsięwzięcia naukowe, literackie i artystyczne. Najważniejszą jest subwencya 1,500 złr., dana towarzystwu historycznemu na wydawnictwo „Źródeł prawa miejskiego w Czechach.“ Rozmaici uczeni otrzymali pomoc pieniężną na podróże i poszukiwania naukowe, inni znowu na wydanie dzieł swoich (np. prof. J. Velenowsky na druk

dzieła „*Flora bulgarica*“). Inni znowu otrzymali po prostu wsparcia lub stypendya.

Akademia czeska, będąc piątą z akademii słowiańskich, postarała się także wejść w stosunki ze starszemi siostrzycami swemi. Na posiedzeniu z 2 grudnia obrano kilku członków honorowych i zagranicznych, którzy dopiéro 21 lutego r. b. przez cesarza zatwierdzeni zostali. Z tych wymieniamy tylko d-ra Franciszka Raczkiego, kanonika infułata w Zagrzebiu, głośnego historyka chorwackiego. Na późniejszych posiedzeniach obrano znowu kilku rodaków naszych, ale ci jeszcze zatwierdzeni nie zostali.

*Bronisław Grabowski.*





# KILKA SŁÓW
# W SPRAWIE AUTENTYCZNOŚCI DUKATÓW
# WŁADYSŁAWA ŁOKIETKA I ALEKSANDRA JAGIELOŃCZYKA

(z powodu rozpraw prof. d-ra Wierzbowskiego, d-ra Piekosińskiego i korespondencyi p. W. Szaniawskiego) [1].

Kwestya egzystencyi dukatów Władysława Łokietka i Aleksandra Jagiellończyka, dzięki prof. Wierzbowskiemu, przyszła na porządek dzienny.

Prof. Wierzbowski w jednym z rękopisów biblioteki Romanowskiéj znalazł tekst „Pamiętnika Ostroroga", gdzie w rozdziale 56 [2]) Ostroróg mówi, że do jego czasów Polska nie miała własnéj monety złotéj; następnie powołując się na dokument Zygmunta I-go z 1528 roku [3]), w którym wyraźnie zaznaczono, że dukaty złote będą monetą nową, czyli przedtém nieznaną, na dokumenty mennicze Aleksandra Jagiellończyka, zarówno jak na konstytucyę sejmu koronacyjnego 1502 r. i ten fakt, że z naczyń srebrnych księżny Anny Mazowieckiéj, po przetopieniu ich, ze srebra wybito monetę, a złoto oddano w naturze: przyszedł do naturalnego wniosku, że moneta złota za Aleksandra Jagiellończyka nie istniała.

Wyrażenie Kromera *„Tametsi Alexandri quoque fratris ejus aureum nummum vidimus..."* zdaje się, że dostatecznie zostało wytłó-

---

[1]) „Wiadomości archeologiczno-numizmatyczne", 1891 r., Nr. 3, str. 213—226 i Nr. 4, str. 252—253.

[2]) Wierzbowski Teodor. „Jana Ostroroga Pamiętnik". Warszawa, 1891, str. 31.

[3]) Zagórski Ign. „Monety dawnéj Polski". Warszawa, 1845, str. 113.

maczone. Co zaś do Koehlera — to doprawdy trudno coś orzec stanowczego! Co spowodowało go do pomieszczenia w swym „*Dukaten-Cabinet*“ monety, która, wedle brzmienia dokumentów, pisanych przez osoby żyjące i za króla Aleksandra, nigdy nie egzystowała? Coby oznaczały owe „*polnische Wappen*“? Czy jak Czacki [1]) tłómaczy orła i pogoń? ależ tego nie można przyjąć, gdyż takie zlanie się dwóch herbów w jeden nastąpiło dopiéro po unii lubelskiéj, a zatém w 1569 r. Więc jak to wszystko pogodzić i wytłómaczyć? Nie obwiniając Koehlera o chęć opisania monety nieegzystującéj nigdy, możemy na jego usprawiedliwienie przypuścić, że opisał ten dukat według opowiadania innych osób, ale sam go nie widział, do czego téż nie przyznaje się, opowiadający zaś mógł go, nawet umyślnie, w błąd wprowadzić [2]). W przeciwnym razie, trzebaby zadać kłam dokumentowi Zygmunta I-go z 1528 r.! [3]). Że za króla Aleksandra nie bito złotéj monety, za najlepszy dowod, oprócz konstytucyi sejmu koronacyjnego 1502 r., służy to, iż w listopadzie 1504 r. ze sreber Anny Mazowieckiéj wybito monetę, a złoto oddano królowi *in crudo;* gdyż jeżeliby wówczas bito złotą monetę, to i złota otrzymanego z naczyń nie omieszkanoby również przekuć na monetę. Przypuszczenie zaś, że bito dukaty po listopadzie 1504 r. — jest wprost niemożebne. Ten ostatni dowód powinien być wystarczającym chyba i dla najzapaleńszych obrońców dukatów Aleksandra Jagiellończyka, gdyż jest więcéj niż pewném, że za tego króla moneta złota wybijaną nie była.

Inaczéj się rzecz ma z dukatem Władysława Łokietka. Zarzuty, czynione temu okazowi przez prof. Wierzbowskiego, nie są tak błahe i naciągane, jak to się wydaje p. Szaniawskiemu, przeciwnie, są one bardzo poważne. Prof. Wierzbowski mógł się pomylić co do właściciela denarka z popiersiem [4]), ale na podstawie piśmiennych danych i gruntownéj znajomości stosunków ekonomicznych kraju w danéj epoce musiał, logicznie wyciągając wnioski, przyjść do prze-

---

[1]) Czacki. „Prawo polskie i litewskie“. Warszawa, 1800, str. 166.

[2]) Czyż się to nieraz nie zdarzyło najpoważniejszemu numizmatykowi (choćby np. Zagórskiemu) być wprowadzonym w błąd przez opowiadania pseudonumizmatyków o różnych monetach, nie istniejących wcale. Za czasów Koehlera, kiedy numizmatyka była, iż się tak wyrażę, w zarodku, kiedy jéj nie uważano za naukę, lecz za manię — zabawkę, tém łatwiéj mogło się zdarzyć coś podobnego. Ktokolwiek mógł podać do wiadomości Koehlera, lub nawet zrobić rysunek od ręki (wycisków nieznano) takiego dukata: dla jednéj strony wziął wzór z monet późniejszych, a na drugiéj umieścił św. Stanisława, jako patrona Polski.

[3]) Zagórski Ign. „Monety dawnéj Polski“. Warsz., 1845, str. 113.

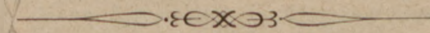
[4]) Stronczyński Kaz. „Dawne monety polskie“. Piotrków, 1885, t. III, str. 14, tabl. XXIII (Nr. 3 do monet Władysława Łokietka).

konania, że ten okaz nie może być monetą, wyszłą z mennicy krajowéj i przeznaczoną do obiegu, i dlatego téż, nie widząc okazu *in natura*, uznał dukat jako monetę za fałszywy.

Dr. Piekosiński słuszne stawia przypuszczenie, że dukaty Łokietka mogły być wybite we Włoszech, gdzie prawdopodobnie była wyrytą i jego pieczęć majestatyczna. Dukaty te złożono papieżowi, jako świętopietrze, a tylko kilka przywieziono dla króla. Jeżeli dukat Łokietka ma niezaprzeczoną cechę okazu danéj epoki, to przypuszczenie d-ra Piekosińskiego jest bardzo prawdopodobne. Lecz jeżeli te okazy złote wybite zostały we Włoszech, dajmy na to w Rzymie, to prędzéjby można było zaliczyć je do medali pamiątkowych koronacyi Władysława Łokietka, nie zaś do monet, gdyż moneta była zawsze bitą dla obiegu w kraju, medale zaś upamiętniały tylko pewien fakt historyczny; dodać można, że posiadamy w naszéj numizmatyce sporo medali dukatowéj wagi, bez napisu, na jaką pamiątkę zostały wybite, a nikt ich przecie nie poczytuje za monetę.

Dr. Piekosiński uwydatnił w swéj „Obronie“, że Polska w XIV i XV w. bez strat nie mogła bić monety złotéj, że dla handlujących było wszystko jedno jaki stempel był na monecie, byleby sama moneta odpowiadała wartością florenom węgierskim, które były w powszechném użyciu i na rynku krakowskim. Ponieważ zaś król nie mógł ponosić strat na monecie, ale ciągnął z mennicy zyski, to tém samém do XVI wieku w Polsce normalna złota moneta egzystować nie mogła. (Nawet dukaty z XVI w. należą do rzadkich). Władysław Łokietek, chcąc upamiętnić tak ważny fakt dziejowy, jakim była jego koronacya, kazał posłom swoim, po przyjeździe do Rzymu, postarać się o zrobienie stempli, wybić okazy złote wartości dukata, albo przebić dukaty, dla złożenia papieżowi świętopietrza i upamiętnienia przez to dokonanego faktu swojéj koronacyi, nie przeznaczając ich do obiegu w Polsce. Tak, że ten dukat, jeżeli go uznamy za oryginalny, to musimy wykreślić go z rzędu monet, a widzieć w nim pierwszy medal polski, wybity na pamiątkę koronacyi Władysława Łokietka [1]).

*Wiktor Wittyg.*



[1]) Niniejszy artykuł chcieliśmy zamieścić, jakby należało w „Wiadomościach numizmatyczno-archeologicznych“, wydawanych w Krakowie, piśmie specyalnie poświęconemu numizmatyce. Przesłaliśmy go też wydziałowi redakcyjnemu tych „Wiadomości“; lecz wydział redakcyjny krakowskiego numizmatycznego kwartalnika, mego artykułu nie przyjął i takowy mnie zwrócił.



# ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Stanisław Rossowski: *a) Tempi Passati.* Wiersze różne. 1892, *b)* Poezye. Serya II, 1892.

Nie ma dziś już chyba czasopisma, zwłaszcza w Galicyi, któreby utworów p. Rossowskiego wierszem lub prozą pisanych nie umieszczało. Produktywny ten i wiele obiecujący pisarz—wydał w ostatnich czasach dwa tomiki swoich poezyi, w które ujął rozproszone dawniéj po dziennikach wiersze i wierszyki. Pozwalają już one na odtworzenie pewnego całokształtu duchowéj sylwetki pisarza, upoważniając do wyprowadzenia niejakich wniosków o jego tendencyach i aspiracyach.

Poezya odsłania zazwyczaj czytelnikowi najniedyskretniéj zakątki duszy autora i cały jego skarbiec wierzeń i przekonań — przez to chociażby, iż jest wynikiem natchnienia w danym momencie i powstaje w różnych, często zupełnie odrębnych chwilach życia. Jako owoc więc pewnego nastroju psychicznego, doprowadzić może łatwo do wykazania ulubionego i najwłaściwszego dla autora kierunku.

Trudném by jednak było zadaniem, oznaczyć rodzaj odpowiadający najlepiéj talentowi p. Rossowskiego. Umysł jego, zda się dziwnie rzutkim, giętkim i wrażliwym.

Imaginacya nietyle bujna ile niemał przeczulona i stąd rozpraszająca się częstokroć na zbyt drobnostkową obserwacyę. Wielostrunna lira p. Rossowskiego odpowiada téż zarówno na wrażenia uczuć miękkich i słodkich jak i na poważną nutę filozoficznych zagadnień lub rozdzierający zgrzyt ironii czy bólu, wywołanego już to hipokryzyą ludzką, już to zaobserwowaniem jakiejś jątrzącéj się rany społecznéj.

Najmniéj cech odrębnych, charakterystycznych, posiada pierwsza część zbiorku: „*Tempi passati*”, nosząca miano „Spuścizna wiosny“.

Prócz widocznie niezmiernéj łatwości w tworzeniu harmonijnych wierszy, nic nie zwraca szczególnéj uwagi w tym szeregu ulotnych poezyi, w których bzy, róże, anioły i niezabudki, niewierne lub kochające dziewczęta, splatają się we wdzięczny, lecz nieco szablonowy korowód.

Cykl następny— pod każdym względem bogatszy i bardziéj zajmujący od poprzedniego—stanowi niejako ciąg dalszy większéj części nowelek p. Rossowskiego, wydanych niedawno pod zbiorowym tytułem „Ze ścieżek życia“. Tak tu jak i tam autor rysuje *con amore* i cieniuje obrazki, osnute na tle życia rodzinnego, jego drobnych trosk, kłopotów i uciech. Postaciami ulubionemi przezeń są zwłaszcza młode, mieszczańskie pary małżeńskie, mające zwykle jako dopełnienie dzieciątko, świekrę a nieraz i służącą. Autor nie wybiéra wogóle jakich ważnych, wyjątkowych, elektryzujących wypadków, ale przeciwnie rad się nurza w gospodarskiéj prozie szaréj rzeczywistości, z którą dziwnie, zwłaszcza jak na poetę, wydaje się obznajmiony. Czasami — wyznać to musimy szczerze — razi nawet cokolwiek ta poezya, zostająca na służbie szczotki i garnuszków, jak to ma miejsce w utworach p. t. „Sąsiadka“, „Gość“, lub „Własna pani“ — choć ta ostatnia tyle ma filuternego wdzięku, że przebaczyć jéj można, nawet zagłębianie się w kucharską księgę, zaraz nazajutrz po ślubie.

Prześliczne flamandzkie obrazki dał nam poeta w kilku swoich wierszykach, pełnych słonecznych blasków, cichéj miłości i dziwnie jakoś ciepłéj a wdzięcznéj atmosfery rodzinnéj. „Kwiaty“ — któremi młody mąż stara się umaić gniazdko swéj ślicznéj żoneczki, „kość niezgody“, którą stanowi jedyny rywal zazdrosnego małżonka: gorset — obejmujący kibić młodéj pani, wreszcie „Portret“ męża, który się młodéj żonie wydawał najmilszym upominkiem, dopóki nie uzyskała nowéj uciechy w małym synku — to prawdziwe perełki w poezyi p. Rossowskiego, zjednywające mu wstęp do parnasu wybitniejszych naszych liryków.

Do tego samego liryczno-erotycznego rodzaju, należy i kilka innych fragmentów, jak „Ucieczka z balu“ i „Nazajutrz rankiem“, objętych w drugim już tomiku. Ogółem jednak zdaje się p. Rossowski w tym drugim tomie brać rozbrat z nastrojem słodkich upojeń i rodzinnych przekomarzań. Z siłą i powagą chwyta się on tu tematów filozoficznych, lub ogólno-ludzkich i traktuje je z męzką energią a częstokroć i gryzącą ironią, któréj śladów w pierwszym zbiorze niemal nie spotykaliśmy.

Zwrot ten charakteryzuje dosadnie zwrotka z ustępu: „Bezsilność“, którą téż z tego powodu pozwolimy sobie przytoczyć:

„Tak w życia pieśni przewspaniałéj,
Która we wieczność się przedłuża,
A twardszą, zda się być od skały,
A szalejącą niby burza, —
W téj pieśni wszelka słabość zbrodnią,
Choćby świat cały roztkliwiła;
Melodyą bowiem tam przewodnią
Była, jest i zostanie — siła!“

Szczegółowo wymieniać utworów z téj gromadki niepodobna — zwłaszcza, że są to wierszyki krótkie nieraz i same przez się nie posiadają może pierwszorzędnéj wartości, niemniéj jednak uderza w nich głębszy podkład, myśl świeża i z oryginalnego punktu obrobiona. Szczerość uczucia wynagradzać tu musi łamanie się jeszcze z formą, która w poprzednich utworach o lżejszéj treści, zawsze bywała łatwa lekka a nawet wytworna. Na drobiazgach tych, widoczném jest przygotowywanie się do rzeczy większych, poważniejszych, których powstaniu przeszkadza zapewne wyczerpująca praca dziennikarska i nadzwyczajna produkcyjność, stanowiąca znamienną cechę talentu p. Rossowskiego.

W zbiorku, o którym obecnie mówimy, jedynym większym utworem jest „Stancya“ — obrazek z życia ludu miejskiego. Opowiada w niéj autor dzieje rozpaczliwéj walki o byt rodziny stróża, któréj bogaty kamienicznik, pozwala w zamian za ciężkie obowiązki pilnowania i uprzątania domu, mieścić się bezpłatnie w ciemnéj i wilgotnéj suterenie. Posiadanie téj strasznéj nory, w któréj choć „kartofle gniją“, człowiek jednak żyje a nawet rozmnaża się, wzbudza zazdrość w drugim biedaku, który nawet i takiego schronienia nie posiada; nie przebierając przeto w środkach intryguje on póty, dopóki sam nie otrzymał téj wspaniałéj posady, mimo, iż poprzedni stróż był jego kumem, a nawet dobroczyńcą. Brutalny współzawodnik — nie bawi się w sentymentalną szlachetność, to trudno: *ôte-toi, que je m'y mette*, on także potrzebuje żyć, jeść—no i ożenić się, bo wszakże młodość ma swoje prawa. To téż choć wyrugowany poprzednik wiesza się z rozpaczy, nie przeszkadza to zwycięscy rozgospodarować się w jego stancyi.

Obraz ten robi dziwnie przygnębiające wrażenie swoim ponurym kolorytem, a może więcéj jeszcze stanowiskiem, jakie autor zajmuje wobec opowiadanych wypadków. Nie oburza się on, ani dziwi, nie ubolewa, nie roi nawet lepszéj przyszłości na drodze uszlachetnienia tego ludu, doprowadzonego do zwierzęcych niemal instynktów ciężkiemi warunkami bytu. To spokojne, rozpaczliwe niemal przyj-

mowanie istniejących faktów, nadaje utworowi p. Rossowskiego oryginalny charakter. Całość traktowana ze skrajnym realizmem zyskałaby na sile, przez wyrzucenie kilku scen, już to nużących swoją rozwlekłością, już to niesmacznych w pomyśle, jak np. bezecna rozmowa sług, zgromadzonych rankiem na pogawędkę.

Żywsze uczucie i młodzieńcze uniesienie dźwięczy w kilku ulotnych wierszykach, które zasługują jeszcze na szczegółową wzmiankę. Mamy tu na myśli „Niniche“, „*Pro domo sua*“, „Oburzonym“— w których autor chłoszcze z zapałem hipokryzyę, co niby szata pożyczana służy za strój odświętny dla licznych naszych moralistów. W szlachetném oburzeniu, poeta, pragnąłby zedrzéć tę maską kłamliwą z obłudnych świętoszków, by w ten sposób przyśpieszyć panowanie szczerego uczucia i szczytnych aspiracyi.

Szczerość, refleksya, miękkość, a czasem i siła — oto przymioty charakteryzujące obadwa zbiorki poetycznych utworów p. Rossowskiego, że zaś po zatém umié on często ująć swe pomysły w artystycznie piękną formę, więc nie dziw, że poezye jego cieszą się powodzeniem ogółu czytelników, a krytyka stawia autorowi piękne horoskopy na przyszłość. *Nit.*

## NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Włodzimierz Spasowicz.* **Pisma.** Tom I i II (Petersburg, Br. Rymowicz. 1892, str. 362, 357). Dobiegając czterdziestolecia pracy na niwie piśmiennictwa polskiego, prof. Spasowicz przystąpił do zbiorowego wydania utworów swoich w przeciągu tego czasu kreślonych. Całość zamknąć się ma w 6-u tomach, z których wyszło dotychczas dwa. Zawarte są w nich przeważnie rozprawy treści literackiéj; najważniejsze z nich były drukowane najprzód w naszém czasopiśmie. Szereg ich otwiéra króciutka „Wiadomość o Rudawskim“, pierwsza próba młodziеńcza, skreślona w Petersburgu 18 sierpnia 1853 roku, jako wstęp do przekładu Historyi Rudawskiego, przekładu, który wyszedł w zbiorze „Dziejopisów krajowych“ wydawanym przez księgarza B. M. Wolffa pod kierunkiem naukowym Mikołaja Malinowskiego. Do tego również zbioru i do swojego tłómaczenia podał p. S. „Wiadomość o Świętosławie Orzelskim“, do obcego zaś przekładu — „Życiorys Heidensteina“. Z chronologicznego porządku wypadałoby, iżby po tych pismach pomieszczony został drukowany w r. 1859 w dodatku do „Słowa“ petersburskiego artykuł o współczesnéj literaturze rosyjskiéj, a mianowicie „Rzut oka na główne literatury téj organa i stronnictwa“, artykuł, który takie w swo-

im czasie obudził zainteresowanie, iż był w Galicyi przedrukowany. Zapewne zachował go autor do dalszych tomów, gdzie pomieści prace swe, dotyczące literatury ruskiéj. Następuje potém znaczna, prawie dwudziestoletnia przerwa w pracach nad literaturą polską; nowy okres rozpoczyna studyum o „Władysławie Syrokomli“, po którém poszły: „Wincenty Pol jako poeta“, „Marcin Matuszewicz jako pamiętnikarz“, „Kilka słów o bajronizmie Mickiewicza“, „Konrad Wallenrod“. Daléj znajdujemy tu rzecz, która w bardzo dalekim zostaje związku z literaturą, bo tylko przez osobę Tytusa Szczeniowskiego, a mianowicie: „Nasze dzisiejsze sądy szlacheckie polubowne“. W tomie drugim najwięcéj miejsca zajęły dwa wyborne studya z dziedziny literatury angielskiéj: „Szekspirowska historya tragiczna o księciu duńskim Hamlecie“, oraz „Byron i niektórzy jego poprzednicy“. Resztę tomu wypełniają polemicznie zabarwione rozprawy, dotyczące kwestyi stosunku Polski do Rosyi, jako to rozbiór broszury Krzywickiego: „Polskie fantazye na tematy słowianofilskie“, daléj pism Lisickiego i Tarnowskiego: „Literacki i polityczny spadek po A. Wielopolskim“, oraz „Z powodu polemiki prof. Kostomarowa z prof. Aleksandrem Gradowskim“. W końcu jest odczyt o reformatorze więzień, Johnie Howardzie. Autor sam uprzedza czytelnika, że artykuły zebrane z tak długiego lat przeciągu muszą wykazać różne między sobą sprzeczności, bo rozwój duchowy pisarza i bieg wypadków zmuszały do zmiany poglądów, a nawet przekonań. Autor nic nie chciał zmieniać ni przerabiać, podając zbiorowo swe pisma ogółowi. „Znajdą w nich czytelnicy— mówi on — ślady walk namiętnych a oddawna zapomnianych, szkice ludzi, których znałem żywych, ale którzy oddawna pomarli, cienie pamiętnych wypadków historycznych za kilkadziesiąt lat ostatnich, wrażenia, spisane pod wpływem już nieistniejących sytuacyi i tak, jak były na razie odczute przez pisarza, który chociaż bezpośredniego udziału w wypadkach nie brał, ale był pilnym ich i nieobojętnym spostrzegaczem“. Trzeciego i czwartego tomu, które już wyszły, nie mieliśmy jeszcze sposobności przeglądać.

---

— **Biblioteka powszechna.** Pod tym napisem zaczęło wychodzić od zeszłego roku w Złoczowie, nakładem O. Zukerkandla, wydawnictwo, mające na celu rozpowszechnienie za pomocą taniości takich utworów swojskich i obcych, które zwróciły na siebie uwagę, które liczą się do trwałych nabytków literatury powszechnéj. O ile z nadesłanych nam tomików wnosić możemy, wybór dzieł przedrukowanych lub tłómaczonych nazwać się może wogóle dobrym; o niektórych tylko pozwolimy sobie odmienne wypowiedzieć zdanie. Dobrze

więc zrobiono, dawszy „Fausta“ w tłómaczeniu L. Jenikego, „Romeo i Julię“ w przekładzie Juliana Korsaka, „Enocha Ardena“ (Tennysona), w przekładzie Stanisława Koźmiana, dramaty Ibsenowskie: „Upiory“, „Wróg ludu“ w tłómaczeniu Ignacego Suessera, chociaż tu sprostować wypadało wiele błędów językowych i stylowych. Natomiast zgoła niewłaściwą było rzeczą umieszczać w „Bibliotece powszechnéj“ takie liche przepolszczenie ładnéj krotochwili Moliera: „Jerzy Dandin“, dokonane przed laty przez Franciszka Kowalskiego p. n. „Grzegorz Fafuła“. Nie możemy téż pochwalić włączenia do „Biblioteki“ powiastki Grillparzera: „Klasztor pod Sandomierzem“. Grillparzer jest wprawdzie znakomitym poetą, ale ta jego nowela, świadcząca o nieznajomości stosunków polskich, a oparta na fakcie, który posłużył późniéj Kaczkowskiemu do napisania „Męża szalonego“, należy do rzeczy słabych, nie odznaczających się ani myślą, ani obrobieniem artystycznem. Komiczna historyjka Stindego: „Mituś i Matuś“, zabawna, lecz bez wielkiéj werwy napisana, mogła była także nie być przyswajaną językowi naszemu, a szkodyby czytelnicy żadnéj nie odczuli. „Nowele“ Maupassanta zasługiwały na przekład lepszy, niż ten, jaki dał Ernest Leon Lilien, któryby powinien się jeszcze dużo uczyć popolsku, zanim się do tłómaczenia zabierze. „Cztery mowy przeciw Katylinie“ w przekładzie Erazma Rykaczewskiego mogą znaleść nabywców i czytelników wśród młodzieży gimnazyalnéj, biedzącéj się nad łaciną, i w tym też celu zapewne zostały w „Bibliotece“ umieszczone. „Droga do majątku i inne pisma“ Benjamina Franklina przedrukowane z edycyi r. 1845 we właściwéj sferze mogą się także podobać. Szkoda, że redakcya „Biblioteki“ nie wymieniła nazwiska tłómacza; był nim według Estreichera Wiktor Zieliński. Z oryginalnych utworów otrzymaliśmy tylko trzy tomiki „Ramot i Ramotek“ Wilkońskiego, które tu całkiem słusznie się znalazły, oraz „Powinszowania dla dzieci i młodzieży“ Szczęsnego Zahajkiewicza, które powinny były osobno albo w innym jakim ukazać się zbiorku. W Warszawie wydawnictwa te ma na składzie głównym T. Paprocki.

---

= Index lectionum quae in universitate friburgensi... habebuntur. Praemittitur *Josephi Kallenbach* commentatio cui inscribitur: **Les humanistes polonais** (Fryburg w Szwajcaryi, 1891, str. 83). Pobudką dla autora do napisania téj rozprawki były znalezione przezeń w Muzeum brytańskiém listy Jana Zamojskiego, Szymona Szymonowicza i Jakóba Sobieskiego, pisane głównie do humanistów obcych. Chcąc oświetlić ich znaczenie dla dziejów humanizmu u nas, p. K. poprzedził wydrukowane przez siebie materyały krótkim poglą-

dem (str. 46) na rozwój tego kierunku duchowego w Polsce. Przedstawiwszy pierwsze objawy budzącego się u nas w XV wieku ruchu humanistycznego, podaje następnie autor charakterystykę trzech grup, na jakie dzieli humanistów XVI stulecia. Pierwszą grupę składają poeci, starający się w języku łacińskim naśladować wzory literatury klasycznéj, a głównemi jéj przedstawicielami są: Paweł z Krosna, Jan z Wiślicy, Andrzéj Krzycki, Jan Dantyszek, Klemens Janicki. W drugiéj grupie znajdują się wprawdzie i poeci, ale przeważają filologowie; obok Kochanowskiego mamy tu Szymona Maryckiego, Benedykta Herbesta, Jakóba Górskiego, Nowopolskiego, a zwłaszcza Andrzeja Patrycego Nideckiego; do téj grupy zalicza także autor Jana Zamojskiego, którego stosunkom z humanistami włoskimi, belgijskimi i francuskimi poświęca wzmiankę szczegółowszą. Trzecią wreszcie grupę charakteryzuje p. K. jako złożoną przeważnie z pedagogów, chociaż na jéj czele stawia poetę Szymonowicza. Do niéj należą mało znani z prac swoich: Ursinus, Starnigelius, Stephanides, oraz głośniejsi: Adam Burski, Szymon Birkowski i Tomasz Drezner; ogniskiem dla nich jest świéżo założona akademia Zamojska. W téj części rozprawy najwięcéj p. K. miejsca poświęca naturalnie Szymonowiczowi, zużytkowując jego korespondencyą z Casaubonem. Jakkolwiek krótka, daje przecie rozprawka p. Kallenbacha jasny pogląd na przebieg ruchu humanistycznego u nas, uwydatnia główne jego fazy bardzo trafnie; a dołączone listy rzucają tu i owdzie nieco światła na stosunki umysłowe, na związki naukowe z zagranicą, które w XVII wieku powoli się przerywają, co się przyczynia do obniżenia się skali naukowości, a sprzyja rozkrzewieniu się przesądów, uprzedzeń, ciasnych zapatrywań na wszystkie ważne sprawy życia.

---

= *Abgar-Sołtan.* **Klub nietoperzy.** Powieść. 2 tomy (Lwów, Gubrynowicz i Schmidt, 1892, str. 206, 198). Proza, najpospolitsza proza życia, nie przepuszczona przez pryzmat sztuki, wypełnia ten dwutomowy utwór świéżo na arenie powieściopisarstwa występującego autora. Trzech młodych obywateli podolskich: lekkomyślny, gwałtowny, porywczy Władysław Kierbicz, daléj drwinkujący po francusku ze swéj pobożnéj matki hr. Karol i głupowaty Jaś Mądrowski, tolerowany przez tych dwu arystokratów dorobkiewicz, opłacający swoje wejście do „towarzystwa“ dobrowolném wystawianiem się na kpiny i dostarczaniem pieniędzy w razie gwałtownéj potrzeby — tworzą ten „klub nietoperzy“, którego jedyném zadaniem jest zjadanie kolacyjek o dwunastéj w nocy. Autor zdaje się wyraźnie sympatyzować z tém gronem; ich figle, niesmaczne często koncepty, biesiady

z aktorkami w Kamieńcu, próżniacze życie, karciarstwo wydają mu się koniecznemi objawami młodości, która wyszumieć się musi, by później, na podobieństwo Walerego Zienwicza, gdy czterdziestka minie, stać się mogli ci nietoperze spokojnymi, wytrawnymi i zacnymi przedstawicielami ziemiaństwa. Zdaje mi się, że aprobata w tej mierze jest co najmniej pedagogiczno-społeczną niestosownością, bo co innego jest rozumieć i tłómaczyć sobie zjawiska życia, a co innego starać się o kierowanie niemi, o ile to się zrobić daje. Ukochawszy swoich nietoperzów, wybacza im wszystko i głównego z nich bogato wyposaża, dając mu za żonę żywą i wrażliwą Marynię, gdy rozważniejsza Jadwiga wybiera sobie Zienwicza. Dzieje miłosne nie przedstawiają nic nowego, ani zajmującego; tych nawet dwu panien nie kreśli nam autor tak, ażebyśmy naprawdę rozumieć należycie i ocenić je mogli; Marynia np. wchodzi dopiero pod sam koniec powieści i zaledwie pobieżnie i niemal przygodnie ją poznajemy; Jadwiga wprawdzie dłużej bawi na scenie, ale nie zyskuje przez to na wyrazistości; rekomendacye podane przez autora nie bardzo się zgadzają z przytoczonemi przezeń słowami i zachowaniem się osobistości... Jeżeli dla wybrańców swoich jest p. Abgar-Sołtan pobłażliwym, to dla t. z. dorobkiewiczów pała niechęcią, która mu przesłaniać się zdaje rzeczywistość. Traktuje ich tak, jak to było u nas we zwyczaju powieściopisarskim przed laty 50 lub 70. Jak wszędzie jednak, tak i na Podolu chyba czas zrobił swoje. Jeśli nie oświata rzeczywista, to ogłada nie jest już przywilejem arystokracyi, ale się stała własnością tych wszystkich, co mają możność jej nabycia, zwłaszcza, że do tego nie potrzeba zdolności nadzwyczajnych. Śmieszności zaś i niedorzeczności mogą istnieć w każdej klasie społecznej, arystokracyi bynajmniej nie wyłączając. Dla autora dorobkiewicze hurmem przedstawiają się jako błazny, którym najdotkliwsze mówić i robić można impertynencye—bezkarnie. Że są tacy ludzie, to nie ulega wątpliwości, ale żeby cała grupa obywateli podolskich taką była rzeczywiście, trudno w to uwierzyć. Opierając się na tem tylko, co sam autor opowiada, można wywnioskować, że niektóre sceny z dorobkiewiczami nie mogły się t a k odbyć, jak je w przedstawieniu autora widzimy. Dorobkiewicze ci zaproszeni zostali przez marszałka, powszechnie szanowanego człowieka, na uroczystość domową. W domu to marszałka Zienwicz robi krwawy afront jednemu z nich, Michałowi Wędrobskiemu i zmusza go do opuszczenia tak gościnnych progów. Jeżeli powszechnie szanowany człowiek zaprasza gości, to chyba tyle ma dla nich szacunku, że nie dozwoliłby, iżby inny gość wypędzał ich słowem i zachowaniem się swojem. Jeżeli zaś przyjmował ludzi u siebie bez wyboru,

to nie wiadomo, naczém ten powszechny dla niego szacunek się opierał. A i druga scena w karczmie z tymże Wędrobskim niewiele więcéj warta pod względem prawdopodobieństwa. Wchodzi Władysław do izby, najętéj poprzednio przez Wędrobskiego i jego towarzyszów. „Żydzie przeklęty! co to za moda u ciebie—krzyczy Wędrobski, żeby do pokoju, w którym się porządni goście zabawiają, wchodził pierwszy lepszy przejezdny!“... a w chwilę potém, gdy Władysław podniósł harap podchodząc ku Wędrobskiemu i trzasnął tak, że aż szyby w oknach zadrżały: proszę wyjść — tenże człowiek wyniósł się po cichu z kompanami, nie przemówiwszy ani słowa. Gdyby był istotnie takim tchórzem, to nie byłby wyzywał gniéwu Władysława obraźliwemi słowy; a zdaje się przecież, że prócz odwagą, nie mógł taki chłystek jak Władysław niczém innėm mu imponować. Wogóle pod względem artystycznym niewiele sobie zadawał trudu autor; opowiadając gładko, potoczyście, z werwą, sądził, że samą relacyą czynów (i jakich!) swojego bohatera zajmie dostatecznie. Powinienby trochę porobić studyów nad sztuką powieściopisarską, zanim do dalszych prac na tém polu się zabierze. Język potrzebuje także poprawy.

---

= *C. de Harlez.* **Les religions en Chine.** Leipzig. 1891. Prastara cywilizacya chińska nie przestaje ani na chwilę zajmować badaczów,— dowodem książka,którą mamy przed sobą. Autor na zasadzie pism i pomników oryginalnych chińskich, stara się narysować istotny obraz pojęć religijnych w Chinach. Pierwotna religia chińska, według p. de Harlez, była monoteistyczna: główną jéj osobą był pan nieba i ludzi, władca państw na ziemi — Shang-Ti; nie uważali go za stwórcę świata, ponieważ kwestya początku wszech rzeczy była dla pierwotnych Chińczyków obojętną; tak samo nie mieli go za nieskończonego. Inną zasadą ich religii było prawo moralne, niewzruszone i nieubłagane Tien, od przestrzegania którego zależała szczęsna lub nieszczęsna dola człowieka. Nadto pierwotna wiara chińska, na podobieństwo Awesty, uznawała opiekuńcze duchy niższe, do których należało pilnować i ostrzegać ludzi. Wierzyli téż Chińczycy w nieśmiertelność duszy oraz czcili umarłych. Dopiéro z biegiem stuleci, powiada Harlez, pierwotne te wierzenia Chińczyków uległy spaczeniu, głównie pod wpływem rozmaitych najść, jako to: aryjskiego narodu Czeu, a późniéj Mandżurów. Powoli zatarła się osoba Shang-Ti, a wysunęły na pierwszy plan duchy niższe i cześć dla nieba materyalnego, dla gwiazd, szczytów górskich, drzew i t. p. Daléj autor opowiada nam na czém polegają dwie inne religije rasy żółtéj, które powstały około VI w. przed Chrystusem z inicyatywy dwóch filozo-

fów—Konfucyusza, albo Kong-fu-tze, i Lao-tze. Nauka pierwszego była poprostu odnowieniem wiary poprzedniéj z dodatkiém całego szeregu obrzędów, mających na celu podnieść wiarę w Shang-Ti w oczach ludu. Oprócz tego Konfucyusz nakazywał ludziom wnikanie w głąb swoich myśli, panowanie nad swojemi zachceniami, zamiłowanie w dobrém i nienawiść do złego i tym podobne zasady etyczne. Tym sposobem C. de Harlez przekonywa, że nauka Konfucyusza nie była ateistyczną, jak to wielu mniema, lecz przeciwnie opartą na pierwotnéj wierze Chińczyków; filozof chiński wyrządził nawet szkodę swemu społeczeństwu, cofając je ku zamierzchłym pojęciom i nie dając od siebie nic nowego pod względem wiary. Inaczéj zupełnie przedstawia się nauka drugiego filozofa — Lao-tze. Filozof ten, sięgając myślą głębiéj od pierwotnéj wiary Chińczyków, przyjmuje za podstawę swojéj nauki początek wszechrzeczy uosobiony w absolutnéj istocie Tao, nie mającéj charakteru wyraźnego i wogóle żadnych cech ludzkich. Istotę tę Lao-tze uważa za niepoznawalną, niezmienną, tworzącą bez przerwy, chociaż nie biorącą udziału w czynnościach, ludzkich. Pod względem zasad etycznych, jakie rozwija religia Lao-tze, jest ona zbliżoną do buddyzmu. Ten ostatni przyszedł do Chin z Indyi i rozpowszechnił się dość szybko, szczególniéj w północnéj części kraju, nigdzie jednakże, zdaniem p. de Harlez, głębiéj nie przeniknął do warstw narodu chińskiego, podobnie, jak to miało miejsce z wiarą poprzednią, siedlisko zaś znalazł jedynie w świątyniach i klasztorach bonzów. Na zakończenie autor przedstawia stan Chin dzisiejszych, pod względem religijnym niesłychanie ciekawy: widzimy tu bowiem trzy religie odmienne pochodzeniem i naturą, mieszające się ze sobą nieustannie w takim stopniu, że wiele osób odbywa jednocześnie praktykę dwóch albo trzech religii; w świątyniach chińskich w świętéj zgodzie stoją obok siebie posągi Konfucyusza, Lao-tze i Sakya-Muni Buddy, a przed nimi korzy się Chińczyk, nie odczuwając zupełnie różnic tych trzech kultów. Tak samo w ostatnich czasach cesarstwa rzymskiego świątynie rzymskie jednoczyły bożyszcza Baala, Izydy, Odyna i Zeusa, zawleczone do wszechwładnego Rzymu z odległych krańców państwa. Tak się przedstawia książka p. de Harlez; pominęliśmy mnóstwo szczegółów, dotyczących świąt i form rytuału chińskiego, jako nie zmieniających treści rzeczy.

*St. Stetkiewicz.*

---

= **Nauka czytania i pisania**. Ułożył *Adolf Dygasiński* (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1892, str. 102). Jak z objętości i złączonéj z nią ceny (20 kop. w kartonowéj oprawie) wnosić można, elementarz

ten przeznaczony jest dla klas o średniéj zamożności, pragnących korzystać z tych udoskonaleń, jakie metodyka wprowadziła dziś stanowczo do początkowéj nauki czytania i pisania. Autor znany ze swych prac pedagogicznych na polu teoryi i praktyki, postanowił w téj książeczce traktować rzecz swą systematycznie wprawdzie, ale nie po pedancku, ze względu, iż dzieci nasze, wogóle biorąc, są żywsze od niemieckich np. i stosowanie do nich zbyt powolnego trybu uczenia nie może wydawać pomyślnych wyników. Zgadzając się w zasadzie z tym poglądem, mielibyśmy jednak do zarzucenia autorowi kilka uchybień, które powstały ze zbyt rozległego, a może dorywczego tylko zastosowania poglądu tego w praktyce. Niewątpliwie słusznie każe zaczynać od ćwiczeń w wymawianiu wyrazów i sylab, ale ażeby dojść zaraz do wyróżniania dźwięków pojedyńczych, trzebaby przyjąć metodę głosowania, używaną głównie w nauczaniu głuchoniemych, ale zbyt uciążliwą zdaje się dla dzieci mających zdrowe organa słuchu. Przejście do pisania całych wyrazów po takich przygotowaniach jest zaleconém i w metodycznéj nauce przyjętém, ale czy należało odrazu dawać do pisania i czytania połączenie kilku spółgłosek przy jednéj samogłosce (wo*sk*, *str*ąk), czy należało mieszać dźwięki, które w piśmie wyrażają się dwoma (*cz*, *sz*, *rz* i t. d.), czy należało wreszcie w najpierwszych słowach danych do czytania i pisania mieścić jednozgłoskowe obok wielozgłoskowych? Zdaje mi się, że poprzednicy autora wiele już zrobili pod tym względem uproszczeń, których zaniedbywać bez umotywowania nie należało. Z praktyki wiadomo, że dzieci, wymawiające zresztą dźwięki wszystkie prawidłowo, mają trudność w wyrażaniu ich wszystkich na piśmie tam, gdzie są liczniejsze kombinacye spółgłosek, a i w czytaniu taż sama zachodzi niedogodność. Inną znów niestosowność zauważyliśmy w kilku miejscach w których podane są same małe litery; znalazły się tu przecież imiona własne: a n n a, j a n, j a n i n a (str. 9), pisane małemi literami, któremi poprawnie nie piszą się nigdy. W dziale obejmującym ustępy do czytania obok bardzo trafnie dobranych jędrnych przysłów, obok zdań zrozumiałych dla każdego najmniéj rozwiniętego dziecka, a więc odpowiadających celowi, gdyż dziecko zmuszone skupić całą uwagę dla pokonania trudności w zbiéraniu liter i ich należytém wymówieniu, powinno mieć przed sobą treść najdostępniejszą, widzimy przedwczesne, zdaniem naszém, wprowadzenie żywiołu geograficznego, historycznego i przyrodniczego. Pojmujemy pragnienie dania czytelnikowi młodziutkiemu treści pożywnéj, ale jeżeli ona nie zostanie przyswojoną? jeżeli będzie tylko próżnym dla niego dźwiękiem? Po co takie np. zdania na najpierwszym stopniu czytelniczym: „Tasiemiec

jest-to pasorzyt, który żyje *w*(e) wnętrznościach człowieka“ (str. 44). Trzy przynajmniéj wyrazy trzeba dziecku objaśnić, a jeden (tasiemiec), z powodu iż nie jest popularnym, może nawet uczącemu czy uczącéj nie będzie znanym. W opowiadaniach, opisach, wierszach może zamało jest plastycznego obrazowania życia, zamało fantazyi i uczucia, a za dużo dydaktyki i morałów. Niepoprawność językowa wkradła się także tu i owdzie; jest ona najszkodliwszą w wierszach, bo tych zwykle uczą się dzieci na pamięć, a jakże można wbijać im w pamięć takie niegramatyczne wyrażenie: „Bo kocha matkę, słucha jéj, jak panią“ (str. 52). Szkoda, że nie poprawiono omyłek drukarskich, niektórych ważnych, jak np. gdy o w i e s wyliczono raz pomiędzy krzewami, a drugi raz między trawami“ (str. 83). — Tenże autor ułożył drugą książeczkę, jako dalszy ciąg elementarza p. n. „**Czytanka pierwsza**, książka dla młodzieży“ (Warsz., Gebethner i Wolff, 1892, str. 131). Składa się ona z dwu części: pierwsza obejmuje obrazki, opisy i opowiadania z zakresu życia i zjawisk przyrody, oraz stosunków ludzkich spółczesnych, a druga głównie element historyczny i podaniowy. Ze względu na ten podział, oraz dla stopniowego oswajania czytelnika z trudnościami lepiéj podobno było przenieść powiastki: „Tygrys Lalanda“, „Lew florencki“, rzecz o „polowaniu i rybołówstwie“ i t. p. do części drugiéj. Wypadałoby także podawać wymawianie wyrazów cudzoziemskie; bo niejedna nauczycielka nawet może będzie w kłopocie, jak wymówić poprawnie nazwę Comacchio (str. 30). Szkoda, że sam początek książki mieści zwrot gramatycznie wprawdzie poprawny, ale nie w duchu mowy naszéj: „Gdy osieł widział pieska... (zam. Osieł, widząc pieska...) zazdrościł mu jego doli.“ Książka ta może być pożytecznym zbiorem artykułów, mieści bowiem wiele rzeczy bardzo interesujących i nowych, ale posługując się nią, potrzeba czynić wybór, ażeby trudniejszych rzeczy przed łatwiejszemi nie dawać do czytania.

---

= *Eliza Orzeszkowa.* **Westalka** (Warszawa, 1891, str. 51). — Rzecz tego utworu, napisanego w formie dramatycznéj, dzieje się w Rzymie za panowania Domicyana wśród zepsucia moralnego warstw wyższych, wśród sceptycyzmu ogarniającego umysły najszlachetniejsze, oraz wśród obłudy zmuszającéj do składania pozornéj czci tym bóstwom i zwyczajom, których już w duszy nie uznawano. *Taedium vitae* (sprzykrzenie sobie życia) już i wtedy imało się dusz gorących, zranionych widokiem nikczemności i zbrodni, które wielbiono, którym się kłaniano. Najstarsza z westalek, Kornelia, bez wiary czuwa nad utrzymaniem ognia świętego Westy. „Ani jeden dzień nie przemi-

nie — powiada ona — dla ust człowieka bez kłamstwa, albo pustego dźwięku... Ta nieśmiertelna wstęga rozwija się dla Westy, która podobno rozciąga opiekę nad czcią niewiast rzymskich. Kłamstwo! Gdyby cześć niewiast rzymskich posiadała w górze opiekunkę potężną i czujną, nie napełniałaby ulic Rzymu widokiem godów weselnych, w których za jedną nagą nimfą pędzą w pościgu gromady pijanych faunów. Jeżeli kiedykolwiek bóstwa czuwały nad światem, teraz pewno śpią tak głęboko, jak dusza moja, która budzi się tylko dla rozlewania goryczy na ołtarzu jedynego boga i kata ziemi — przeznaczenia" (str. 5). Nie wiemy, co ją do tego rozpaczliwego stanu doprowadziło, nie znamy dziejów jéj młodości, dowiadujemy się tylko, że wówczas i ona także była pewna, iż w niebie mieszkają bogowie, na ziemi ludzie czyści i dobrzy, a w duszy ludzkiéj miłość, litość i odwaga. Teraz wszystko jéj zobojętniało, a z ognia, którym dawniéj płonęła, pozostała jedna tylko drobna iskra: przyjaźń dla Helii. Dziesięcioletniém dzieckiem—sierotą wzięła ją do siebie, przywiozła do Rzymu, uczyniła westalką, sądząc, a przynajmniéj mówiąc, iż Helia dostąpiła przez to „najwyższego szczęścia, jakie w wieku niecnym prawą niewiastę spotkać może", bo została z wiekiem niecnym rozłączoną. Helia jednak zdania tego nie podziela; blada, roztargniona, drżącemi rękami sypie poświęcone zioła na ołtarz bogini; młodość jéj domaga się praw swoich. Jako westalka przyczyniła się do uwolnienia skazanego na śmierć Juniusza, myśl jéj zbiegła ku uratowanemu i nie uległa gorzkim, pesymistycznym uwagom Kornelii, przedstawiającéj marność uczuć i losów ludzkich. Pokochała Juniusza i skorzysta z pierwszéj sposobności, by porzucając strzeżenie ognia świętego pójść tam, gdzie ogień ziemski płonął, gdzie czekał na nią ukochany. Sądziła niewątpliwie, że powróci za chwilkę, że w tym czasie przy ołtarzu Westy zastąpi ją mamka, stara Gigea, pośredniczka zapałów miłosnych Juniusza. Ale stara chce sobie przypomniéć młode latka, chce przynajmniéj posłuchać gruchania zakochanych, więc i ona ołtarz opuszcza... ogień święty gaśnie. A wtedy właśnie przechodziło koło ogrodu westalek dwu rozpustnych Rzymian. Zachciało się im spojrzéć na dziewicę strzegącą ognia. Jeden z nich był edylem, miał prawo do tego i udzielił go drugiemu. Wdrapali się na mur: ujrzeli wśród cieniów nocy dwie postaci mężczyzny i kobiéty całujących się, ale nie dostrzegli ognia w świątyni. Naraz rozpustnicy przemienili się w srogich przestrzegaczów prawa. Dopuścić, żeby ogień wieczny zagasł — to zbrodnia, którą się karze śmiercią haniebną... Juniusz z Helią zbiegli, tym egoizmem miłości znagleni, co na żadne konsekwencye czynu dla innych osób nie zważa, byleby zadość

uczynić porywowi swych zmysłów czy uczuć. A jednak winna musi być ukarana. Pościg mógłby Helię dosięgnąć. W téj tragicznéj chwili Kornelia, któréj się zdawało, że już niczego żałować, nad niczém boléć nie będzie, bo nikogo już nie kochała, poczuła litość serdeczną nad młodą, do życia się uśmiéchającą, w dal z Juniuszem mknącą Helią i za nią poświęcić się postanowiła. Siebie obwiniła, siebie w ręce władzy oddała, a do jednéj ze szlachetnych towarzyszek swoich, Adryi, poszepnęła: „Jeżeli kiedy zobaczysz Helię i Juniusza, powiédz im, że w bramy Hadesu wstąpię stokroć szczęśliwsza, niż żyłam na ziemi“ (str. 47). Całość wykonana została w stylu szlachetnym, poważnym, gdzieniegdzie tylko realistycznie zabarwionym. Forma dramatyczna nie jest traktowana w sposób sceniczny; więcéj tu obrazowania, więcéj dbałości o odmalowanie charakterów, mianowicie Kornelii, aniżeli o żywy ruch akcyi. W dyalogu chodziło autorce raczéj o pełnię wyrażenia, o uwydatnienie myśli i wzruszeń, aniżeli o jego dramatyczność. Jako poemat zatém dyalogowany, powinna być rozpatrywana „Westalka“ i z tego punktu widzenia oceniony. Pod względem wydawniczym należy „Westalka“ do książek, wydanych starannie, wykwintnie i ze smakiem. Nie wątplimy, że znajdzie ona licznych czytelników.

---

= *Esteja*. **Fuga Bacha**, powieść (Warszawa, S. Lewental, str. 371).—Atmosfera, stosunki, nastrój, charaktery znowu w téj powieści Estei takie same, jak w przeważnéj liczbie poprzednich. Próżniacza, znudzona, kapryśna, o zabawie jedynie i celach egoistycznych myśląca arystokracya, zazwyczaj przebywająca za granicą w wielkich ogniskach wykwintu i zbytku; uczucia płytkie, powierzchowne, zadawalniające się flirtem lub téż chorobliwie nerwowo egzaltowane; bezcelowość istnienia; stadła kosmopolityczne, z pozoru pobożne i ucywilizowane, w gruncie materyalistyczne i brutalne; stosunki z bogatém mieszczaństwem dla kredytu i pożyczek na życie wystawne, bale, wenty i t. p.—oto koło zaczarowane, po którém każe się kręcić autorka umysłowi czytelnika, zanurzając go w powietrzu duszném, przesiąkniętém wyziewami perfum, wina, cygar. Nawet kiedy z Paryża, w którym przeszło połowa akcyi się rozgrywa, prowadzi nas Esteja na wieś, to na to tylko, aby nas znowu uwięzić w buduarach i salonach. I charaktery zgoła nie mają w sobie nic nowego; znamy je aż nadto z poprzednich powieści autorki. A więc stały typ lekkiéj, dowcipnéj, flirtującéj Lili, urozmaicony tutaj poświęceniem dla sparaliżowanego męża; oraz typ niby podniosłéj, niby rozumnéj, niby samoistnéj Klimy, który dopóty się na wyżynie utrzymuje, póki jest bierny,

w działaniu zaś staje się mdłym i pospolitym. Role męskie są albo szablonowe, albo nader pobieżnie nakreślone; nigdzie w nich pogłębienia psychologicznego, wszyscy żyją tylko na zewnątrz i rażą swoją płytkością. Nie przeczę, że dzięki żywemu przedstawieniu rzeczy i dowcipowi książkę przeczytać można z pewnem zajęciem, ale po przeczytaniu prócz niesmaku nic w duszy nie pozostaje. — Taż sama autorka w połączeniu z Własta (nowy pseudonym, po raz pierwszy, o ile wiem, pojawiający się na okładce książki) napisała powieść w samych listach p. t. **We czworo** (Warsz., S. Lewental, str. 239). Naturalnie mamy i tutaj do czynienia z książętami, hrabiami, Wiedniem, Meranem, flirtem i t. d. Kadryl miłosny odtańcowują dwie siostry, księżna Zofia i księżniczka Iza, hrabia Andrzéj i pan Maks; oczywiście, jak w kadrylu, Zofia zbliża się to do Andrzeja, to do Maksa; tak samo i Iza. Iza jest nową edycyą flirtujących bohatérek Estei, może najbardziéj zbliżoną do Lili z „Fugi Bacha“, ponieważ, jak chcą autorki, pomimo lekkomyślności, pomimo wielkiéj wprawy, że nie powiem rutyny w bałamuceniu mężczyzn różnych narodowości, jest w niéj dużo uczucia, tak że kontredansa kończy śmiercią. O ile to może być psychologicznie prawdziwém, trudno wiedziéć czytelnikowi, bo autorki nie dostarczyły danych do wyrobienia sobie opinii w tym kierunku. Wprawdzie Zofia przypuszcza, że gdy Iza pokocha, to już na śmierć, ale sama nie jest ostatecznie pewna swego przypuszczenia, a czyż czytelnik może być pewniejszy? Widzimy Izę bawiącą się tylko w uczucie, swobodną, wesołą, zestawiającą najlekkomyślniéj rzeczy poważne z błahostkami, zaręczając się z hr. Andrzejem niby dla wypłatania psikusa siostrze, która znowuż, niby to bardzo rozumna i bardzo zacna, pod pozorem nawrócenia rozbrykanego młodzieniaszka Maksa, z nim odbywa zaręczyny. Dopiéro gdy Iza zwróciła słowo hr. Andrzejowi, a Zofia Maksowi, widzimy w pierwszéj nagłą i niespodziéwaną metamorfozę, spoważnienie, pewne poczucie obowiązków obywatelskich i t. d. Taka przemiana jest możliwą, naturalnie; lecz musi być należycie pod względem psychologicznym przeprowadzoną, o co autorki się nie zatroszczyły. Dopóki Iza jest flirtującą kokietką, przedstawiają jéj zachowanie się bardzo dobrze, jéj wybryki i jéj szalone rozmowy odtwarzają wybornie, ale gdy im przyszło kreślić wyszlachetnienie, uzacnienie téj postaci, poprzestały na mocno wyszarzanych ogólnikach. Podobnież ma się rzecz wogóle z charakterami, które chcą przedstawić jako zacne i rozumne; hr. Andrzéj i Zofia mają właśnie reprezentować taką parę nie pierwszéj już młodości, ze zdobytém doświadczeniem, z wyrobionemi niby poglądami i zasadami, która w początku powieści myśli (o dziwo!)

o sprawach publicznych i zakłada sobie cele wielkie, a przynajmniéj wartość pewną społeczną mające. A jakżeż ona słabo, jak dwuznacznie odmalowała się ta para w listach swoich, a zwłaszcza w swojém postępowaniu. Błądzić jest zapewne rzeczą ludzką; mógł się więc hr. Andrzéj dać olśnić Izie; mogła Zofia z miłością w sercu dla Andrzeja, dać się unieść chęci zreformowania Maksa; lecz żeby te słabostki miały prowadzić oboje aż do zaręczyn wbrew przeciwnych ich usposobieniom, to tłómaczymy sobie jedynie skłonnością Estei do przebywania w krainie uczuć płochych i postanowień lekkomyślnych. Charakterystyka osób w sposobie wyrażania się, w odrębności stylu listowego objawia się zaledwie w formie próby, która się prawie nigdzie nie powiodła pod względem artystycznym; wszędzie bowiem przeważa styl saméj Estei, nie wolny, jak zawsze, od zwrotów niepoprawnych lub nieswojskich.

---

= *Julian Łętowski.* **Robakiewicz.** Nowele i obrazki (Warszawa, S. Lewental, str. 257). W tym nowym zbiorku opowiadań p. Łętowskiego są rzeczy bardzo nierównéj wartości psychologicznéj i artystycznéj. Nazywam je opowiadaniami, a nie „nowelami i obrazkami“, jak głosi tytuł, gdyż są najczęściéj prowadzone w pierwszéj osobie (wyraźnie lub domyślnie) i odznaczają się właściwym narracyjnym, w którym nie subtelne cieniowanie, ale dobitne, ostre rysy przemagają. Szkoła, teatr, warsztat, karczma—oto zwykłe otoczenie, z którego wychodzą osobistości, przez autora nam przedstawiane. Zaobserwowanych rzeczy jest w tém niewątpliwie dużo, lecz i fantazyą dotworzonych niemało. Czasami wątek starczy zaledwie na anegdotę, jak np. w „Robakiewiczu“, gdzie młodzież szkolna uprzedza się do jednego ucznia, posądza go o lizusostwo i t. p., a okazuje się, że mniemane konszachty z nauczycielem wywołane były brakiem... najkonieczniejszéj części ubrania. Albo znów w „Idylli“ dziewczyna wyzyskiwana przez swego opiekuna, Niemca, sama zaczepia milczącego i powolnego robotnika, ażeby razem z nim pójść w świat i od nieznośnéj opieki się uwolnić. Gdzieindziéj jest materyał na dramat, tylko ponieważ podobne tematy już niejednokrotnie były przez innych szeroko obrabiane, p. Łętowski, mający dużo smaku i taktu artystycznego, woli ten materyał opracować zwięźle, a zamiast rozpowiadania np. o zbałamuconéj dziewczynie, przedstawić rozpacz ojca-stolarza, objawiającą się w pociągu do kieliszka („Marczyńscy“), lub téż w podobny sposób manifestujące się niezadowolenie człowieka, kochającego cudzą żonę, lecz zanadto skrupulatnego, by ją uwieść („Schadzka“). Gdzieindziéj jeszcze sprzęgnięte są z sobą spostrzeżenia i fakta różnorodne,

nie przyczyniające się do należytego wyświetlenia rozwoju psychologicznego osoby, któréj charakterystykę miał nam autor przedstawić. Tak jest w „Amancie komicznym“. Jakże tu rekomendacya tego człowieka, pomieszczona na początku, odskakuje od dalszego rozwinięcia. „Widywano go—powiada p. Ł.—tylko uśmiechniętym lub do śmiechu pobudzającym innych. Jako towarzysz w wesołéj kompanii, nie miał sobie równych. Młodzież modnego świata lubiła go powszechnie za jego żarty, które dotykały zwykle nieobecnych (w braku takich, żartował z siebie z samego), za jego koncepty, z których niepodobna było się nie śmiać, za jego wesołość, czasami i nawet nieszczerą, zgryźliwą i wymuszoną, ale zawsze zabawną“ (str. 144). Czytelnik spodziéwa się, że się uśmieje, bodaj w sposób wymuszony, że zapozna się z kilkunastu przynajmniéj żartami czy konceptami zabawnemi. Nadzieja go zawodzi. Po figlu szkolnym, który zdawał się zapowiadać człowieka wesołych pomysłów, czytamy o młodzieńcu, w którym uczucie gorące, zamiłowanie fanatyczne do sztuki na długi, bardzo długi czas stłumiło wybuchy swobodnego humoru, raczéj ulega on figlom innych, niż sam im płata. Zawiedziona miłość do koleżanki-aktorki wpływa na zwichnięcie jego karyery scenicznéj i rychło go usposabia na kandydata do mogiły. Z konceptów smutnych, sarkazmem nacechowanych, dopiéro w ostatniéj fazie jego życia coś się dowiadujemy. Zdaje się, że ta para konceptów właśnie posłużyła autorowi do nakreślenia owéj obiecującéj charakterystyki na początku opowiadania. Pominąłem jeden jeszcze utwór: „Ja, on i ona“. Rola powiernika, którą odgrywa tu „ja“ nie jest nową i nie ma w sobie szczegółów nowych, „on“ nie jest również osobą mogącą nas bliżéj zainteresować, bo takich egoistów, co wyzyskują cudze przywiązanie, mieliśmy także dosyć, ale „ona“ nie co do głównego charakteru — miłość bez granic — lecz co do szczegółów zachowania się, przedstawia parę rysów świeżych i ujmujących. Wogóle można zauważyć, że p. Ł. najlepiéj kreśli te sceny i osoby, w których uczuciowość stanowi pierwiastek główny. Styl gładki, potoczysty, barwny, odznacza wszystkie jego opowieści.

---

— *Michał Bałucki.* **Z mętów społecznych**, powieść. **Profesorka**, obrazek z natury (Warszawa, Lewental, str. 229).—Bałucki najlepiéj zna i najlepiéj maluje swoje rodzinne miasto, Kraków, zwłaszcza niższe warstwy mieszczańskie i tę gawiedź roboczą, co się na rynku w poszukiwaniu zajęcia gromadzi. Napatrzył się tych obrazków od dzieciństwa, wyobraźnia jego jest ich pełna, a chociaż bardzo ich już dużo w ciągu trzydziestoletniéj swéj pracy narysował, i teraz jeszcze

najświeższemi są jeszcze ze wszystkiego, co tworzy, najwięcéj w nich tętni prawdy. To téż pierwsza część powieści „Z mętów społecznych“, przedstawiająca właśnie stosunki téj biednéj warstwy ludności krakowskiéj, jest téż najudatniejszą, czy to kiedy nam autor opisuje rynek o południu, czy nam opowiada o wyrobnicy Wincentowéj, czy o jéj synku, sprytnym pauprze Antku, czy o rezolutnéj modelce France, we wszystkiém pomimo dość pośpiesznéj roboty przebija się życie pochwycone z całą wyrazistością swoich realnych przejawów. Inaczéj jest już w części drugiéj, gdzie opowiedzianą została historya miłości Antka do córki Franki, prowadzonéj przez matkę drogą zużytkowywania swych wdzięków na rzecz łatwego, bez zmudnéj pracy zarobku. Tu tylko pracownia modnego malarza świetnie, żywo odtworzoną została; reszta zaś jest zbudowana na przypuszczeniach trudnych do usprawiedliwienia, a więc i fakty przytoczone muszą się wydawać nieprawdopodobnemi. A tragiczna sytuacya, tragiczna w oczach czytelnika, nie zaś głównego działacza Antka, stającego z rewolwerem przeciwko swemu naturalnemu ojcu, nie wywołuje grozy i przedstawia się melodramatycznie. Z téj tedy powieści pierwsza tylko część stanowić będzie istotne wzbogacenie piśmiennictwa kilku trafnie nakreślonemi sylwetkami. — Obrazek „Profesorka“, z natury wzięty, jak zapewnia autor w tytule, maluje opłakany los nauczycielek wiejskich w Galicyi. Niechęć chłopów, nie rozumiejących potrzeby oświaty, ale czujących ciężary, jakie na nich szerzenie téj oświaty wkłada, skreślona została dowcipnie, złośliwie, ale materyały do napisania téj cząstki swego utworu czerpał, zdaje się, Bałucki nie z bezpośredniéj własnéj i systematycznie prowadzonéj obserwacyi stosunków w pewnéj danéj miejscowości, lecz z anegdot opowiadanych o różnych wypadkach rzeczywistych, zaszłych w różnych stronach. Opieszałość lub krótkowidztwo władz administracyjnych przedstawioną została w sposób dziś już typowy, a więc nie wielkie budzący zajęcie. Przygoda zaś indywidualna Anieli z Władysławem, którego poznała jako studenta, a potém spotkała się jako z młodym obywatelem, próżniakiem i birbantem, starającym się o rękę bogatéj panny, jaskrawa w swém grubiaństwie i nikczemności, jest może zanadto wyjątkową, ażeby mogła służyć za charakterystykę stosunków mniéj więcéj normalnych. Obrazek jednak robi wrażenie, bo jest silnie odczuty, autorowi leży na sercu bolesny los tysięcy nauczycielek, o których niejednokrotnie gazety donoszą. To gorące zainteresowanie się sprawą może było nawet główną dla autora przeszkodą w staranném wykonaniu obrazka, przerastającego żywotnością tematu wiele innych przez Bałuckiego kreślonych. O zaletach stylu nie potrzeba tu chy-

ba osobnéj wzmianki; jak zwykle, jest on żywy, barwny, nieraz prawdziwym dowcipem okraszony, a zawsze płynny, potoczysty.

---

= **Jocelyn.** Dziennik wiejskiego plebana przez A. de Lamartine'a. Przełożył *A. M-ski* (Kraków, Nakład redakcyi „Świata“, 1891, str. 319). — Więcéj proza niż poezye Lamartine'a były u nas w tłómaczeniu rozpowszechnione. Prócz „Dumań“, które w r. 1822 Dominik Lisiecki przełożył i ogłosił, zaledwieby można parę drobnych utworów wierszowanych wymienić, przyswojonych naszemu językowi. I ogół i poeci nawet nasi nie bardzo w nim smakowali. Łagodny, refleksyjny raczéj, niż namiętny śpiéwak, nie mógł znaleść uznania w czasach, gdy do dusz młodych przemawiał burzliwy, demoniczny Byron, pobudzając do naśladownictwa w życiu i twórczości poetyckiéj. Dzisiaj, gdy wyłącznego jakiegoś kierunku w dziedzinie poezyi nie ma, gdy panuje przeważnie eklektyzm i niepewne szukanie dróg nowych; umysły spragnione wrażeń poetyckich śledzą we wszystkich wiekach i krajach, czy nie znajdą dla siebie karmi odpowiedniéj. Jestto jakby nowy przegląd pomysłów, nastrojów, usposobień, kształtów, by odnaleźć rzeczy dla dzisiejszego stanu ducha stosowne. P. Adam M-ski, który niedawno dał nam wyborny przekład „Luzyad“ Kamoensa, a jako autor samoistny wystąpił z poemacikiem „Jeden z wielu“ i „Fragmentem“, drukowanym w „Ateneum“; przedstawia nam obecnie tłómaczenie Lamartinowego „Jocelyn'a“. Miał to być jeden z epizodów wielkiéj epopei, któréj treścią miała stać się „ludzkość, przeznaczenie człowieka, zmiany, jakie umysł ludzki przebyć musi, zanim drogami pańskiemi kresów swoich dosięgnie“. Z epopei téj poeta wykonał, jak sam powiada, kilka części w różnych epokach życia swego; niezadowolny z niektórych, ciskał je w ogień, inne zachował do dalszego rozmysłu, a inne jeszcze miał nadzieję wśród sprzyjających okoliczności napisać. „Jocelyn'a“ zdecydował się ogłosić w r. 1836 i wywarł nim w ojczyźnie swojéj dość silne wrażenie. Na tle zawichrzonych czasów wielkiéj rewolucyi francuskiéj nakreślił ciche życie człowieka, który uczucia i namiętności swoje składał kolejno w ofierze to na ołtarzu miłości rodzinnéj, obierając stan kapłański, ażeby umożliwić siostrze swojéj wyjście za mąż, na ołtarzu religii, znieważonéj i prześladowanéj przez jakobinów, wyrzekając się możności szczęścia osobistego z ukochaną Laurą, którą poznał i pokochał bezwiednie w przebraniu męskiém. Cierpiał w milczeniu i obowiązki proboszcza wiejskiego spełniał gorliwie, doczekawszy się przywrócenia religii do dawniejszego we Francyi znaczenia. Dla dusz lubiących spokojne marzenie, rozkoszujących się

w obrazach uczuć prostych, naiwnych, oraz poświęceń bohatérskich bez patosu i deklamacyi, opowiadanie Lamartine'a równe, jednostajne, nadzwyczaj rzadko zdradzające wybuch ognia wewnętrznego, będzie miłém i zajmującém; dla innych wydać się może mdłém i rozwlekłém, pomimo istotnie pięknych często porównań i przenośni. Przekład p. A. M-skiego posiada znane już dobrze z „Luzyad" zalety wierności, poprawności i potoczystości zarówno w wierszach krótszych jak trzynastozgłoskowych. Nie ma tu tak częstych, jak u wielu innych tłómaczy, wstawek niepotrzebnych, wywołanych jedynie koniecznością rymu; nie ma rymów zbyt łatwych, nie ma nużącego łamania zdań w wierszu i t. p. Zwróciłbym tylko uwagę, że w dwu miejscach (w „Pieśni do Laury" i pieśń o znieważaniu kapłanów) użył tłómacz niewłaściwie bardzo niemelodyjnego wiersza 14-zgłoskowego, który od najdawniejszych czasów (od Reja np.) rzadko któremu z poetów naszych się udał, jeśli się nie dzielił na dwie równe połowy, mające jednakową liczbę akcentów i jednakowe ich następstwo. Takie np. wiersze: „Pięknie-to było, widząc Rzym, macierz i królową | W czasie, gdy cień imperyi wywołać chcąc na nowo | Pod swe spiżowe stopy karki mocarzy zniża i t. d., lubo mają jednakową liczbę akcentów, nie mogą być dla ucha miłe, gdyż następstwo tych akcentów jest odmienne w każdym z trzech, a do wygłoszenia są trudne, gdyż na nieregularne dzielą się części. Pod względem języka tłómacz jest bardzo dbały o jego czystość i poprawność; prócz kilku prowincyonalizmów (siewenka i t. p.), niezrozumiałych dla ogółu polskiego, możnaby wytknąć parę tylko form nieprawidłowych (rozwarć = rozewrzéć, otwarć = otworzyć), które także w prowincyonalnych przyzwyczajeniach mają swe źródło. Sądziłbym także, iż na str. 235 nie wyrazu „hotel", lecz „pałac" użyć wypadało. Drobne te usterki nikną jednak wobec wielkich i przeważających zalet tłómaczenia, które p. A. M-skiemu zawdzięczamy.

---

= **Rys dziejów czeskich** skreślił według źródeł *Justyn Feliks Gajsler*. Tom II, 8-vo, str. 361 (wyd. z zapomogi Kasy imienia d-ra Mianowskiego).—W r. 1888-ym ukazał się pierwszy tom tego dzieła, obejmujący dzieje czeskie od najdawniejszych czasów do spalenia Husa (1415 r.), o czém podaliśmy zaraz krótką wiadomość; uzupełniamy ją obecnie wzmianką o drugim tomie, który w roku bieżącym został ogłoszony. Opowiada tu autor obszerniéj dzieje ruchu husyckiego, pełnego zdarzeń, dla czytelnika tak ciekawych, a dla losów narodu czeskiego tak wielce doniosłych. Wstrząśnienia wewnętrzne, ruch reformacyi religijnéj, czasy wojny trzydziestoletniéj i tragiczny

upadek państwa wypełniają dalszą treść opowiadania. Mniéj miejsca przeznaczył p. Gajsler dla historyi prześladowań, przez rząd austryacki dokonywanych po r. 1620, a jeszcze zwięźléj szkicuje obraz odrodzenia narodu czeskiego w bieżącém stuleciu. Praca p. Gajslera wypełnia dotychczasowy brak w naszém piśmiennictwie dzieła podobnego zakresu, a przez recenzentów czeskich przychylnie została oceniona.

---

= Na posiedzeniu Komisyi historyi sztuki 5 maja r. b. przewodniczący prof. Mar. Sokołowski poświęcił na wstępie wspomnienie zmarłemu Wilhelmowi Gąsiorowskiemu, pracownikowi na polu dziejów sztuki i zdawał sprawę z postępu druku publikacyi. Następnie p. Lepszy przedłożył nowe nadeszłe dzieła do zbiorów Akademii i zwracał uwagę na ustępy, które mają dla nas znaczenie. Prof. Łuszczkiewicz przedstawił rysunki uczniów szkoły szt. pięk. z pomników architektury, rzeźby, malarstwa i przemysłu artystycznego, wykonane w czasie wycieczki do Tarnowa, Rzeszowa, Skrzyszowa i Gosprzydowy.— P. St. Krzyżanowski doniósł o wykryciu 3-ch dalszych inwentarzy kościoła P. Maryi w Krakowie, oraz przedstawił komunikat p. Chmiela p. t. Rzeczy, które pokradziono panu Hanuszowi Gedkowy Barwierzowy krolia Jego Mosczy Vigilią Swienthey Katarzini r. 1589. — P. Z. Hendel czytał rozprawę p. n. „Ogrojec kościoła św. Barbary w Krakowie“, w któréj zwrócił uwagę na mniéj widoczne szczegóły architektoniczne, poddał szczegółowemu rozbiorowi cechy ozdób gotyckich, które mają powinowactwo stylowe z dziełami W. Stwosza i przedstawiają znaczną wartość pod względem dekoracyjnym. Kaplica ta do pierwszych lat XVII wieku miała arkady otwarte, kratą jedynie zamknięte i wejście od drzwi głównych kościoła św. Barbary w miejscu, gdzie dziś widzimy ściankę. W dyskusyi nad wygłoszonym odczytem przy równoczesném przedstawieniu wykonanych przez p. Hendla rysunków, t. j. widoków i przekrojów Ogrojca, prof. Wł. Łuszczkiewicz powoływał się na dawne prace swoje nad tym pomnikiem i wyjaśnił, że, jakkolwiek nieznanym jest fundator kaplicy grobowéj św. Barbary, wiadomo, że budowę jéj prowadził już r. 1396 Piotr Kaldherberger. W „Ogrojcu“ zaś widzi kostnicę (*ossuarium*) taką, jaką jeszcze r. 1338 budował na cmentarzu przy kościele P. Maryi Wierzynek; składano w niéj kości wykopywane na cmentarzu Maryackim, czego i sam klucz sklepienny z wyobrażoną na nim trupią głową z dwoma piszczelami dowodzić się zdaje. Odczyt ten, po opracowaniu w myśl poczynionych przy dyskusyi wskazówek, pomieszczony będzie w „Sprawozdaniach“

komisyi. — W końcu p. Lepszy przedłożył komunikaty hr. K. Przezdzieckiego, a mianowicie dokument Zygmunta III z r. 1601, odnoszący się do zakupna dachówek w Gdańsku, potrzebnych na pokrycie zamku warszawskiego, tudzież rysunek kubka glinianego, wykopanego w Postawach (gub. wileńskiéj), który się odznacza charakterystycznym kształtem, właściwym kubkom metalowym z XVI-go i XVII-go wieku.

---

= Na posiedzeniu wydziału filologicznego Akad. umiej. w dniu 9 maja prof. Morawski podał treść swéj rozprawy p. t. „*De rhetoribus latinis observationes*“. Za czasów cesarstwa, kiedy wymowa straciła swoję dawniejszą doniosłość i właściwe pole działania, rozwinęły się szkoły deklamatorów, które miały niby przygotowywać do sądowych i publicznych występów, w rzeczywistości jednak stały się same dla siebie celem i durzyły umysły młode grą wyrazów i igraszką myśli. Autor w niniejszéj rozprawie przedstawia istotę i obyczaje tych szkół, a następnie stara się określić wielki ich wpływ na cały stan umysłowy i literaturę ówczesną. Ponieważ każdy prawie Rzymianin szkoły te przechodził, dlatego téż nic w tém dziwnego, że retoryka ta odbiła się na wielu utworach piśmiennictwa. Ślady jéj widoczne są w poezyi pierwszego wieku cesarstwa, a również w historyografii. Niektóre myśli i zwroty, ze szkoły zaczerpnięte, powtarzają się odtąd stale u wielu autorów, jak Velleius, Seneka, Tacyt, Iuvenalis, Florus i inni. Myśli te i zwroty autor starał się wykazać na pewnych przykładach, przez co wpływ tych deklamacyi ukazuje się w wyraźnych zarysach. — Sekretarz przedstawił z szeregu słowników ludów kamczackich ze zbiorów prof. Dybowskiego, w opracowaniu p. Ign. Radlińskiego, „IV-ty Słownik narzecza Kamczadałów zachodnich“. Obie te prace przesłano komitetowi wydawniczemu.





# KRONIKA MIESIĘCZNA.

Z powodu zbrodni.—„Bankruci“ p. Konara. — Czy sztuka ma estetyczną wartość? Kolonie Hirscha. — Charakter agitacyi wyborczéj do Tow. Kred. Ziem. — Szkoły rolnicze. — Przemysł wiejski. — Wyjaśnienie lekarzy.

W zeszłym miesiącu Warszawa została zaalarmowana morderstwem samotnie żyjącéj kapitalistki. Zbrodnię spełniła osoba z t. zw. „wyższéj warstwy towarzyskiéj“. Zamordowała kapitalistkę dla rabunku i w téj chwili została zatrzymaną i aresztowaną.

Doświadczeniem wyrobiona ostrożność zalecałaby może przed ukończeniem procesu karnego wstrzymać się od sądu o tym okropnym wypadku. Lecz wszelka dyskrecya, obowiązująca słowo drukowane ze względu na pozostałą, najboleśniéj dotkniętą rodzinę, byłaby już spóźniona i bezużyteczna: fakt zabójstwa, nazwisko morderczyni i jéj ofiary stały się wiadomemi tego samego dnia wszystkim przez opis wypadku w dziennikarskiéj kronice, bo inaczéj być nie mogło. Są zaś wypadki, tak w rzeczywistości swojéj okropne, że im żadne komentarze nic dodać nie potrafią.

Opinia masy w ocenie tego faktu trudną byłaby do zmiany nawet wtenczas, gdyby ekspertyza psychiatryczna wykazała trwałą lub choćby chwilową niepoczytalność zabójczyni. Uznać słuszność téj niepoczytalności mogłaby tylko nieliczna garstka ludzi wykształconych.

Na teraz więc, wstrzymując się z wypowiedzeniem zdania do zupełnego ukończenia procesu sądowego, to nadmienimy, że pozostaje obyczajowa strona sprawy, która, bez podniecanego nawet oburzenia, jest bardzo przygnębiającą. Na to przygnębienie składają się motywy zbrodni (o ile — powtarzamy — odgadywać je możemy), a była niemi chęć zdobycia pieniędzy, przez kóbiétę żyjącą w dostatkach, na zbytki.

Nie chcemy powiększać ani szczerego, ani sztucznego zgorszenia. Wiemy, że wielkie nieszczęścia, wielkie zbrodnie i wielkie hańby są związane nieodłącznie z ustrojem społecznym, że zbrodnia jest starą, jak świat, a raczéj jak pobyt człowieka na świecie.

Dziś nie mamy złudzeń wielu myślicieli XVIII-go stulecia, według których natura wydawała człowieka na światło dnia, jako *tabula rasa*, i wystarczało na téj tablicy wypisać maksymy cnoty, braterstwa i ludzkości, wystarczało oświecić umysł, dać mu pojęcie prawa i obowiązku, ażeby go zrobić na zawsze szlachetnym, czystym, cnotliwym, niemal wielkim. Wymarli już chyba szczerzy wielbiciele wymownéj i wzniosłéj sielanki Rouss'a.

Zamiast tego pięknego, lecz idealnego tylko poglądu, mamy dziś na naturę ludzką i społeczne instynkta człowieka przyrodniczo-historyczny pogląd: podejrzewamy, że pokutują w człowieku krwawe reminiscencye epoki jaskiniowéj, wiemy, że człowiek-zwierzę może wyskoczyć nawet ze swéj cywilizowanéj skóry i przerazić nas krwawą brutalnością, którą mogliśmy uważać tylko za właściwość odległego przed-cywilizacyjnego okresu. Dawne, piękne złudzenia reformatorów nie mają dzisiaj wielkiego kredytu.

To wszystko prawda. Dla laboratoryów naukowych wszystkie fakta—jak mówią—są równe, a zbrodnia i cnota, jak ktoś powiedział, jest takim samym produktem, jak witryoléj lub cukier. Gdybyśmy więc sobie wyobrazili jakieś laboratoryum społeczne, w którém dokonywają analizy faktów, za społeczne uznanych, to od takiego zakładu wymagaćbyśmy tylko mogli nie orzeczenia, o moralnéj lub niemoralnéj wartości przyniesionego przez nas faktu, lecz tylko dokładnéj analizy pierwiastków, a raczéj motywów, które go wywołały i sprowadziły.

— Dany organizm moralny—odpowiedzianoby nam — może lub musi produkować z koniecznością procesu chemicznego takie tylko, a nie inne fakta lub objawy, które wam się podoba nazywać postępkami moralnemi, niemoralnemi, zbrodniczemi i t. d.

Dla laboratoryum te nazwy są obojętne.

I laboratoryum miałoby słuszność. Naukę, którą ci i owi posądzają o wynalezenie walki o byt, kiedy ją ona tylko stwierdziła, musi być niezależną od praktycznych wyników swoich poszukiwań. Inaczéj nie byłaby nauką i nie byłaby pożyteczną. Wynalazek prochu posłużył do wymordowania pierwotnych mieszkańców Ameryki i ten sam wynalazek nie pozostał bez wpływu na emancypacyą średnich i niższych warstw w Europie.

Lecz my nie siedzimy w laboratoryum, nie patrzymy z odległéj perspektywy czasów, niekiedy całych wieków na poruszenia wielkiego mrowiska ludzkiego. My stoimy na scenie życia, którego brutalne objawy mamy prawo nazywać haniebnemi i okrutnemi, bo płacimy za nie bólem własnych nerwów, krwią własnego serca, bytem, szczęściem, wszystkiém. Gdybyśmy wobec zbrodni, podobnych do dokonanéj na ulicy Wspólnéj, zachowali się jak tureccy fataliści, przyglądający się z apatyczną ciekawością zaledwie bachanaliom zbrodni, gdybyśmy do sfery moralnéj przenieśli zasadę ekonomiczną: *laissez faire, laissez aller*,—wówczas stanęlibyśmy na krawędzi rozboju.

Według trafnego określenia Daudet'a, widzimy dziś pełno rycerzy karyery lub rozpusty, płynących śmiało „na łodzi, na któréj nie ma ani przesądów, ani żandarmów“. Tém gorzéj, że do téj łodzi wsiadają i kobiéty.

Obecnie często się można spotkać ze zdaniem, że upadły ideały i są tacy, którzy tym upadkiem wszystko złe chcą objaśnić. Modném jest narzekanie współczesnych na swoją teraźniejszość. Społeczność europejska nie jest zapewne tak zgangrenowana, jak twierdzi wielu. Musi jednak posiadać ona niewątpliwie pewne silne i specyficzne cechy rozkładu, jeżeli jeden ostrożny w sądach hygienista co do nerwów i moralny pisze: „Fatalna cecha charakteryzuje nasz wiek: jest nią niepohamowana dążność wybicia się naprzód i wyniesienia, chociażby to należało jak największą ceną okupić, chociażby demonowi pychy, bogactwa i użycia należało przynieść w ofierze zdrowie, rodzinę i honor, byleby tylko upragniony cel jak najprędzéj został osiągnięty.“

Tak zwane „wyższe warstwy społeczne“, a zwłaszcza burżuazya, podlegają ostréj krytyce za ciasnotę swoich widnokręgów duchowych, za ściganie jedynie uciech zmysłowych, za materyalistyczne pojmowania zadań życiowych, za rozwiązłość zmysłową.

Płytki, zdawkowy sceptycyzm, któremu hołdują szerokie „warstwy towarzyskie i inteligentne“, nie jest szkołą cnoty społecznéj, ani wstrzemięźliwości etycznéj. Wychowanie, mające raczéj na widoku

technikę umysłu, skierowaną ku celom wyłącznie praktycznym, niż rozwój umysłu i kulturę duszy, nie sprzyja hartowi charakteru.

Dopóki więc „karyera“ będzie jedynėm zadaniem, dopóki w płytką materyalistyczną cywilizacyę nie wsiąkną lepsze pierwiastki, dopóty istnieć będą warunki, sprzyjające temu, że „*la bête humaine*“ wyskakiwać będzie ze swojéj jedwabnéj i wyperfumowanéj skóry, aby przerażać nas krwawemi reminiscencyami epoki jaskiniowéj.

W teatrze letnim rozpoczęto sezon od 4-aktowéj sztuki p. Alfreda Konrada „Bankruci“. Już tytuł wskazuje, jaki temat był przedmiotem utworu.

Bogaty fabrykant warszawski, Bożykowski, mając próżną, rozrzutną i złą żonę, popada w coraz gorsze interesy, które mu téż nagłą śmierć zgotowały. Rodzinę, składającą się z żony, dwu córek i syna, Jerzego, zostawia na łasce nieprzyjaznego losu, bo Jerzy nie jest fachowcem i nie posiada energicznego charakteru do ocalenia sytuacyi. Rozrzutne wybryki matki i jego niezaradność przyśpieszają katastrofę w postaci licytacyi i zupełnéj ruiny. Jerzy, zawikłany jednocześnie w romans z żoną przyjaciela swego ojca, zagrożony kryminałem za fałszerstwo weksli, kończy śmiercią samobójczą.

Można się było spotkać ze zdaniem, że sztuka p. Konara i powieść pod tym samym tytułem i téj saméj treści, posiadają stempel t. zw. aktualności, że bankructwa, tak liczne w tych czasach przesileń i krachów istotnych lub podstępnych, napraszały się pod pióro beletrystów i dramaturgów. Otóż bankructwo majątkowe i połączone z niém bardzo często obyczajowe, było oddawna odtwarzane. Ruinę fortun i charakterów arystokracyi malowali Kraszewski w licznych swoich powieściach, jak np. „Komedyanci“ i „Morituri“; Kaczkowski we „Wnuczętach“, Orzeszkowa w niektórych powieściach nakreśliła wspaniałe i tragiczne obrazy upadku wyższéj szlachty. Naturalnie, że o żadném porównaniu pod tym względem między nimi, a młodszymi naszymi realistami mowy być nie może. Znaczyłoby to porównywać rozhukaną żywiołowo, wszystko porywającą w biegu, rzekę z błotnistym strumykiem. Powieść jednakże p. Konara do nas nie należy.

Czy zaś sztuka jego ma istotną pod względem owéj aktualności doniosłość? Nie sądzimy. Długie tyrady starego Bożykowskiego o życiu nad stan, prowadzoném dla kaprysów żony, zabiegi Heleny, córki ich, starającéj się po śmierci ojca natchnąć energią brata, nie mogą rościć żadnéj pretensyi do dramatycznego przedstawienia nowych a ujemnych stosunków w warstwie przemysłowéj. Nie robimy

z tego zarzutu autorowi, lecz poszukajmy tej nowości i aktualności. Zarzut, zdaniem naszém, byłby wcale chybiony, bo o wartości sztuki teatralnéj rozstrzyga nie jéj ekonomiczna, lecz estetyczna wartość. Gdyby ktoś chciał zapoznawać się z napięciem i życiem interesów realnych danego społeczeństwa w jego literaturze scenicznéj, to niezawodnie nie wieleby się dowiedział. Autor teatralny może nawet stawiać i rozwiązywać tezy moralne, lecz nie ekonomiczne.

Dochodzimy więc teraz do głównego punktu i zapytujemy, czy sztuka p. Konara posiada estetyczną doniosłość i wartość? Ze szczerém przekonaniem odpowiedziéć musimy: nie.

Od teatralnego utworu autora, którego talent systematycznie zalecano, widz spodziéwa się, że ten autor zrobi mu przyjemną niespodziankę i pokaże coś więcéj, nad ten nadużyty już temat wiarołomnéj miłości, nad ten szablon obyczajów mieszczańskich, któremi cała literatura teatralna karmi do przesytu biédną ludzkość od lat kilkudziesięciu tak niesłychanie jednostajnie.

Niewątpliwie, że nikt nie ma prawa przepisywać autorowi kierunku i rodzaju twórczości. Lecz kiedy młody autor wchodzi w szranki, to czytelnik lub widz spodziéwać się może, że przynosi z sobą nowe, oryginalne pierwiastki. Spodziéwa się nowéj kategoryi wrażeń, nowego oświetlenia namiętności, istotnych ludzi i istotnego, nie szablonowego życia. Czyśmy mało mieli w teatrze tego kretynizmu, który sam jeden, gdyby nie było innych, mógłby u niejednego spowodować mizantropię? Ze starszymi autorami, dramaturgami tyleśmy się już nakręcili po téj galeryi kretynów, srok i kokot salonowych, że choćby ze względów szczeréj życzliwości dla młodszych pisarzy, należy ich ostrzegać, ażeby rozszerzyli widnokręgi swojéj obserwacyi i nowych dróg szukali.

Powtarzanie, choćby nawet zręczne i efektowne, frazesów, wzruszeń, wrażeń i sposobów, które już umiemy na pamięć, należy porzucić. Autor „Bankrutów“ posiada niewątpliwie zmysł techniki teatralnéj; może ujawni w przyszłości zmysł estetyczno-filozoficzny, czego mu najszczerzéj życzymy.

Należałoby także zauważyć autorowi, że takich Jerzych inaczéj „robić“ należy. Z nikłego zarysu, danego przez autora, wnosić trzeba, że Jerzy ma być postacią o artystycznych zdolnościach, czy skłonnościach i dużéj inteligencyi, lecz słabéj woli. Otóż ludzie tacy, aby mogli być istotnie interesującymi, wymagają od swoich twórców wielkiéj intuicyi psychologicznéj, pewnéj, śmiałéj ręki i umiejętności oryentowania się w zawiłych procesach duszy. Bez tych przynaj-

mniéj warunków, lepiéj ich zostawić w spokoju. Jerzy Bożykowski p. Konara kolejami swego losu bardzo przypomina Wilhelma Jaekischa z „Końca Sodomy“ Sudermanna, lecz podobieństwo jest tylko zewnętrzne.

Pozostaje jeszcze tak zwana „sceniczność“ sztuki. Pod tym względem „Bankruci“ p. Konara posiadają niewątpliwą wartość, pomimo wytkniętych mu przez naszych krytyków usterek technicznych. Dziś więc już, po pierwszéj sztuce, można mu przepowiedzieć przyszłość sceniczną, bo umié wywoływać efekta, które przemawiają do natury tłumu. My nie widząc w teatrze mieszczańskim nic, coby go jeszcze sympatyi zalecać mogło, zatrzymaliśmy się nad estetyczną tylko i obyczajową wartością jego utworu. Zdolności scenicznych wcale w p. Konarze nie kwestyonujemy.

Kolonie, zakładane dla żydów przez Hirscha w Ameryce południowéj, stają się od czasu do czasu powodem, że kwestya żydowska wypływa na stojące i ciche wody naszéj publicystyki.

Jedni w filantropijnéj, choć na tak wielką skalę, zakreślonéj inicyatywie Hirscha widzą niezawodny sposób ostatecznego rozwiązania kwestyi żydowskiéj, tém więcéj, że według wiadomości, dotychczas wprawdzie poważnego potwierdzenia potrzebujących, komitet ministrów w Petersburgu zastanawia się nad projektem Hirscha, mającym na celu wyprowadzenie z granic państwa w ciągu 25-ciu lat 3,200,000 izraelitów do kolonii zamorskich; inni słuchają niedowierzająco o całém przedsięwzięciu, dopóki przynajmniéj zapowiadana regulacya i pomoc państwowa dla projektów Hirscha nie staną się konkretném postanowieniém, a nie jak dotychczas wiadomością dziennikarską. Ci drudzy utrzymują zresztą, że rozwiązanie téj odwiecznéj sprawy w każdym razie przechodzi siły a może i zamiary pojedyńczego, choćby i bajecznie bogatego bankiera, że upływ części proletaryatu żydowskiego, boć ci żydzi, którym się dobrze u nas dzieje, chyba z miejsca ruszyć się nie myślą, będzie tylko chwilową ulgą, dopóki żywioł ten na nowo się nie pomnoży.

Właściwie nawet i Hirsz nie chce pośledniego proletaryatu żydowskiego wywieść do Ameryki. Kwalifikacye od emigrantów do Argentyny wymagane, opiewają, że na koszta podróży i pomoc na miejscu od komitetu kolonizacyjnego liczyć mogą tylko zdolni do rolnictwa, rzemieślnicy wszystkich kategoryi, oraz ludzie z fachowém lub wyższém wykształceniem, wcale zaś pożądani i zapraszani nie są faktorzy, handlarze, wszyscy w ogóle do zajęć produkcyjnych nie zdolni, a także starcy, kaleki i dzieci, o ile te ostatnie wyjeżdżałyby bez rodziców.

Opuszczenie kraju przez rzemieślników żydów, o ile uskuteczniać się będzie, nie zostanie zapewne bez dobrego wpływu na zarobki i rozszerzenie pola pracy dla pozostałych rzemieślników; rzecz jednak jasna, że nie rzemieślnicy, gorzéj lub lepiéj, lecz w każdym razie produkujący są główną plagą kraju, lecz właśnie ci, którzy w nim zostaną. Czy żydzi mogą się stać w Ameryce południowéj, dzięki Hirschowi, narodem i państwem, posiadającém politykę, religię, literaturę, oraz rolnictwo i czy będą ztamtąd popychać naprzód cywilizacyę, jak to dziś niektórzy przepowiadają w gazetach warszawskich? W téj Ameryce powstały wprawdzie dzięki kolonizacyi potężne państwa, z których jedno już jest wielkim czynnikiem cywilizacyi. Ale kolonie Ameryki północnéj posiadały metropolię i Europę, z któréj przyniosły świéżą krew, która im posyłała swoich ludzi i swoje idee, aż dziś ta Europa zaczyna raczej już ulegać niż wpływać jeszcze na odległe państwa. Stany Zjednoczone stały się wielkim narodem i potężném państwem, dzięki przedewszystkiém wielkiéj tolerancyi religijnéj i politycznéj. Otóż ci, co żydom los wielkiego narodu w Ameryce przepowiadają, utrzymują sami, że jest to rasa pozbawiona ducha tolerancyi. Rasa anglo-saska karczowała lasy i z pustyń robiła uprawne pola, żydzi przynajmniéj dotychczas nie są rolnikami.

Idea powstania narodu i państwa żydowskiego z misyą cywilizacyjną w Ameryce bardzo byłaby ciekawą, gdyby nam ją chciano bliżéj objaśnić.

Dzisiaj jednak nie jest to bezpośredni powód do sporu. Co się stanie z emigrantami żydowskimi, wyjeżdżającymi za ocean, to nas także bezpośrednio nie dotyczy. Na teraz zaznaczyć tylko może należy, że jeżeli emigracya stanie się faktem poważnym, to dla dobra całéj ludności krajowéj życzyć jéj należy powodzenia. Będzie zaś niewątpliwie na téj drodze, kiedy z wielkiemi zamiarami Hirscha połączy się zapowiadane współdziałanie państwowe.

Przebieg wyborów do władz Towarzystwa kredytowego ziemskiego ujawnił przedewszystkiém ogólne dążenie naszego ziemiaństwa do ulg w systemie kredytu, przez tę instytucyę udzielanego.

Konwersya listów zastawnych, odliczanie większego procentu na amortyzacyę, były powszechném żądaniem na wszystkich zebraniach wyborczych, stawianem. Naturalny to porządek rzeczy: ciężkie położenie rolnictwa żądania takie zupełnie zrozumiałemi czyni.

Rzecz inna, czy wszystkie one są wykonalne. A między niemi było właśnie wiele niewykonalnych, jak np. 2% listy zastawne.

Z całego jednak przebiegu wyborów tych kilka niewątpliwych płynie wskazówek, że władze Towarzystwa kredytowego ziemskiego,

które z ogółem stowarzyszonych mogą być w ciągłéj i bezpośredniéj komunikacyi, powinny nastrój ich znać jaknajdokładniéj, odpowiednio go kierować lub uregulować, aby starą powagę instytucyi podtrzymać, na którą tu i owdzie krewka opozycya mocno uderzała. Czy to przez okólniki, czy przez ogłaszania dyskusyi, prowadzonych na posiedzeniach Komitetu i Dyrekcyi Głównéj, jak się tego wielu stowarzyszonych domagało, należałoby ogół stowarzyszonych lepiéj powiadamiać o przebiegu spraw instytucyi, o jéj projektach i zamiarach. Każde ciało wybrane stoi i stać powinno w ciągłéj styczności ze swoimi wyborcami, bo tym tylko sposobem podtrzymuje się ciągłość wzajemnego zaufania, inicyatywa i należyta znajomość interesów. Otaczanie się powagą i tajemniczością nie należy do współczesnéj metody kierowania instytucyami, powstałemi przez głosowanie. Towarzystwo znajdzie odłam prasy, która chętnie zapewne byłaby tłómaczem jego zamiarów wobec ogółu. Przy takim systemie trwałéj kontroli interesów i usposobień wyborców, nie byłoby może w czasie samego okresu wyborczego tyle gmatwaniny w pojęciach i żądaniach co do zakresu działań Towarzystwa, tyle nieznajomości spraw finansowych, a z drugiéj znów strony i Towarzystwo otrzymałoby bodziec do uwzględniania i możliwego realizowania żądań, stawianych instytucyi, która powstała dla obrony interesów własności ziemskiéj. Niektórym żądaniom wyborców trudno odmówić słuszności. Stowarzyszeni wołają wszędzie np. o instytucyę wzajemnych ubezpieczeń przy Towarzystwie, dodając jednocześnie, że nie powstanie ona dopóty zapewne, dopóki radcowie Towarzystwa zajmują urzędy w prywatnych instytucyach ubezpieczeniowych.

Bez przesady zauważyć można, że opozycya przeciwko działalności Towarzystwa była na wyborach dość głośną: odpowiedziéć więc na zarzuty i słuszne żądania uwzględnić należy, bo choć opozycya, jak wiadomo, jest koniecznym warunkiem dobrego funkcyonowania każdego systemu wyborczego, lecz rozrosła nad miarę, paraliżuje prawidłowy bieg instytucyi.

Dodatkowo należy także zauważyć, iż te pisma nasze, które, w żądaniach i pretensyach rolników do instytucyi Towarzystwa kredytowego o to, że nie uwzględnia interesów rolnictwa, że zawielu stowarzyszonych wywłaszcza, że potrzeb stowarzyszonych nie uwzględnia — widzą gorący objaw niezaradności i oglądania się na pomoc z zewnątrz, zapominają, że jest to zjawisko ogólne. Kto sobie przypomni żądania rolników niemieckich przed nałożeniem ceł zbożowych, zwrócone do rządu, aby ich przed bankructwem ratował, kto zna obecny hałas, namiętne spory i dyskussyę nad „kwestyą szlachecką“ w cesarstwie,

ten i we wnioskach i żalach ziemian naszych, pod adresem Towarzystwa, jako jedynéj instytucyi, do opieki nad rolnictwem powołanéj, nie może widzieć jakiegoś szczególnego niedołęstwa szlacheckiego, lecz ogólny objaw, że zagrożone gałęzie téj lub innéj produkcyi szukają opieki pod skrzydłami instytucyi, do reprezentowania jéj interesów powołanéj. Czy może rzemieślnicy, wołający o inną organizacyę cechów, przemysłowcy, dla których każdy system cłowy i protekcyjny jest zanizki, niedostateczny, fabrykanci towarów, żądający ulg taryfowych, są wstrzemięźliwsi od rolników? Nie. Dlatego téż powodu do wielkiego zgorszenia we wnioskach i żądaniach rolników nie widzimy. Źle tylko, że ta podniecona energia i hałas powstały, jak na komendę, prawie, że dopiéro w wilię wyborów, i zamiast porządnych, systematycznych, na możliwe uwzględnienie obliczonych wniosków przedstawiają raczéj partyzancką i podjazdową walkę. Robi to niekiedy wrażenie, jakby sezon wyborczy po prostu był na to, żeby można się było podczas niego wygadać i wykrzyczeć. Gdyby więc i rolnicy, i pisma ich interesom oddane i władze Towarzystwa chcieli na przyszłość zamiast szumnego co dwa lata, otwierania okresu wyborczego, gorliwie i systematycznie zajmować się potrzebami rolnictwa, skutek byłby niezawodnie praktyczniejszym.

W gazetach spotykamy się z wiadomościami o projektach rządowych i usiłowaniach prywatnych, celem podniesienia wyższego i średniego wykształcenia rolniczego. Co do projektów rządowych, to podobno w obec faktu, że dotychczas istnieją w państwie tylko dwa wyższe zakłady rolnicze: Akademia w Moskwie i Instytut nowo-aleksandryjski, jest projekt otwierania wydziałów rolniczych przy uniwersytetach.

Średnie wykształcenie rolnicze ma się stać przedmiotem pieczy państwowéj.

Co do usiłowań prywatnych, to spotykamy wiadomość, że pp. Brożek i Dzierliński pragną założyć w gubernii radomskiéj niższą szkołę rolniczą. Kurs ma być trzyletni, w czasie którego, chłopcy od 14-go do 18-go roku życia mają nauczyć się: uprawy ziemi, hodowli bydła, weterynaryi, owocarstwa, warzywnictwa — obok początków fizyki, chemii, nauk przyrodniczych i rachunkowości gospodarskiéj. Opłata za naukę i utrzymanie ma wynieść 180 rub. rocznie. Byłaby to naturalnie dobra szkoła dla oficyalistów a nawet synów mniéj zamożnych właścicieli ziemskich, dla których wyższe wykształcenie agronomiczne jest utrudnione z powodu kosztów nauki lub nawet wielkiego napływu kandydatów.

Ponieważ sprawa wykształcenia rolniczego może się doczekać wcześniéj lub późniéj rozwiązania, więc nie od rzeczy może będzie przytoczyć z „Prawdy“ zasady, podane przez p. Zen. Piet , na jakich sprawę wykształcenia rolniczego oparto we Francyi.

Głównem źródłem jest Akademia dla kształcenia nauczycieli rolnictwa, tudzież bogatych właścicieli ziemskich i dzierżawców. Po za tym rozsadnikiem wiedzy fachowéj rzeczpospolita utrzymuje czternaście praktycznych szkół rolnictwa i dąży ku temu, ażeby w niedalekiéj przyszłości każdy departament obdarzyć takim zakładem. Służą one dla najliczniejszéj, średniéj warstwy ludności i przyjmują każdego, kto tylko zapragnie i udowodni wykształcenie elementarne. Wykłady teoretyczne z praktyką prowadzone są prawie jednocześnie, t. j. w ten sposób, że lekcye przedpołudniowe unaoczniane są doświadczeniami po południu. Dyrektorowie muszą prowadzić na własne ryzyko gospodarstwo folwarczne przy szkole, czuwać nad całością i rozwojem inwentarza żywego i t. d. Rzecz prosta, iż we własnym interesie starają się gorliwie wprowadzać wszelkie udoskonalenia techniczne, odpowiednio do warunków miejscowych, usilnie śledzą wszelkie postępy w dziedzinie rolnictwa. Dzięki temu, gospodarstwa przy szkołach są wzorowo prowadzone, a uczniowie przyglądając się dobrym owocom, wielką korzyść odnoszą. Niezależnie od tego, rząd francuski popiera tak zwane stacye agronomiczne i laboratorya. Zadaniem ich, robienie doświadczeń nad wszystkiém, co tylko jest w związku z rozwojem rolnictwa. Dzięki temu, instytucye owe, których pracownicy nie są związani celami spekulacyjnemi, oddają nieocenione usługi. Rolnik nie potrzebuje sam robić kosztownych i zawodnych nieraz prób, stosuje tylko z zupełném zaufaniem środki wypróbowane i zalecane przez pracownie agronomiczne, jak np. ulepszona hodowla, nowe gatunki i odmiany roślin, pasze ze spotęgowaną żywnością, nowe składniki użyźniające, udoskonalone narzędzia, walka skuteczna z pasorzytami i t. d. Nadto istnieją we Francyi t. zw. pola demonstracyjne, których zadaniem jest wykazanie, do jakiéj potęgi można doprowadzić ulepszenia w kulturze rolnéj, mozolném doświadczeniem zdobyte przez laboratorya lub stacye.

Tak w skróceniu stoi wykształcenie rolnicze we Francyi.

Nasi praktyci i rutyniści, ile razy im kto wskazuje wysoki, techniczny stan rolnictwa gdzieindziéj, sceptycznie kiwają głowami — mówiąc: „Dla nas to wszystko niedostępne. Gdybyśmy zaczęli stosować u siebie postępowy system gospodarczy, wylecielibyśmy z ziemi jeszcze prędzéj.“

Przeważającemi cechami rolnictwa naszego po dziś dzień pozostały: albo rutyna albo dyletantyzm. Pomimo wszytkich klęsk, jakie na rolnictwo w ostatnich latach spadły, i pierwsza i drugi ustępują bardzo powoli. Dlatego choćbyśmy najsilniejszych argumentów dobiérali dla przekonania ziemian o koniecznéj potrzebie lepszéj znajomości techniki rolniczéj — trafimy niemi do małéj zaledwie garstki. Mamy pełno przykładów, że synowie ziemian średnio zamożnych, którzy w przyszłości mają osiąść po ojcach na roli — zamiast kształcić się w zakładach rolniczych, uczęszczają na uniwersytety. Skutek zazwyczaj bywa taki, że osiadły późniéj na wsi prawnik lub filozof, zostaje dyletantem gospodarzem i dyletantem nauki. Czy widział kto np. w okolicach, gdzie licznie osiedleni są niemcy, w których kultura rolna, przedsiębiorczość i dochody z gospodarstwa stoją najwyżéj, ażeby zabierali się oni do roli bez fachowéj znajomości rzeczy. Prawda wyznać każe, że w większości są to ludzie ograniczeni, pospolici, o nizkim poziomie ogólnego wykształcenia, lecz za to wyborni fachowcy, dorabiający się wtedy fortun, kiedy te nam z rąk się wymykają.

Niewątpliwie jednak szkoły rolnicze, w rozmaitych okolicach kraju zakładane, działałyby powoli skutecznym przykładem.

W „Wieku“ znajdujemy właśnie ciekawe wiadomości o szkołach w gub. kowieńskiéj z programem przemysłowo-wiejskim. I tak: zakład p. Jana Iwanowicza w Podgaju w pow. rosieńskim, zorganizowany w myśl przepisów ustawy normalnéj, ma na celu specyalny wykład sposobu fabrykacyi masła. Na zajęcia teoretyczne i praktyczne przeznaczono dziennie 8 godzin: po 4 na każde. Przy szkole hoduje się znaczna ilość bydła, a uczniowie obznajmiają się z jego hodowlą, dojeniem krów i t. d.

Dozór nad wykładanemi w szkole naukami i mianowanie nauczycieli należy do dyrekcyi szkół ludowych; rada szkoły, pod kierunkiem fundatora, zawiaduje sprawami gospodarskiemi i technicznemi. Departament rolnictwa i przemysłu wiejskiego asygnuje rocznie na szkołę po rs. 2,550.

Drugim zakładem jest instytut gospodarstwa wiejskiego dla dziewcząt pani Budbergowej, w Poniemuniu, pow. poniewieskim. Instytut założony w r. 1889 ma na celu kształcenie dziewcząt w przemyśle gospodarczo-spożywczym i zarządzie domowym. Zakres programu jest dość szeroki, i uczennice opuszczające instytut są uzdolnione do samodzielnego zarobkowania. Rachunkowość gospodarcza, teorya i praktyka hodowli inwentarza domowego, sadownictwo, mlé-

czarstwo, hygiena ludzi i zwierząt, elementarne zasady medycyny i weterynaryi są przedmiotami nauki. Kurs praktyczny ma być bardzo szeroko uwzględniony.

Zakład utrzymywany jest z funduszów założycielki, z wpisowego uczennic i subsydyum rządowego w ilości 2,000 rub. rocznie. Rzecz dziwna, że uczennice pochodzą głównie z Inflant i Kurlandyi, jakby ogół nasz o istnieniu zakładu nie wiedział.

Sekcya rolna w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu zajmowała się wiele w ostatnich czasach drobnym przemysłem wiejskim. Przemysłu tego wprawdzie bardzo mało jeszcze posiadamy i chodziło tam raczéj o rozpatrzenie warunków, w którychby on mógł się rozwinąć.

W czasie rozpraw nad tym przedmiotem poważny bardzo podobno głos dał się słyszéć ze zdaniem, że nie należy ludności wiejskiéj zachęcać do przemysłu domowego, bo to ją może odciągnąć od rolnictwa. Oponenci, między którymi spotykamy p. J. Banzemera, znawcę potrzeb ludności krajowéj, słusznie odpowiadają; że dziesiątki milionów godzin, jakie corocznie w zimowych miesiącach marnują mieszkańcy wsi naszych na próżniactwie przymusowém, można zapełnić zarobkowém zajęciem, poprawiającém warunki bytu ludności wiejskiéj, bez ujmy dla rolnictwa. Suma tych godzin, według obliczeń oponentów, wynosi czwartą część żywota ludzkiego. Ludzie inteligentni, czas wolny od zajęć obowiązkowych poświęcają rozrywkom lub czytaniu, lecz u naszéj ludności wiejskiéj, w długie zwłaszcza wieczory zimowe, marnuje go demoralizująca bezczynność.

Na dalsze pytanie, jakie gałęzie przemyslu domowego byłyby i dla pożytku krajowego i dla ludności wiejskiéj najkorzystniejszemi? odpowiedziano, że usiłowania powinny być zwrócone do przerobu surowych materyałów krajowych, pozostawiając sprowadzane z zagranicy wielkiemu przemysłowi fabrycznemu. Każda okolica, stosownie do uzdolnienia ludności wiejskiéj i do rodzaju materyału surowego mogłaby mieć swój rodzaj przemysłu.

Pan J. Banzemer słusznie pisze w „Gazecie Warszawskiéj“, że u nas do téj pory ścisłych wskazówek o naturalném uzdolnieniu pewnych wsi lub okolic ku pewnego oznaczonego rodzaju przerobom, rzec można, nie ma jeszcze, a gromadzone forsownie na ostatnie wystawy przemysłowe z różnych okolic kraju okazy domowego przemysłu nie wiele nas nauczyły.

Położenie topograficzne miejscowości i najudatniejszy materyał surowy, jaki w niéj znajdujemy, najlepszemi być mogą wskazówkami, gdzie jaki rodzaj przemysłu domowego rozwinąć się może. Nad rze-

kami, gdzie jest zapas wikliny — koszykarstwo, gdzie gleba najtęższą słomę wydaje — wyroby słomkowe, gdzie pokłady gliny doskonałe — garncarstwo, gdzie len dobrze się udaje — tkactwo płócienne i t. p.

Prawidłową organizacyę przemysłu domowego i zachętę do niego ludności wiejskiéj polecają Towarzystwu popierania przemysłu i handlu. A więc delegowaniem majstrów-nauczycieli do właściwych okolic, wykształceniem ludności i ułatwieniem jéj zbytu wyrobów ma się zająć ta instytucya.

Byłoby bardzo pięknie, gdyby się zająć chciała, lecz pozwolimy sobie zauważyć, że adresowanie każdego projektu z dziedziny przemysłowéj, choćby nawet dobrze obmyślanego do Towarzystwa, stało się już zwyczajem. Gdyby Towarzystwo wykonaniem choćby większych i pożyteczniejszych projektów się zajmowało, nie byłoby powodu do skargi. Czy Towarzystwo jest zbyt przeciążone pracą i inicyatywą, czy przeciwnie — dokładnie nie wiemy. Rzeczą jest tylko widoczną, że małą zaledwie część projektów, do siebie adresowanych, do serca bierze.

Można słyszéć głosy skarżące się na lekceważenie przez administracyę szpitalną chorych, którzy w stanie niebezpiecznym przyprowadzeni do szpitala nie znajdują tam miejsca, odsyłani bywają do innego, gdzie ich ten sam los czeka.

Oświadczenie, złożone pod tym względem przez naczelnych lekarzy szpitali warszawskich, wyjaśnia sprawę o tyle, że chorych nieuleczalnych szpitale przyjmują tylko dla dania pierwszéj pomocy, obłąkanych zaś ustawa szpitalom ogólnym zupełnie przyjmować zabrania.

To samo oświadczenie przypuszcza, że liczba obłąkanych w Królestwie dochodzi do 8,000, kiedy dwa szpitale: w Tworkach i Jana Bożego nie mogą ich pomieścić więcéj nad 500. Te bardzo groźne i smutne cyfry obłąkanych są według lekarzy — odpowiedzią na sarkanie ogółu.

Naszém zdaniem, odpowiedź ta nie jest zadawalniająca. Przyjmowanie chorych do szpitali w Warszawie jest manipulacyą dla pierwszych bardzo nieraz przykrą i trudną. Odpowiedzialność nie koniecznie spada za to na lekarzy, lecz i na kancelarye spitalne. O ile zaś te są podległe lekarzom naczelnym, to pośrednio i na nich.

Znamy przykłady, kiedy chory, przybywający w porze zimowéj rano do szpitala, i przyjęty przez właściwego ordynatora, oczekuje

w nieopalonym przedsionku do późnego wieczora na formalność kancelaryjną, która dopiéro pozwala wpuścić go do właściwego oddziału. Wyjaśnienie więc lekarskie o „natychmiastowém“ przyjmowaniu chorych nie jest ścisłe. Zauważyć w ogóle należy, że chorzy, przy wstępowaniu do szpitali, nie tyle mają powodu skarżyć się na personel lekarski, ile na kancelaryjny, niejednokrotnie opieszale lub szorstko obowiązki swoje spełniający.

*B. Lut.*

# NEKROLOGIA.

† **August Wrześniowski**, były profesor b. Szkoły Głównéj i Uniwersytetu zakończył życie w dniu 16 maja r. b. Obszerniejszą wzmiankę o życiu jego i zasługach podamy w następnym zeszycie.





Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

# NOWE KSIĄŻKI

## nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

### w kwartale II-gim 1892 r.

1. *T. Ribot.* **Filozofia Schopenhauera.** Przełożył J. K. Potocki. Warszawa, nakład redakcyi tygodnika „Głos" 1892, 8-vo, str. 168.
2. **O temperaturze.** Odczyt publiczny, wygłoszony przez *Władysława Natansona.* Warsz., skład główny w księgarni E. Wende, 1892, str. 31.
3. **Zasady fizyki,** napisał *August Witkowski*, prof. uniw. Jag. Tom I. Warsz. 1892, 8-vo, str. X i 469 (cena rs. 2). (Wyd. „Biblioteka matematyczno-fizyczna").
4. **Pamiętnik fizyograficzny.** Wydawcy: *A. Ślusarski* i *Br. Znatowicz.* Tom XI, z 14 tabl. litogr. i drzeworytami w tekście. Warszawa, 1891, 4-to.
5. **Czytanka Pierwsza.** Książka dla młodzieży przez Adolfa Dygasińskiego. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1892, 8-vo, str. 231.
6. **We czworo.** Przez *Estéję* i *Wlastę.* Warsz., nakł. S. Lewentala, 1892, str. 239.
7. *Wincenty hr. Łoś.* **Z różnych pułków.** Nowele i opowiadania. Dwa tomy; 1892, 8-vo, str. 236 i 249.
8. **O zjawiskach** życia duchowego. Szkice psychologiczne. Napisał *J. Borejszo-Wysocki.* Warszawa, druk. E. Skiwskiego, 1892, 8-vo, str. 163.
9. **W sprawie reformy waluty** w Austro-Węgrzech, napisał *D-r Józef Milewski.* Kraków, księgarnia Spółki Wydawniczéj, 1892, 8-vo, str. 39.
10. **Muzeum imienia Dzieduszyckich** we Lwowie. Tom III, Dział I, Zoologiczny: Mięczaki. Spisał *J. Bąkowski*, uzupełnił *A. M. Łomnicki.* 1892, 4-to, str. 264 z XIII tablicami kolorowanemi.
11. **Wy mężczyzni!...** (Z cichych monologów) przez *Simarę (Maryę Napieralską).* Warsz., 1892, nakład M. Lewińskiego, str. 132.
12. **Wstęp do elektrotechniki**. Odczyty wygłoszone przez *J. J. Boguskiego.* Część I. Warszawa, nakład „Przeglądu Tygodniowego", 1892, 8-vo, str. 95 z rysunkami.
13. *A. Wilkoński.* **Ramoty i Ramotki,** tomów 3 („Biblioteka Powszechna" №№ 21, 22, 23). Warszawa, u T. Paprockiego, nakład Zukerkandla, str. 71, 95 i 80.
14. *Henryk Ibsen.* **Wróg ludu.** Dramat. Przełożył Ignacy Suesser. („Biblioteka Powszechna" №№ 18 i 19). Warszawa, u T. Paprockiego, nakł. Zukerkandla, str. 123.
15. *Cycero.* **Mowa** za prawem Maniliuszowem. Przekład E. Rykaczewskiego („Biblioteka Powszechna" № 20). Warszawa, u T. Paprockiego, nakład Zukerkandla, str. 51.
16. **Faust**, tragedya *Göthego.* Przełożył L. Jenike („Biblioteka Powszechna" №№ 24—27). Warszawa, Paprocki, nakład Zukerkandla, str. 258.
17. *Alfred Tennyson.* **Enoch Arden**. Przełożył Stan. Koźmian. („Biblioteka Powsz." № 28). Warszawa, Paprocki, nakład Zukerkandla, str. 38.
18. **Sprawozdania meteorologiczne** za Październik, Listopa i Grudzień 1890 r. (Wydawnictwo Sekcyi IV Oddz. Warsz. Tow. popier. przem. i handlu). Warszawa 1891.
19. *Bolesław Prus (Aleksander Głowacki).* **Drobiazgi.** Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1892, 8-vo, str. 419.
20. **Bibliografia polska** techniczno-przemysłowa. *Feliks Kucharzewski.* Zeszyt 4. Warsz., nakład Redakcyi „Przeglądu Technicznego", 1892, 4-to, str. 121—160.
21. *W. Lutosławski.* **O logice Platona.** Część druga. Warszawa, 1892, str. 60.
22. **Wróg ludu.** Dramat w 5-ciu aktach przez *Henryka Ibsena.* Przełożył H. B. Warsz., nakład Redakcyi tygodnika „Głos", 1892, 8-vo, str. 199.
23. **Trucizna.** Powieść *Aleksandra Kiellanda.* Tłomaczyła O. P. Warszawa, nakład tygodnika „Głos", 1892, 8-vo, str. 205.

---

**Upraszа się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.**

# ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

**wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.**

## TREŚĆ.

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególném uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

## Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

**Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

**DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.**

